

# Bambi





FELIKS SALTEN

# Bambi

OPOWIEŚĆ LEŚNA

TŁUM. MARCELI TARNOWSKI

## ROZDZIAŁ I

Przyszedł na świat w samym sercu gęstwiny, w jednej z owych małych, ukrytych izdebek leśnych, które na pozór otwarte są na wszystkie strony, w istocie zaś są ze wszystkich stron osłonięte.

Było tam też bardzo mało miejsca, ledwie starczyło dla niego i jego matki.

Stał więc teraz, chwycając się niezręcznie na długich, cienkich nóżkach; smutnymi oczyma, które nic nie widziały, spoglądał głupkowato przed siebie, spuścił głowę i drżał na całym ciele, zupełnie oszołomiony.

— Co za piękne dziecko! — zawołała sroka.

Nadleciała zwabiona rżężącymi jękami, jakie wydzierały się z gardła matki w bólach porodu. Siedziała teraz na pobliskiej gałęzi.

— Co za piękne dziecko! — zawołała jeszcze raz.

Nie otrzymała jednak odpowiedzi i z zapalem mówiła dalej:

— Jakie to zdumiewające, że od razu umie stać i chodzić! Jakie to zajmujące! Nigdy w życiu nie widziałam jeszcze czegoś podobnego!... Co prawda jestem jeszcze młoda, rok temu dopiero opuściłam gniazdo, jak pani może wiadomo. Uważam jednak, że to cudowne. Takie dziecko... przed sekundą dopiero przyszło na świat, a już umie stać na nogach. Uważam, że to bardzo wytworne. Uważam w ogóle, że u was saren wszystko jest bardzo wytworne. A czy potrafi już ono także biegać?...

— Oczywiście — odpowiedziała matka cicho. — Ale niech mi pani wybaczy, że nie jestem teraz zdolna prowadzić rozmowy. Mam bardzo dużo roboty... a poza tym czuję się jeszcze trochę osłabiona.

— Niech się pani zupełnie moją osobą nie krępuje — zawołała sroka. — I ja zresztą nie mam dużo czasu. Ale takich rzeczy nie widuje się przecież codziennie. Gdyby pani wiedziała, ile kłopotów i trudu jest z tymi sprawami u nas! Gdy dzieci wykluwają się z jajka, nie potrafią się jeszcze wcale ruszać. Leżą w gniazdku bezradnie i potrzeba im opieki, powiadam pani, opieki, o jakiej pani oczywiście nie może mieć najmniejszego pojęcia! Ile to pracy, żeby je wykarmić, ile lęku, aby je upilnować! Proszę pani, niechże pani pomyśli, jaki to wielki wysiłek, znosić dla dzieci pożywienie, a jednocześnie uważać bacznie, żeby im się nic złego nie stało! Kiedy się nie jest przy nich, nie potrafią sobie przecież zupełnie radzić. Czy nie przyznaje mi pani racji? A jak długo trzeba czekać, aż się potrafią poruszać, jak długo trwa, aż dostaną pierze i nabiorą jako tako przyzwoitego wyglądu.

— Niech mi pani wybaczy — odpowiedziała matka — ale nie słuchałam.

Sroka odleciała.

„Głupia osoba! — pomyślała sobie. — Wytworna, ale głupia!”

Matka nie zauważyła tego wcale. Nie ustawała nadal w swojej pracy, gorliwie myjąc noworodka. Myła go językiem, a mycie to było zarazem wszystkim: pielęgnacją ciała, rozgrzewającym masażem i pieszczotą.

Maleństwo chwiała się jeszcze trochę. Pod wpływem głaskania i lekkiego szturchania ze wszystkich stron ugięło nieco kolana i stało cichutko. Czerwona jego sukienka<sup>1</sup>, jeszcze trochę potargana, miała delikatne, białe łatki, a na jego otępieleńszej dziecięcej twarzyczce malował się jeszcze taki wyraz, jak po głębokim śnie.

Dokoła rosły krzaki leszczyny, ligustr<sup>2</sup>, tarnina i młody bez. Wysokie klony, buki i dęby tworzyły zielony dach nad gęstwiną, a z twardej, ciemnobrunatnej ziemi wyrastały wachlarze paproci, ptasia wyka i szalwia. Poniżej tuliły się do ziemi liście fiołków, które już okwitły, i poziomek, które właśnie zaczynały kwitnąć.

Poprzez gęste listowie wdzierało się — niby złocista siatka — światło wczesnego słońca.

Cały las rozbrzmiewał różnorodnością głosów, przeniknięty nimi niby radosnym drżeniem. Wilga śpiewała nieustannie, gołębie gruchały bez przerwy, kosy gwizdały, zięby nuciły, sikory ćwierkały. Klótliwie wdzierał się w to krzyk wydawany przez kraski, śmiechy i figle srok, metalicznie rozbrzmiewało hałaśliwe gdakanie bażantów. Niekiedy wszystkie te dźwięki zagłuszał krótki i donośny okrzyk dzięcioła. Zew sokoła brzmiał głośno i przenikliwie nad wierzchołkami drzew i nieustannie słychać było ochrypły chór wron.

Maleństwo nie rozumiało nic z tych wszystkich śpiewów i okrzyków, nie rozumiało ani słowa z tych rozmów. Nie słuchało ich zresztą wcale. Do świadomości jego nie docierał też jeszcze żaden z tych licznych zapachów, którymi dyszał las.

Słyszało tylko lekki szelest, przebiegający po jego sukience, kiedy je matka myła, ogrzewała i całowała i czuło jeden tylko zapach: zapach bliskiego ciała matki. Przytuliło się mocno do tej rozkosznej, pachnącej bliskości, szukając w niej z głodem, aż znalazło źródło życia.

Podczas gdy dziecko piło, matka pieściła je nadal.

— Bambi — szeptała.

Co chwila podnosiła przy tym głowę, strzygła uszami i wciągała w nos powietrze.

Potem całowała znowu swoje dziecko, uspokojona i szczęśliwa.

— Bambi — szeptała raz po raz — mój maleńki Bambi...

## ROZDZIAŁ 2

Było wczesne lato, a drzewa stały ciche pod błękitnym niebem, rozpościerając ramiona i wchłaniając spływającą na nie moc słońca.

W zaroślach i w gęstwinie krzaków rozwierały się kwiaty, białe, czerwone, albo żółte gwiazdy. Na niektórych widać już było zalążki owoców, niezliczone, osadzone na cieniotkich końcach gałęzi, delikatne, a mocne; wyglądały jak małe zaciśnięte pięści.

Z gleby wykwitwały barwne gwiazdy wielu i wielorakich kwiatów, tak że w mrocznym poszyciu lasu ziemia płonęła cichą, żarliwą radością barw. Wszędzie czuć było zapach świeżego listowia, kwiatów, wilgotnej gleby i zielonego drzewa.

Kiedy budził się ranek i kiedy zachodziło słońce, las rozbrzmiewał tysiącem głosów, od ranka do wieczora śpiewały pszczoły, brzęczały osy, bzykały trzmiele w pachnącej ciszy.

Takie były dni, kiedy Bambi przeżywał swoje pierwsze dzieciństwo.

Szedł za matką po wąskiej ścieżynce, biegnącej przez gęstwinę.

Jak miło było chodzić tutaj! Gęste listowie łagodnie głaskało go po bokach, zręcznie ustępując mu z drogi. Droga wydawała się ze wszystkich stron dziesięciokrotnie zagrodzona i zatarasowana, a jednak szło się naprzód zupełnie wygodnie.

Wszędzie były takie ścieżki, biegły one na przełaj przez cały las. Matka знаła je wszystkie, a kiedy Bambi stawał niekiedy przed jakimiś zaroślami, niby przed nieprzebytym zielonym murem, matka zawsze bez chwili wahania lub namysłu znajdowała miejsce, gdzie utworowana była ścieżka.

Bambi pytał.

Bardzo lubił wypytywać matkę. Najpiękniejszą rzeczą było dla niego ciągle pytać i słuchać potem odpowiedzi matki. Bambi nie dziwił się wcale, że pytania za pytaniami nasuwały mu się nieustannie i bez trudu. Uważał to za rzecz zupełnie naturalną; budziło

<sup>1</sup>sukienka — w gwarze łowieckiej: sierść zwierzyny plowej, w tym saren. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>ligustr — krzew o drobnych białych kwiatkach i okrągłych, czarnych, błyszczących owocach; bywa sadzony w charakterze żywopłotu. [przypis edytorski]

to w nim tylko zachwyty. Taki sam zachwyty budziło w nim później zaciekawione wy-  
czekiwanie, aż nastąpi odpowiedź. Jakakolwiek byłaby ta odpowiedź, Bambi był zawsze  
zadowolony. Niekiedy co prawda nie mógł wcale zrozumieć odpowiedzi, ale i to było  
piękne, bo jeżeli chciał, mógł pytać ciągle dalej.

Czasami nie pytał dalej, a to znowu także było piękne, gdyż był wtedy zajęty wyobra-  
żaniem sobie na swój sposób tego, czego nie rozumiał.

Niekiedy czuł zupełnie wyraźnie, że matka nie dawała mu pełnej odpowiedzi, że celo-  
wo nie mówiła mu wszystkiego, co wiedziała. Ale to było właśnie najpiękniejsze. Wtedy  
bowiem pozostawała w nim jeszcze jakaś szczególna ciekawość, jakieś przecucie, które  
przenikało go tajemniczo i błogo, jakieś wyczekiwanie, przy którym czuł zarazem taki  
lęk, i takie uszczęśliwienie, że musiał milczeć.

Teraz zapytał:

— Do kogo należy ta ścieżka, mamó?

Matka odpowiedziała:

— Do nas.

Bambi pytał dalej:

— Do ciebie i do mnie?

— Tak.

— Do nas dwojga?

— Tak.

— Tylko do nas dwojga?

— Nie — odpowiedziała matka — do nas sarn...

— Co to znaczy sarny? — zapytał Bambi i roześmiał się.

Matka spojrzała na niego i roześmiała się także:

— Ty jesteś sarnięciem i ja jestem sarną. To są sarny. Rozumiesz?

Bambi aż podskoczył w górę ze śmiechu.

— Tak, rozumiem. Ja jestem małym sarnięciem, a ty jesteś dużą sarną. Prawda?

Matka skinęła mu głową.

— Tak, widzisz, tak to jest.

Bambi spoważniał znowu:

— A czy istnieją jeszcze inne sarny prócz ciebie i mnie?

— Oczywiście — odpowiedziała matka. — Wiele.

— Gdzie one są? — zawołał Bambi.

— Tutaj, wszędzie.

— Ale... ja ich nie widzę...

— Zobaczysz je już.

— Kiedy?

Bambi aż przystanął z ciekawości.

— Niedługo.

Matka spokojnie poszła dalej.

Bambi pobiegł za nią.

Milczał, gdyż zastanawiał się nad tym, co to może właściwie znaczyć „niedługo”. Do-  
szedł do wniosku, że „niedługo” to w każdym razie nie znaczy „zaraz”. Nie umiał sobie  
jednak uświadomić, w jakim czasie to „niedługo” przestaje być „niedługo”, a zaczyna być  
„długo”.

Nagle zapytał:

— Kto zrobił tę ścieżkę?

— My — odpowiedziała matka.

Bambi zdziwił się znowu:

— My? Ty i ja?

Matka odpowiedziała:

— No, my... my sarny.

Bambi zapytał:

— Które?

— My wszystkie — odpowiedziała mu matka.

Poszli znowu dalej.

Bambi był zadowolony i miał wielką ochotę zboczyć z drogi, ale grzecznie trzymał się boku matki.

Nagle coś zaszeleściło na ziemi tuż przed nimi. Szybkim ruchem przemknęło coś, co natychmiast przesłoniły wachlarze paproci i liście łoczycy<sup>3</sup>. Jakiś cieniutki głosik pisnął żałośnie, potem zapanowała znowu cisza. Tylko liście i trawy przez chwilę jeszcze drgały w tym miejscu.

Tchórz upolował mysz. Nadbiegł teraz, przechylił się w bok i zabrał się do uczyty.

— Co to było? — zapytał Bambi podniecony.

— Nic — uspokoiła go matka.

— Ale... — Bambi drżał na całym ciele — ...ale... widziałem przecież...

— No, tak — powiedziała matka — nie przerażaj się. Tchórz zabił mysz.

Ale Bambi był niezmiernie przerażony. Nieznana, wielka groza ścisnęła jego serce.

Długo trwało, aż mógł znowu mówić. Wreszcie zapytał:

— A dlaczego on zabił mysz?

— Dlatego...

Matka zawahała się.

— ...chodźmy prędzej — powiedziała potem, jakby jej coś nagle przyszło na myśl i jakby zapomniała o jego pytaniu.

Poczęła biec truchtem.

Bambi podskakiwał za nią.

Minęła długa chwila milczenia. Szli teraz znowu spokojnie naprzód. Wreszcie Bambi zapytał z zakłopotaniem:

— Czy i my kiedyś zabijemy mysz?

— Nie — odpowiedziała matka.

— Nigdy? — zapytał Bambi.

— Nigdy — odpowiedziała matka.

— Dlaczego? — zapytał Bambi z ulgą.

— Bo my nikogo nie zabijamy — odpowiedziała matka po prostu.

Bambi odzyskał znowu wesołość.

Od strony młodego jesionu, stojącego tuż obok ich drogi, dobiegł głośnie wrzask. Matka szła dalej, nie zwracając na to uwagi. Ale Bambi zatrzymał się zaciekawiony.

Wysoko na gałęziach dwa samce krasiek klóciły się o gniazdo, które splądrowały.

— Niech mi się pan stąd wynosi, łajdaku! — wołał jeden.

— Niepotrzebnie się pan tak złości, bałwanie — odpowiedział drugi — wcale się pana nie boję!

Pierwszy krzyknął z wściekłością:

— Niech pan sobie gdzieś indziej szuka gniazd, złodzieju! Łeb panu rozwałę!

Był zupełnie nieprzytomny z gniewu.

— Co za zuchwalstwo! — zrzędził. — Co za zuchwalstwo!

Drugi ptak zauważył przyglądającego się im Bambiego, sfrunął o kilka gałęzi niżej i warknął na niego:

— Czego się tu gapisz, smarkaczu! Wynos się!

Bambi uciekł przerażony, dogonił matkę i grzecznie szedł teraz dalej za nią, posłuszny i nastraszony, przekonany, że nie zauważyła, iż zatrzymał się przedtem na drodze.

Po chwili zapytał:

— Mamo... co to jest zuchwalstwo?

Matka powiedziała:

— Nie wiem.

Bambi zastanowił się. Potem zaczął znowu:

— Mamo, dlaczego te dwa ptaki były na siebie takie złe?

Matka odpowiedziała:

— Pokłóciły się o jedzenie.

Bambi zapytał:

— Czy my także będziemy się kiedyś klócić o jedzenie?

<sup>3</sup>łoczycza — pospolita roślina z rodziny astrowatych, o języczkowatych, jasnożółtych kwiatach. [przypis edytorski]

— Nie — odpowiedziała matka.

Bambi zapytał:

— Dlaczego?

Matka odpowiedziała:

— Jest go dość dla nas wszystkich.

Ale Bambi chciał się jeszcze czegoś dowiedzieć:

— Mamo?...

— Co znowu?

— Czy my także będziemy kiedyś na siebie tacy źli?

— Nie, moje dziecko — odpowiedziała matka — u nas to nie bywa.

Poszli dalej.

Nagle zrobiło się przed nimi zupełnie jasno, promiennie jasno. Skończyła się zielona gmatwanina krzaków i zarośli, skończyła się ścieżka. Jeszcze tylko kilka kroków i wyszli na jasną, wolną przestrzeń, która rozwarła się przed nimi.

Bambi chciał skoczyć naprzód, ale matka przystanęła.

— Co to jest? — zawołał Bambi niecierpliwie, zupełnie już oczarowany.

— Łąka — odpowiedziała matka.

— Co to jest łąka? — nalegał Bambi.

Matka przerwała mu:

— Sam zobaczysz.

Zrobiła się nagle poważna i czujna. Stała bez ruchu, uniósłszy głowę, nadsluchiwała z napięciem, głębokimi wdechami badała wiatr i miała bardzo surowy wygląd.

— Wszystko w porządku — powiedziała wreszcie — możemy wyjść.

Bambi skoczył naprzód, ale matka zagroziła mu drogę.

— Zaczekaj, aż cię zawołam.

Bambi zatrzymał się natychmiast.

— Tak, dobrze — pochwaliła go matka. — A teraz zapamiętaj sobie dokładnie, co ci powiem.

Bambi słyszał, jak podniecony był głos matki, i ogarnęło go silne zdenerwowanie.

— Iść na łąkę to rzecz nie tak prosta — ciągnęła matka. — Jest to rzecz bardzo trudna i niebezpieczna. Nie pytaj, dlaczego. Nauczysz się tego jeszcze później. Chwilowo zastosuj się tylko dokładnie do tego, co ci powiem. Dobrze?

— Tak — obiecał Bambi.

— Więc słuchaj! Ja wyjdę najpierw sama, a ty stój tutaj i czekaj. I ciągle patrz na mnie. Ani na chwilę nie spuszczać ze mnie oka. Kiedy zobaczysz, że biegnę z powrotem na to miejsce, gdzie teraz jesteśmy, wówczas zawrócisz natychmiast i uciekniesz, jak będziesz mógł najszybciej. Już ja cię dogonię.

Zamilkła, jakby się zastanawiała, potem ciągnęła dobitnie:

— W każdym razie biegnij, biegnij, ile sił... Biegnij... nawet gdyby się coś stało... nawet gdybyś widział, że ja... że ja padam na ziemię... nie zwracaj na mnie uwagi, rozumiesz?... Cokolwiek byś widział albo słyszał... uciekaj stąd, uciekaj, jak możesz najszybciej!... Czy przyrzekasz mi to?

— Tak — powiedział Bambi cicho.

— Jeżeli zaś zawołam cię — mówiła dalej matka — w takim razie możesz przyjść. Tam na łące będziesz się mógł bawić. Bardzo tam jest ładnie, na pewno ci się będzie podobało... Tylko... musisz mi przyrzec jedno... Na pierwszy mój okrzyk musisz być natychmiast u mego boku. Bezwarunkowo! Rozumiesz?

— Tak — powiedział Bambi jeszcze ciszej.

Matka mówiła tak poważnie!

Ciągnęła teraz:

— Tam na łące... kiedy cię zawołam... nie wolno ci się gapić ani rozpytywać... musisz pędzić natychmiast za mną jak wicher! Zapamiętaj to sobie. Bez namysłu, bez ociągania się... natychmiast kiedy ja zacznę biec, musisz i ty pobiec z miejsca i nie zatrzymywać się wcześniej, aż będziemy znowu tutaj w lesie. Czy nie zapomnisz o tym?

— Nie — powiedział Bambi oszołomiony.

— Więc pójdę teraz — powiedziała matka i wydawała się już trochę spokojniejsza.

Wyszła z lasu.

Bambi, który nie spuszczał z niej oka, widział, jak powolnymi, wysokimi krokami posuwała się naprzód. Pełen oczekiwania, pełen lęku i ciekawości, stał na swoim miejscu. Widział, jak matka nasłuchiwała na wszystkie strony, widział, jak się wzdrygnęła, i sam wzdrygnął się także, gotów natychmiast skoczyć w gęstwinię.

Potem matka uspokoiła się znowu, a kiedy minęła minuta, ogarnęła ją wesołość. Schyliła szyję, potem wyciągnęła ją jak długą naprzód, z zadowoleniem spojrzęła w stronę syna i zawołała:

— Chodź!

Bambi wyskoczył z gąszczu.

Olbrzymia radość ogarnęła go z tak czarodziejską mocą, że natychmiast zapomniał o wszystkich lękach. W gęstwinię widział nad sobą tylko zielone wierzchołki drzew, a ponad nimi niekiedy, w małych przerwach tylko, rozsiane błękitne plamy. Teraz ujrzał całe niebo, wysokie i błękitne; zbudziło to w nim uczucie szczęścia, sam nie wiedział dlaczego.

Jeżeli idzie o słońce, to w lesie znał tylko pojedyncze, szerokie promienie albo delikatne migotanie światła, przesączającego się złościście między gałęziami. Teraz stanął nagle pod gorącą, oślepiającą mocą, której nieograniczone panowanie spływało na niego, stał pośrodku błogosławieństwa żaru, które zamykało mu oczy i otwierało serce.

Bambi był oszołomiony; był zupełnie nieprzytomny, był po prostu oszalały. Niezręcznie podskoczył w górę, trzy razy, cztery razy, pięć razy w miejscu, gdzie stał. Nie mógł inaczej; musiał. Coś go zmuszało, aby podskoczyć w górę. Młode jego członki naprężyły się z taką siłą, oddech był tak głęboki i lekki, pił oddechem, całym jestestwem swoim pił zapach łąki i wchłaniał w siebie tyle swawolnej wesołości, że po prostu musiał skakać.

Bambi był dzieckiem. Gdyby był dzieckiem człowieka, krzyczałby teraz z radości. Ale był dzieckiem sarny, a sarny nie umieją krzyczeć z radości, w każdym razie nie w ten sposób, w jaki robią to dzieci ludzi. Krzyczał więc z radości na swój sposób. Nogami, całym ciałem, rzucając się w powietrze.

Matka stała obok niego i cieszyła się. Widziała, że Bambi oszalał z radości. Widziała, że podskakiwał w powietrze i niezręcznie spadał na to samo miejsce, potem przez chwilę spoglądał przed siebie stropiony i oszołomiony, a w następnej sekundzie znowu rzucał się w powietrze, znowu i znowu.

Rozumiała, że Bambi znał tylko wąskie ścieżki saren w lesie, że podczas krótkich dni swego życia przyzwyczał się tylko do ciasnoty gąszczu leśnego, że więc dlatego tylko nie ruszał się z miejsca, iż nie umiał jeszcze biegać swobodnie po wolnej łące.

Schyliła się nieco na wyciągniętych przednich nogach, przez sekundę śmiała się do swego dziecka, potem skoczyła nagle naprzód i poczęła biec pędem w kółko, aż zaszeleściły wysokie źdźbła trawy.

Bambi przeraził się i trwał bez ruchu w miejscu. Czy to był znak, że miał wracać w gęstwinię? „Nie troszcz się o mnie — powiedziała matka — cokolwiek byś widział lub słyszał, tylko uciekaj, uciekaj, jak możesz najszybciej!”

Chciał więc zawrócić i uciec, jak mu kazano. Ale w tej chwili matka nadbiegła nagle galopem. Przemknęła z cudownym szelestem trawy, zatrzymała się o dwa kroki przed nim, pochyliła się trochę, jak przedtem, zaśmiała się do niego i zawołała:

— Złap mnie!

I już jej znowu nie było.

Bambi był stropiony. Co to miało znaczyć? Co się nagle stało z matką? Ale ona już nadbiegła z powrotem, z tak oszołamiającą szybkością, że aż się w głowie od tego kręciło, trąciła go nosem w bok i powiedziała szybko:

— Złap mnie!

I znowu uciekła.

Bambi skoczył za nią. Najpierw kilka kroków. Ale potem kroki przeszły w lekkie podskoki. Coś go niosło, zdawało mu się, że fruwa; coś niosło go samo. Pod krokami jego była przestrzeń, przestrzeń pod jego skokami, przestrzeń, przestrzeń.

Bambi stracił przytomność. Trawa tak cudownie szumiała mu w uszach. Kiedy go smagała w przelocie, była tak rozkosznie miękka, tak jedwabście delikatna. Biegał łukiem, miotał się dokoła, jak strzała zataczał nowy krąg, rzucał się znowu w bok i pędził dalej.

Niebo, Słońce

Szczęście

Matka stała już chwilę spokojnie, chwytając oddech i odwracając się tylko ciągle w stronę, gdzie przebiegał Bambi.

Bambi szalał.

Nagle skończyło się to wszystko. Bambi przystanął, podszedł do matki, zgrabnie podnosząc nogi, i spojrzał na nią uszczęśliwiony. Potem w świetnych humorach spacerowali razem.

Odkąd był tu na łące, Bambi widział niebo, słońce i zieloną dal tylko ciałem; tylko oślepionym, pijanym wzrokiem postrzegał niebo; tylko rozkosznie rozgrzanym grzbietem i pokrzepiającym oddechem postrzegał słońce. Teraz jednak zaczął rozkoszować się przepychem łąki, patrząc oczyma, które krok za krokiem spotykały się z nowymi cudami.

Rośliny

Nie było tu ani kawałeczka wolnej ziemi, jak tam w lesie. Żdźbło przy źdźbło tłoczyło się w każdym miejscu, wyginając się i prężąc w bujnym rozkwicie, łagodnie uchylało się w bok pod każdym krokiem i pojednawczo podnosiło się zaraz znowu do góry. Rozległa, zielona płaszczyna usiana była białymi stokrotkami, fioletowymi i czerwonymi grubymi główkami kwitnącej koniczyny i połyskującymi strojnie, złotymi gałkami, jakie wznosiły w górę kaczeńce.

— Spójrz no, mamó — zawołał Bambi — tam fruwa kwiat.

— To nie kwiat — odpowiedziała matka — to motyl.

Motyl

Bambi z zachwytem przyglądał się motylowi, który niewypowiedzianie delikatnie oderwał się od źdźbła trawy i uleciał oszalałym lotem. Teraz dopiero zauważył Bambi, że w powietrzu nad łąką unosiło się wiele takich motyli, na pozór z pośpiechem, a jednak powoli, wznosząc się i opadając, w zabawie, która wprawiała go w zachwyt.

Istotnie wyglądało to, jakby to były fruujące kwiaty, wesołe kwiaty, które nie mogły usiedzieć na łąkach i oderwały się, aby trochę potańczyć. Albo kwiaty, które zeszły wraz ze słońcem, nie miały jeszcze miejsca i szukały go kapryśnie, opuszczając się, znikając na chwilę, jakby się już gdzieś ulokowały, ale za chwilę wznosząc się znowu w górę, to trochę tylko, to wyżej, aby szukać dalej, ciągle dalej, gdyż najlepsze miejsca były już zajęte.

Bambi spoglądał za nimi wszystkimi. Chętnie przyjrzałby się któremuś z nich z bliska, chętnie obejrzałby sobie któregoś zupełnie dokładnie, ale nie udawało mu się. Ciągle mieszały się ze sobą. Aż mu się od tego zakręciło w głowie.

Kiedy spoglądał potem znowu przed siebie w ziemię, bawiło go całe to wielorakie, zwawe życie, które wykwiatało pod jego krokami. Coś tam biegało i skakało na wszystkie strony, zjawiało się nagle niby wielki tumult i ciżba, a w następnej sekundzie znikało znowu w zielonym gruncie, z którego się wynurzyło.

— Co to jest, mamó? — pytał Bambi.

— To drobne owady — odpowiedziała matka.

— Spójrz no! — zawołał Bambi. — Tam skacze kawałek trawy. Patrz... jak wysoko skacze!

— To nie trawa — wyjaśniła matka — to poczciwy konik polny!

— A dlaczego tak skacze? — zapytał Bambi.

— Bo my idziemy — odpowiedziała matka — ...boi się...

— O!

Bambi zwrócił się do konika polnego, który usiadł właśnie pośrodku kielicha stokrotki.

— O — powiedział uprzejmie — niech się pan wcale nie obawia, na pewno nic panu nie zrobimy.

— Nie obawiam się wcale — odpowiedział konik polny świszczącym głosem. — Przestraszyłem się tylko w pierwszej chwili, gdyż rozmawiałem właśnie z żoną.

— Niech nam pan wybaczy, proszę — powiedział Bambi skromnie. — Przeszkodził mi panu!

— Nic nie szkodzi — zasyczał konik polny. — Ponieważ to pan, więc nic nie szkodzi. Ale nigdy przecież nie można wiedzieć, kim jest ten, kto właśnie nadchodzi, więc trzeba się mieć na baczności.

— Bo trzeba panu wiedzieć, że jestem dzisiaj po raz pierwszy w życiu na łące — wyjaśnił Bambi. — Matka powiedziała mi...

Konik polny stał z czupurnie schyloną główką, zrobił poważną minę i mruknął:



— To mnie nie interesuje. Nie mam czasu gawędzić tu z panem, muszę teraz poszukać żony. Hop!

I już go nie było.

— Hop! — powtórzył Bambi stropiony, podziwiając wysoki skok, jakim zniknął konik polny.

Bambi pobiegł do matki.

— Wiesz... rozmawiałem z nim!

— Z kim? — zapytała matka.

— No, z tym konikiem polnym — odpowiedział Bambi. — Rozmawiałem z nim. Był dla mnie bardzo uprzejmy. I bardzo mi się podobał. Jest tak cudownie zielony, a na końcach tak przezroczyście, jak nie może być żaden liść, nawet najcieńszy.

— To są skrzydła.

— Tak? — mówił dalej Bambi. — I ma taką poważną twarz, taką zamyśloną. Ale mimo to był dla mnie bardzo uprzejmy. A jak on umie skakać! To musi być bajecznie trudne. „Hop!” mówi i skacze tak wysoko, że wcale go już nie widać.

Poszli dalej.

Rozmowa z konikiem polnym wprawiła Bambiego w podniecenie i trochę go zmęczyła, gdyż po raz pierwszy w życiu rozmawiał z kimś obcym. Uczuł głód i przytulił się do matki, aby się pokrzepić.

Kiedy stał potem znowu spokojnie i na chwilę popadł w rozmarzenie, w ową lekką, słodką opijalność, która ogarniała go za każdym razem, kiedy się nasycił mlekiem matki, spostrzegł nagle w gmatwaninie trawy jasny kwiat, który się poruszał. Bambi przyjrzał się dokładniej. Nie, to nie był kwiat, to był motyl.

Bambi cichutko przysunął się bliżej.

Motyl wisiał ociężałe na źdźbłach trawy i leniwie poruszał skrzydełkami.

Motyl

— Proszę, niech pan zostanie na miejscu — zawołał Bambi.

— Dlaczego mam zostać na miejscu? Jestem przecież motylem — odpowiedział owad zdziwiony.

— Ach, niech pan tylko przez chwileczkę zostanie na miejscu — prosił Bambi. —

Dawno już pragnąłem zobaczyć pana z bliska. Niechże pan będzie tak dobry.

— Ostatecznie niech będzie — odpowiedział motyl — ale nie długo.

Bambi stanął przed nim.

— Jaki pan jest piękny — zawołał z zachwytem — jaki cudowny! Jak kwiat!

— Co? — Motyl strzepnął skrzydełkami. — Jak kwiat? No, w moich sferach panuje na ogół przekonanie, że jesteśmy piękniejsi od kwiatów.

Bambi zmieszał się.

— Oczywiście — wybełkotał — o wiele piękniejsi... niech pan wybaczy... chciałem tylko powiedzieć...

— Zupełnie mi jest obojętne, co pan chciał powiedzieć — odparł motyl wyniośle.

Przesadnie wygiął wąskie ciało i dumnie poruszył delikatnymi czułkami.

Bambi obserwował go z zachwytem.

— Jaki pan jest zgrabny — powiedział — jaki delikatny i zgrabny! I jakie cudowne są te białe skrzydła!

Motyl rozpostarł skrzydła szeroko, potem postawił je, złączając je zupełnie w górze, tak że podobne były do pionowych żagli.

— O — zawołał Bambi — rozumiem teraz, że jest pan piękniejszy od kwiatów. A przy tym umie pan fruwać, czego kwiaty nie umieją. Bo przecież są przyrośnięte, to dlatego.

Motyl uniósł się w górę.

— Dość — powiedział. — Umie fruwać.

Uniósł się tak lekko, że niepodobna było tego wcale spostrzec ani zrozumieć. Białe jego skrzydła poruszały się łagodnie, z wdziękiem, oto już szybował w słonecznym powietrzu.

— Tylko na pańską prośbę siedziałem tak długo na miejscu — powiedział, latając w dół i w górę przed oczyma Bambiego — ale teraz odlatuję.

To była łąka.

## ROZDZIAŁ 3

W samej głębi gęstwiny było małe miejsce, które należało do matki Bambiego. Znajdowało się ono o kilka tylko kroków w bok od wąskiej ścieżki saren, która przecinała tutaj las, ale niepodobna go było znaleźć, jeżeli się nie znało małego przełazu w gęstych krzakach.

Była to bardzo ciasna izdebka, tak ciasna, że tylko matka i Bambi mieścili się tam z trudnością, a tak niska, że kiedy matka Bambiego stała, głowa jej kryła się już w gałęziach.

Leszczyna, kolczasty jałowiec i ligustr wrastały tu w siebie nawzajem, wchłaniając tę odrobinę światła słonecznego, jaka przedzierała się przez korony drzew, tak że nigdy nie mogło ono dotrzeć do ziemi.

W tej właśnie izdebce przyszedł Bambi na świat i tutaj było mieszkanie jego i jego matki.

Matka leżała teraz przytulona do ziemi i spała. Bambi także zdrzemnął się trochę. Ale nagle ocknął się zupełnie. Wstał i rozejrzał się dokoła.

Snuły się tutaj cienie, tak że było prawie zupełnie ciemno. Słychać było cichy szum lasu. Od czasu do czasu ćwierkały sikory, od czasu do czasu rozlegał się donośny śmiech dziecięcia albo ponure krakanie wrony. Poza tym wszędzie dokoła panowała cisza.

Tylko powietrze dyszało ciężko w upale południa, a można to było usłyszeć, kiedy się uważnie nadsłuchiwało. Parno tu było w gęstwinie, aż zemdleć było można.

Bambi spojrzął na leżącą matkę:

— Śpisz?

Nie, matka nie spała. Zbudziła się natychmiast, gdy tylko Bambi wstał.

— Co będziemy teraz robili? — zapytał Bambi.

— Nic — odpowiedziała matka. — Zostaniemy tu, gdzie jesteśmy. Połóż się grzecznie i śpij.

Ale Bambi nie miał ochoty spać.

— Chodź — poprosił — chodź na łąkę.

Matka podniosła głowę.

— Na łąkę? Teraz... na łąkę?...

Powiedziała to z takim zdumieniem i z takim przerażeniem, że Bambi uczuł nagły lęk.

— Czyż teraz nie można iść na łąkę?... — zapytał nieśmiało.

— Nie — odpowiedziała matka, a brzmiało to bardzo stanowczo. — Nie, teraz to nie jest możliwe.

— Dlaczego?

Bambi zauważył, że wchodziło tu w grę coś niesamowitego. Stał się jeszcze bardziej zalekniony, ale zarazem kusiło go coś, aby się dowiedzieć wszystkiego.

— Dlaczego teraz nie można iść na łąkę?

— Później dowiesz się już wszystkiego, później, gdy będziesz bardziej dorosły... — uspokoiła go matka.

Ale Bambi nalegał:

— Powiedz mi to lepiej teraz.

— Później — powtórzyła matka. — Teraz jesteś jeszcze małym dzieckiem — ciągnęła czule — a z dziećmi nie rozmawia się o takich sprawach.

Spoważniała zupełnie.

— Teraz... na łąkę... nie chcę nawet myśleć o tym... W jasny dzień!...

— Ależ — zaoponował Bambi — kiedyśmy byli przedtem na łące, był przecież także jasny dzień.

— To co innego — wyjaśniła mu matka — to był wczesny ranek.

— Czy tylko wczesnym rankiem można tam chodzić?

Bambi był znowu zaciekawiony.

Matka miała dużo cierpliwości.

— Tylko wczesnym rankiem albo późnym wieczorem... albo w nocy...

— A w dzień? Nigdy?...

Matka zawahała się.

— Owszem — powiedziała wreszcie — niekiedy... niektórzy z nas chodzą tam niekiedy i za dnia. Ale to są szczególne okoliczności... nie mogę ci tego tak wytłumaczyć... jesteś jeszcze za mały... niektórzy chodzą... ale narażają się przy tym na wielkie niebezpieczeństwo...

— Jak to narażają się na niebezpieczeństwo?

Bambi był niezmiernie zaintrygowany.

Ale matka jakoś mu widocznie nie chciała wszystkiego powiedzieć.

— No, po prostu narażają się na niebezpieczeństwo... Słyszałeś przecież, moje dziecko, że teraz nie możesz jeszcze tych rzeczy zrozumieć...

Bambi pomyślał, że wszystko potrafi zrozumieć, tylko nie może zrozumieć, dlaczego matka nie chce mu dać dokładnej odpowiedzi. Ale milczał.

— Musimy tak żyć — mówiła dalej matka — my wszyscy. Chociaż lubimy dzień... a lubimy go bardzo, szczególnie w dzieciństwie... musimy żyć tak, że w dzień siedzimy w ukryciu. Dopiero od wieczora do rana możemy chodzić wszędzie. Rozumiesz?

— Tak.

— Otóż, moje dziecko, dlatego właśnie musimy teraz pozostać tutaj, gdzie jesteśmy. Tutaj jesteśmy bezpieczni. Tak! A teraz połóż się znowu i śpij.

Ale Bambi nie chciał się teraz położyć.

— Dlaczego jesteśmy tutaj bezpieczni? — zapytał.

— Gdyż strzegą nas wszystkie krzaki, gdyż gałęzie na krzewach trzeszczą, gdyż suchy chrust na ziemi chrzęści i ostrzega nas, gdyż zwiędłe listowie zeszłoroczne leży na ziemi i szeleści, aby dać nam znak... gdyż jest kraska<sup>4</sup> i sroka, które siedzą na straży, i dzięki temu wszystkiemu wiemy już z daleka, kiedy się ktoś zbliża...

— Co to jest — zapytał Bambi — zeszłoroczne listowie?

— Chodź, usiądź tu przy mnie — powiedziała matka — opowiem ci o tym.

Bambi chętnie usiadł przy niej, przytulił się do ciała matki, a ona opowiedziała mu, że drzewa nie zawsze są zielone, że słońce i miłe ciepło znikają. Robi się wtedy zimno, a liście żółkną od mrozu, potem brunatnieją i czerwienieją i opadają powoli, tak że drzewa i krzaki wyciągają w niebo nagie gałęzie i mają wygląd zupełnie zubożały.

A zwiędłe liście leżą na ziemi, gdy zaś dotyka ich stopa, szeleszczą: ktoś idzie! O, dobre są te suche liście zeszłoroczne. Oddają one znakomite usługi, a takie są chętne i czujne! Nawet teraz jeszcze, pośrodku lata, wiele z nich kryje się pod młodym poszyciem i z daleka ostrzegają przed wszelkim niebezpieczeństwem.

Bambi przytulił się mocno do matki. Zapomniał o łące. Tak miło było siedzieć tutaj i przysłuchiwać się, jak matka opowiadała.

Gdy matka zamilkła potem, Bambi zastanowił się. Wydało mu się bardzo pocziwe ze strony dobrych, starych liści, że tak pilnie uważały, chociaż były przecież zwiędłe i zmarznięte i tyle już przeszły w życiu.

Rozmyślał też nad tym, co to może być właściwie to niebezpieczeństwo, o którym matka ciągle mówiła. Ale rozmyślanie zmęczyło go szybko; dokoła panowała cisza, słychać było tylko, jak powietrze gotowało się z gorąca.

I Bambi zasnął.

## ROZDZIAŁ 4

Kiedy pewnego wieczora wyszedł znowu z matką na łąkę, zdawało mu się, że znał już teraz wszystko, co było tam do widzenia i do słyszenia. Ale okazało się, że nie orientował się jeszcze w życiu tak dobrze, jak przypuszczał.

Na początku było zupełnie tak samo, jak za pierwszym razem. Bambi mógł się z matką bawić w gonitwę. Biegał bez przerwy w kółko, a rozległa przestrzeń, wysokie niebo, wolne powietrze tak go znowu oszołomiły, że był zupełnie jak szalony.

Po chwili jednak zauważył, że matka zatrzymała się. I Bambi więc zatrzymał się podczas biegu okrężnego, i to tak nagle, że cztery jego nóżki rozcapierzyły się z rozpędu. Aby osiągnąć przyzwoitą pozycję, podskoczył wysoko w powietrze i teraz dopiero stanął naleyście.

<sup>4</sup>kraska — barwny ptak o jaskrawym, niebiesko-rdzawym upierzeniu. [przypis edytorski]

Zdawało mu się, że matka rozmawiała z kimś, ale w wysokiej trawie niepodobna było odróżnić, kto to był. Bambi z zaciekawieniem pobiegł truchtem bliżej. Wtem w gmatwaninie trawy tuż przed matką poruszyło się dwoje długich uszu. Były szarobrunatne i pięknie przyozdobione czarnymi smugami.

Bambi zmieszał się, ale matka powiedziała:

— Chodź no tu, Bambi, to nasz przyjaciel, zając... Chodź spokojnie i pokaż się.

Bambi zbliżył się natychmiast.

Zając siedział przed nimi i bardzo był miły z wyglądu. Jego długie, łyżkowate słuchy<sup>5</sup> wznosiły się potężnie w górę, a potem opadały zupełnie bezwładnie, jakby ogarnięte nagłą niemocą. Bambi stropił się trochę, kiedy zobaczył sztywne i proste wąsy, okalające ze wszystkich stron usta zająca. Zauważył jednak, że zając miał twarz bardzo łagodną, rysy niezmiernie dobroduszne i że jego wielkie, okrągłe oczy rzucały na świat skromne spojrzenia.

Istotnie, zając wyglądał jak przyjaciel.

Chwilowe skrupuły małego Bambięgo rozwiały się natychmiast. Co dziwne, niebawem też rozwiął się zupełnie szacunek, jaki początkowo dla niego odczuwał.

— Dobry wieczór, paniczku — powitał go zając z wyszukaną uprzejmością.

Bambi skinął tylko głową „dobry wieczór”. Nie wiedział dlaczego, ale tylko skinął głową. Bardzo serdecznie, bardzo grzecznie, ale trochę jednak lekceważąco. Nie mógł inaczej. Może to było wrodzone.

— Co za piękny młody książę! — powiedział zając do matki.

Obserwował Bambięgo uważnie, podnosząc przy tym to jedno łyżkowate ucho, to drugie, to znowu obydwa, a niekiedy opuszczając je oba naraz szybko i bezwładnie, co się jednak małemu Bambięmu nie podobało. Ruch ten zdawał się mówić: nie warto.

Tymczasem zając nadal przyglądał mu się łagodnie wielkimi, okrągłymi oczyma. Nos jego i usta ze wspaniałymi wąsami poruszały się przy tym nieustannie jak u kogoś, kto rusza nosem i wargami, walcząc z kichnięciem. Bambi musiał się roześmiać.

Natychmiast jednak i zając roześmiał się gorliwie, tylko oczy jego stały się bardziej zadumane.

— Winszuję pani — powiedział do matki — szczerze pani winszuję takiego syna. Tak... tak... tak... co to będzie kiedyś za wspaniały książę... tak... tak... tak... to widać od razu.

Wyprostował się teraz i siedział sztywno na tylnych nóżkach, czym Bambi był niezmiernie zdziwiony. Zając rozejrzał się dokoła starannie, nastawiwszy sztywno wielkie słuchy i cudownie poruszając nosem, potem zaś usiadł znowu grzecznie na czworakach.

— Tak, a teraz żegnam szanownych państwa — powiedział — mam jeszcze dzisiaj wieczorem mnóstwo roboty... żegnam najuniżeniej.

Odwrócił się i pobiegł szybko, położywszy po sobie uszy, które sięgały mu aż do łopatek.

— Do widzenia — zawołał za nim Bambi.

Matka uśmiechnęła się.

— Pocziwy zając... taki miły i taki skromny. Nie łatwo mu też jest żyć na świecie.

W słowach jej brzmiała sympatia.

Bambi pospacerował trochę dokoła, podczas gdy matka spożywała wieczerę. Miał nadzieję, że spotka swego znajomego z pierwszego razu, i był też gotów zawrzeć nowe znajomości. Bo chociaż nie uświadamiał sobie jasno, czego mu właściwie brak, było w nim jednak ciągle jakieś oczekiwanie.

Nagle usłyszał z daleka jakiś delikatny szelest na łące i szybkie stukanie w ziemię.

Podniósł wzrok. Tam dalej, na drugim krańcu lasu coś skakało przez trawę. Jakaś istota... nie... dwie!

Bambi szybko rzucił okiem na matkę, ale ona nie troszczyła się o nic, zatopiwszy głowę w trawie. A tam po drugiej stronie odbywała się tymczasem dzika gonitwa w kółko, zupełnie tak samo jak i on przedtem biegał w kółko.

Bambi był tak stropiony, że wykonał skok w tył, jakby chciał uciekać. Wtedy matka zwróciła na niego uwagę i podniosła głowę.

<sup>5</sup>słuchy — uszy zająca. [przypis edytorski]

— Co ci się stało? — zawołała.

Ale Bambi stracił mowę. Nie mógł znaleźć słów i bełkotał tylko:

— Tam... tam...

Matka spojrzała w tę stronę.

— Ach, tak — powiedziała — to moja kuzynka. Racja... i ona ma teraz dziecko... nie, dwoje.

Matka mówiła bardzo wesoło, teraz jednak spoważniała:

— No, no... że też Ena ma dwoje dzieci... naprawdę dwoje...

Bambi stał i gapił się. Z drugiej strony łąki ujrzął teraz postać zupełnie podobną do jego matki. Przedtem wcale jej nie zauważył. Zobaczył, jak dwie istotki mknęły tam nadal w kółko, ale widać było tylko czerwone grzbiety, cienkie czerwone smugi.

— Chodź — powiedziała matka — pójdziemy do nich, to odpowiednie towarzystwo dla ciebie.

Bambi chciał pobiec, ale ponieważ matka szła bardzo wolno i przy każdym kroku rozglądała się na wszystkie strony, więc i on kroczył powoli za nią. Był jednak bardzo podniecony i niecierpliwy.

Matka mówiła dalej:

— Dawno już o tym myślałam, że musimy przecież kiedyś spotkać Enę. „Gdzie też ona siedzi?” myślałam sobie ciągle. A wiedziałam przecież, że i ona ma dziecko. No, tego łatwo się było domyślić. Ale że ma dwoje dzieci...

Dawno już zostali zauważeni i tamci szli im naprzeciw. Bambi musiał się przywitać z ciotką, ale ciągle patrzył tylko na dzieci.

Ciotka była bardzo uprzejma.

— Tak — powiedziała do niego. — To jest Gobo, a to Falina. Możecie się bawić razem.

Dzieci stały sztywno i cicho wpatrywały się w siebie. Gobo tuż obok Faliny, Bambi naprzeciw nich. Żadne nie poruszało się. Stały i gapiły się na siebie.

— To nic — powiedziała matka — już one się zaprzyjaźnią.

— Co za ładne dziecko — odpowiedziała ciotka Ena — naprawdę, niezwykle ładne. Takie silne i taką ma dobrą postawę...

— No, ujdzie — rzekła matka skromnie. — Trzeba być zadowoloną. Ale że ty masz dwoje dzieci, Eno...

— Tak, tak, zdarza się raz tak, raz owak — wyjaśniła Ena. — Wiesz przecież, moja droga, że i dawniej już miałam dzieci.

Matka powiedziała:

— Bambi jest moim pierwszym...

— Widzisz — pocieszyła ją Ena — może następnym razem i u ciebie będzie inaczej...

Dzieci ciągle jeszcze stały bez ruchu i przyglądały się sobie nawzajem. Żadne nie mówiło ani słowa. Nagle Falina wykonała skok i uciekła. Sprawa stała się zbyt nudna.

Bambi natychmiast pobiegł za nią. Gobo nie dał na siebie czekać.

Biegli półkolami, zawracali z błyskawiczną szybkością, potykali się o siebie nawzajem, pędzili w tę i tamtą stronę. Była to cudowna zabawa. Gdy potem zatrzymali się nagle, trochę zdyszani, byli już ze sobą zupełnie zaprzyjaźnieni. Zaczęli więc gawędzić.

Bambi opowiedział, że rozmawiał z poczciwym konikiem polnym i z pięknym motylem.

— A rozmawiałeś też z biedronką? — zapytała Falina.

Nie, z biedronką Bambi nie rozmawiał. Nie znał jej wcale, nie wiedział, co to jest.

— Ja z nią często rozmawiam — powiedziała Falina, trochę dumnie.

— A mnie kraska zwymyślała — powiedział Bambi.

— Naprawdę? — zdziwił się Gobo. — Kraska była dla ciebie taka niegrzeczna?

Gobo łatwo popadał w zdziwienie i był niezmiernie skromny.

— No — powiedział — a mnie jeź ukłuł w nos.

Ale powiedział to tylko jakby mimochodem.

— Kto to jest jeź? — zapytał Bambi uszczęśliwiony.

Wydawało mu się rzeczą cudowną stać tak tutaj, mieć przyjaciół i słyszeć tyle ciekawych rzeczy.



— Jeż to okropne stworzenie! — zawołała Falina. — Na całym ciele pokryty jest wielkimi kolcami... i bardzo jest zły!

— Nie, czy sądzisz naprawdę, że jest zły? — zapytał Gobo. — Nikomu przecież nic złego nie robi!

— Tak? — odpowiedziała Falina szybko. — A ciebie może nie ukłuł?

— Ach, to tylko dlatego, że chciałem z nim rozmawiać — rzekł Gobo pojednawczo — i tylko troszeczkę mnie ukłuł. Nie bardzo bolało.

Bambi zwrócił się do Goba:

— A dlaczego on nie chciał, żebyś z nim rozmawiał?

— On z nikim nie chce rozmawiać — wtrąciła Falina. — Gdy tylko ktoś się do niego zbliży, zaraz zwija się w kłębek i już masz ze wszystkich stron tylko kolce. Matka nasza mówi, że on jest stworzeniem, które nie chce mieć nic wspólnego ze światem.

Gobo powiedział:

— Może on się tylko boi.

Ale Falina lepiej się na tym znała:

— Mama mówi, że z takim wcale się nie należy wdawać.

Bambi zaczął nagle cichutko mówić do Goba:

— Czy ty wiesz, co to jest... niebezpieczeństwo?

Teraz i tamtych dwoje spowaźniało nagle i cała trójka zbliżyła się głowami:

Gobo zastanowił się. Szczerze starał się wiedzieć, gdyż widział, jak ciekaw był Bambi jego odpowiedzi.

— Niebezpieczeństwo... — szepnął. — Niebezpieczeństwo... to jest coś złego...

— Tak — nalegał Bambi z podnieceniem — coś bardzo złego.... ale co?

Wszyscy troje drżeli z grozy.

Nagle Falina zawołała głośno i wesoło:

— Niebezpieczeństwo to jest... kiedy trzeba nagle uciekać...

I skoczyła; nie lubiła stać i bać się.

Bambi i Gobo natychmiast skoczyli za nią.

Znowu zaczęli się bawić, przewalali się po zielonym, szeleszczącym jedwabiu łąki i natychmiast zapomnieli o poważnym pytaniu. Po chwili zatrzymali się w biegu i znowu jak przedtem stanęli razem, żeby pogawędzić.

Spojrzeni w stronę swoich matek. Były one dla siebie tak samo uprzejme, pożywiały się trochę i rozmawiały spokojnym tonem.

Ciotka Ena podniosła głowę i zawołała do swoich dzieci:

— Gobo! Falino! Musimy już zaraz iść...

Matka także upomniała Bambiego:

— Chodź teraz... czas już.

— Jeszcze chwileczkę — prosiła Falina natarczywie — jeszcze tylko chwileczkę.

Bambi błagał:

— Zostańmy jeszcze! Proszę! Tak pięknie jest!

A Gobo powtórzył skromnie:

— Tak pięknie jest... jeszcze chwileczkę.

Mówili jednocześnie wszyscy troje.

Ena spojrzała na matkę.

— No, czy nie powiedziałam? Teraz nie chcą się już rozstawać.

Nagle stało się jeszcze coś, co było o wiele większe niż wszystko, co Bambi przeżył już dzisiaj.

Od strony lasu rozległ się jakiś głuchy tupot i dudnienie po ziemi. Gałęzie trzaskały, chrust szeleścił i zanim można było nastawić uszu, wyskoczyli z gęstwiny. Jeden z szumem i parskaniem, drugi ze świstem za nim. Jak wicher wybiegli z gęstwiny, zatoczyli na łące olbrzymi łuk, zniknęli z powrotem w lesie, gdzie słychać było nadal ich galop, raz jeszcze wypadli z gęstwiny i zatrzymali się nagle, oddaleni od siebie o jakieś dwadzieścia kroków.

Bambi patrzył na nich bez ruchu. Wyglądali podobnie jak matka i ciotka Ena. Ale na głowach ich migotały korony rogów, brunatnymi perłami i jasnymi, białymi zębami. Bambi był zupełnie oszołomiony. Spoglądał to na jednego, to na drugiego. Jeden był niższy, a i korona jego była mniejsza. Drugi zaś był władczo piękny. Głowę nosił wysoko

i wysoko sterczała na niej korona. Migotała ona ciemnymi i jasnymi błyskami, ozdobiona była przepychem licznych czarnych i brązowych pereł i długimi, lśniąc białymi końcami.

— O! — zawołała Falina z podziwem.

Gobo powtórzył cicho:

— O!

Bambi zaś nie powiedział nic. Był zachwycony i oniemiały z zachwyty.

Dwaj przybysze poruszyli się teraz, odwrócili się tyłem do siebie, jeden w jedną stronę, drugi w drugą, i powoli powrócili do lasu. Ten o władcym wyglądzie podszedł bardzo blisko do dzieci, do matki i do ciotki Eny. W niemym przepychu kroczył naprzód, z królewską powagą wznosząc w górę uszlachconą głowę i nie zaszczycając nikogo spojrzeniem.

Dzieci nie śmiały odetchnąć, aż zniknął w gęstwinie. Obejrzały się za drugim, ale w tej samej właśnie chwili zamknęły się za nim zielone wrota lasu.

Falina pierwsza przerwała milczenie.

— Kto to był? — zawołała.

Ale jej cienki, zuchwały głosik drżał.

Gobo powtórzył ledwo dosłyszalnie:

— Kto to był?

Bambi milczał.

Ciotka Ena powiedziała uroczyście:

— To byli ojcowie.

Więcej nic już nie powiedziano i rozstano się.

Ciotka Ena wraz z dziećmi udała się zaraz tutaj w najbliższe krzaki. To była jej droga. Bambi musiał przejść z matką przez całą łąkę aż do dębu, aby dotrzeć na znajomą im ścieżkę.

Milczał długo. Wreszcie zapytał:

— Czy oni nas nie widzieli?

Matka zrozumiała, co miał na myśli, i odpowiedziała:

— Oczywiście oni widzą wszystko.

Bambi uczuł zakłopotanie. Nie miał odwagi zadawać pytań, ale czuł nieprzeparte pragnienie pytania.

Z wahaniem zaczął:

— Dlaczego...

Matka dopomogła mu:

— Co chcesz powiedzieć, moje dziecko?

— Dlaczego nie zostali przy nas?

— Oni przy nas nie zostają — odpowiedziała matka — tylko niekiedy...

Bambi ciągnął:

— Dlaczego z nami nie mówili?

Matka powiedziała:

— Teraz oni z nami nie mówią... tylko niekiedy... Trzeba czekać, aż przyjdą, i trzeba czekać, aż będą z nami mówili... jak im się spodoba.

Z zamętem w duszy zapytał Bambi:

— Czy ojciec mój będzie ze mną mówił?

— Niewątpliwie, moje dziecko — przyrzekła mu matka — kiedy będziesz dorosły, będzie z tobą mówił i wolno ci będzie niekiedy być przy nim.

Bambi siedł w milczeniu obok matki. Wszystkie jego myśli pełne były obrazu ojca.

„Jaki on jest piękny!” — myślał i ciągle na nowo: „Jaki on jest piękny!”

Matka, jakby słyszała jego myśli, powiedziała:

— Jeżeli pozostaniesz przy życiu, moje dziecko, jeżeli będziesz mądry, jeżeli będziesz unikał niebezpieczeństwa, wówczas staniesz się kiedyś tak samo silny i piękny jak twój ojciec i będziesz dźwigał taką samą koronę jak on.

Bambi westchnął głęboko. Serce rozpiętało mu pierś ze szczęścia i przeczucia.

## ROZDZIAŁ 5

Czas upływa, a Bambi robi wiele doświadczeń, ma setki przeżyć. Codziennie zdarza się coś nowego. Niekiedy zupełnie mąci mu się w głowie, gdyż musi się tak nieprawdopodobnie dużo uczyć.

Umie już teraz nasłuchiwać. Nie tylko słuchać tego, co dzieje się tak blisko, że aż samo wpada w ucho. Nie, to nie jest naprawdę wielka sztuka. Umie już nasłuchiwać prawdziwie, rozumnie, nasłuchiwać wszystkiego, co porusza się choćby najciszej, nasłuchiwać najdelikatniejszych szelestów, jakie przynosi wiatr.

Wie na przykład, że tam przez krzaki leci bażant; zna zupełnie dokładnie ten delikatny trójtakt, który urywa się co chwila. Poznaje też słuchem myszy leśne, kiedy biegają tu i tam po swoich krótkich drogach. Dalej krety, kiedy są w dobrym humorze i gonią się w kółko pod krzakiem bzu, aż wszystko świszczy dokoła. Zna śmiały, głośny krzyk sokołów, a po ich gniewnie zmienionym tonie poznaje zbliżanie się jastrzębia albo orła, na którego się gniewają, gdyż obawiają się, że mógłby im odebrać ich teren łowów. Zna klekot skrzydeł gołębi leśnych, piękny, daleki szelest lecących kaczek i wiele, wiele innych jeszcze.

Uczy się też powoli wietrzyć. Niedługo będzie to umiał tak samo dobrze jak jego matka. Potrafi wciągać w nozdrza powietrze i niejako rozkładać je rozumem na części. „O, to jest koniczyna i wiecha<sup>6</sup> — powiada sobie, gdy wiatr wieje od strony łąki — tak, a teraz jest tam także przyjaciel zając; poznaję to doskonale”.

Potem znowu wśród zapachów liści, ziemi, czosnku i marzanki<sup>7</sup> poznaje, że gdzieś przechodzi tchórz; schylając nos do ziemi i badając dokładnie, poznaje, że przechodził tędy lis, albo powiada sobie: „Gdzieś tu w pobliżu są krewni, ciotka Ena z dziećmi”.

Zapoznał się już doskonale z nocą i nie odczuwa już tak wielkiego pragnienia biegania podczas jasnego dnia. Bardzo chętnie wyleguje się teraz za dnia w małej, mrocznej, liściastej izdebce przy matce. Słyszy, jak powietrze gotuje się z gorąca, i zasypia.

Od czasu do czasu budzi się, nasłuchuje i wietrzy, jak należy. Wszystko w porządku. Tylko małe kraski gawędzą trochę ze sobą, piegże<sup>8</sup>, które prawie nigdy nie milkną, rozmawiają półgłosem, a turkawki<sup>9</sup> nie przestają deklamować swoich entuzjastycznych czułości. Co go to obchodzi? Zasypia znowu.

Noc bardzo mu się teraz podoba. Wszystko jest wesołe, wszystko w ruchu. Oczywiście i w nocy trzeba się mieć na baczności, ale jest się jednak ufniejszym i można chodzić, gdzie się chce.

I wszędzie spotyka się znajomych, którzy także są bardziej beztroscy niż za dnia.

W nocy las jest uroczysty i cichy. Kilka tylko głosów odzywa się w tej ciszy, ale i one brzmią inaczej niżeli dźwięki dnia i sprawiają silniejsze wrażenie.

Bambi bardzo lubi sowę. Lata ona tak wytwornie, zupełnie bez szelestu, zupełnie leciutko. Motyl sprawia tyleż hałasu, co ona, a jest ona przecież tak niezmiernie wielka. Ma też tak wyrazistą twarz, tak określoną, tak myślącą, i takie cudowne oczy. Bambi podziwia jej mocne, spokojne i odważne spojrzenie. Chętnie przysłuchuje się jej, kiedy rozmawia z jego matką czy z kimś innym. Bambi stoi wówczas na uboczu, lęka się trochę tego rozkazującego wzroku, który tak podziwia, niewiele też rozumie z tych mądrych rzeczy, które sowa mówi, ale wie, że to są mądre rzeczy, i to go wprawia w zachwyt, budzi w nim taką cześć dla sowy.

A potem sowa zaczyna śpiewać. „Haa-ah — ha-ha-ha — haa-ah!” — śpiewa. Brzmi to zupełnie inaczej niż pieśń drozda albo wilgi, inaczej niż przyjacielski odzew kukulki, ale Bambi lubi śpiew sowy, gdyż wyczuwa w nim jakąś tajemniczą powagę, jakąś niewysłowioną mądrość i jakiś zagadkowy smutek<sup>10</sup>.

Jest także puszczyk, cudowny, mały smyk. Szczwany, wesoły i niezmiernie ciekawy. Ambicją jego jest zwracać na siebie uwagę. „Uj-iik! Uj-iik!” — woła zdławionym, okrop-

<sup>6</sup>wiecha — tu zapewne: wiechlina, trawa z kwiatostanem w kształcie wiechy, stanowiąca wartościową paszę. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>marzanka — roślina zielna o drobnych, różowawych lub białych kwiatach i wąskich liściach. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>piegża — mały ptak wędrowny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>turkawka — ptak wędrowny z rodziny gołębiowatych. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>smutek — melancholia, zaduma, smutek. [przypis edytorski]

nie hałaśliwym głosem. Kiedy się to słyszy, ma się wrażenie, że puszczyk jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. A on tymczasem jest w cudownym humorze i cieszy się szalenie, kiedy się ktoś przeraża. „Uj-iik!” – krzyczy tak okropnie głośno, że słychać to w całym lesie o pół godziny drogi. A potem śmieje się, gruchając cicho, ale to słychać tylko, jeżeli się stoi bardzo blisko niego.

Bambi doszedł rychło do wniosku, że puszczyk cieszy się, kiedy się ktoś przeraża albo kiedy ktoś sądzi, że stało mu się coś złego. Od tego czasu, ilekroć Bambi znajdzie się przypadkowo w pobliżu puszczyka, nie omieszka nigdy nadbiec szybko i zapytać:

— Czy coś się panu stało?

Albo mówi z westchnieniem:

— Ach, jakże się przerażiłem!

Wówczas puszczyk jest niezmiernie zadowolony.

— Tak, tak — mówi ze śmiechem — brzmi to niezmiernie rozpaczliwie.

Kiedy nastroszy pióra, wygląda zupełnie jak szara, miękka kula i jest czarująco piękny.

Była też kilka razy burza. Za dnia i w nocy. Za pierwszym razem była za dnia, a Bambi czuł, jak ogarniał go lęk, kiedy w jego liściastej izdebce stawało się coraz ciemniej. Miał wrażenie, jakby podczas dnia spadła z nieba noc.

A kiedy potem wicher, wyjąc, rozszalał się po lesie, aż nieme drzewa poczęły głośno jęczeć, Bambi drżał ze strachu. A kiedy zapłonęły błyskawice, kiedy zahuczał grzmot, Bambi z przerażenia odchodził od przytomności i przypuszczał, że świat rozpadnie się teraz na strzępy.

Biegł za matką, która zerwała się trochę oszołomiona i kręciła się tu i tam po gęstwinie. Nie mógł myśleć, nie mógł się opanować.

Potem deszcz lunął potokami. Wszystko pochowało się, las opustoszał, nie było ucieczki. W najgęstszych nawet zaroślach było się smaganym przez szalejącą wodę.

Ale błyskawice ustały, ogniste ich promienie nie zapalały się już między wierzchołkami drzew; grzmot oddalił się, słychać już było tylko z daleka jego pomruk, a niebawem zamilkł zupełnie.

Teraz deszcz stał się łagodniejszy. Jego przeciągły szmer brzmiał jeszcze równomiernie i mocno przez godzinę, las stał, dysząc głęboko wśród ciszy, zalewany potokami deszczu, a nikt nie czuł już lęku. To uczucie minęło, deszcz zmył je.

Nigdy jeszcze matka nie poszła z Bambim tak wcześnie na łąkę, jak tego wieczora. Właściwie nie był to jeszcze wcale wieczór. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, powietrze było pokrzepiająco świeże, pachniało silniej niż zwykle, a las śpiewał tysiącem głosów, gdyż wszyscy powylazili ze swoich kryjówek i biegali dokoła, opowiadając sobie nawzajem z zapałem, co to oni przed chwilą przeżyli.

Zanim wyszli na łąkę, przechodzili obok wielkiego dębu, który stał na samym skraju lasu, tuż przy ich ścieżce. Gdy szli na łąkę, musieli zawsze mijać to piękne, wielkie drzewo.

Teraz na jednej z gałęzi siedziała wiewiórka, która ich powitała.

Bambi żył z wiewiórką w wesołej przyjaźni. Z powodu jej czerwonej sukienki przy pierwszym spotkaniu uznał ją za bardzo małą sarenkę i przyglądał się jej stropiony. Ale Bambi był wtedy jeszcze naprawdę niezmiernie dziecinny i po prostu nie znał się na niczym. Od pierwszej chwili wiewiórka nadzwyczajnie mu się spodobała. Była tak wyjątkowo uprzejma, tak mile rozmowna, że Bambi podziwiał z zachwytem jej cudowną umiejętność baraszkowania, wspinania po gałęziach, skakania i huśtania się. Podczas rozmowy biegała w górę i na dół po gładkim pniu drzewa, jakby to było nic. Albo siedziała wyprostowana na chwiejącej się gałęzi, opierając się wygodnie o swoją puszystą kitę, sterczącą za nią pionowo, pokazywała białą pierś, zgrabnie poruszała małymi przednimi łapkami, przechylała główkę na wszystkie strony, śmiała się wesołymi oczyma i bez przerwy mówiła mnóstwo zabawnych albo zajmujących rzeczy.

Właśnie w tej chwili zesza z drzewa, tak szybko i w takich skokach, iż można było pomyśleć, że spadnie przechodniowi na głowę. Z zapałem potrząsała długą, czerwoną kitą i powitała ich już z góry:

— Dzień dobry! Dzień dobry! Jak to pięknie, że przechodzicie tędy!

Matka i Bambi przystanęli.

Wiewiórka zbiegła po gładkim pniu.

Burza

Zwierzę

— No — zaczęła gawędzić — ...czy dobrze przetrwaliście tę sprawę? Naturalnie, widzę przecież, że wszystko jest w najlepszym porządku. A to jest ostatecznie najważniejsze.

Z błyskawiczną szybkością wbiegła znowu z powrotem po pniu, mówiąc przy tym.

— Nie, tam na dole jest mi jednak za wilgotno. Zaczekajcie, poszukam sobie miejsca, gdzie jest lepiej. Mam nadzieję, że wam to nie przeszkadza? Dziękuję bardzo! Od razu sobie pomyślałam, że wam to na pewno nie przeszkadza. A przecież i stąd można wygodnie rozmawiać.

Biegła tam i z powrotem po prostej gałęzi.

— To dopiero porządki — ciągnęła. — Cóż to był za hałas, cóż to był za skandal! No, możecie sobie wyobrazić, jak się przestraszyłam. Wcisnęłam się cichutko w jakiś kącik i nie śmiałam się poruszyć. Najgorsze jest siedzieć tak i nie ruszać się. Ma się przecież nadzieję, że nic się nie stanie, no, a moje drzewo jest w takich wypadkach znakomite... nie, nic się tu nie może stać, moje drzewo jest znakomite... to muszę przyznać. Jestem zadowolona. Choćbym nie wiedzieć jak daleko biegała dokoła, nie pragnę innego drzewa. Ale kiedy przychodzi taka burza jak dzisiaj, jest się jednak okropnie zdenerwowaną.

Wiewiórka siedziała na gałęzi, oparta o swój piękny, sterczący ogon, pokazywała białą pierś i uczuciowo przyciskała obie przednie łapki do serca. Nietrudno było uwierzyć, że się zdenerwowała.

— Idziemy teraz na łąkę — powiedziała matka — żeby się osuszyć na słońcu.

— O, to doskonały pomysł — zawołała wiewiórka. — Pani jest taka mądra, naprawdę, zawsze mówię, że pani jest taka mądra!

Jednym skokiem znalazła się na wyższej gałęzi.

— Nie może pani zrobić nic lepszego, jak iść teraz na łąkę — zawołała stamtąd.

Potem lekkimi skokami poczęła biegać z gałęzi na gałąź ku koronie drzewa.

— I ja pójdę wyżej, gdzie będę miała słońce — mówiła z zadowoleniem — przemokło się przecież zupełnie! Pójdę na sam wierzchołek!

Nie troszczyła się już wcale, czy się ją jeszcze słucha.

Łąka była już dość ożywiona. Przyjacieli zając siedział już, otoczony całą swoją rodziną. Ciotka Ena stała z dziećmi i z kilkoma znajomymi. Dzisiaj ujrzał też Bambi ponownie ojców. Nadchodzili powoli z lasu, jeden stąd, jeden stamtąd, nawet jakiś trzeci zjawiał się także. Powoli przechadzali się skrajem lasu po łące, tam i z powrotem, każdy na swoim miejscu. Na nikogo nie zwracali uwagi, ba, nawet ze sobą nie rozmawiali.

Bambi często spoglądał w ich stronę, ze cziłą i z zaciekawieniem.

Potem rozmawiał z Faliną, z Gobem i z kilkorgiem innych dzieci. Powiedział, że mogliby się trochę pobawić. Wszystkie dzieci zgodziły się natychmiast i zaczęło się bieganie w kółko.

Falina okazała się najweselsza ze wszystkich. Była tak rześka i żwawa, a coraz to wpadały jej do głowy inne pomysły. Ale Gobo szybko poczuł zmęczenie. Okropnie złąkł się przedtem burzy, dostał od tego bicia serca i trwało to jeszcze teraz. Gobo był w ogóle trochę słabowity, ale Bambi lubił go, gdyż był tak dobry i tak usłużny, i zawsze trochę smutny, chociaż nie dawał tego poznać po sobie.

## ROZDZIAŁ 6

Czas upływa, a Bambi uczy się, jak miły smak mają kity traw, jak delikatne są pąki liści i jak słodka koniczyna. Kiedy tuli się do matki, aby się orzeźwić mlekiem, zdarza się często, że matka odpycha go.

— Nie jesteś już małym dzieckiem — mówi.

Czasami mówi nawet po prostu:

— Idź sobie, daj mi spokój.

Zdarza się niekiedy, że w małej ich izdebce leśnej matka wstaje nagle, wstaje pośród dnia i odchodzi, nie oglądając się wcale, czy Bambi idzie za nią czy nie. Czasami też, kiedy wędrują po znajomych ścieżkach, bywa, że matka jakby nie spostrzegła wcale, czy Bambi jest za nią i grzecznie biegnie w jej tropy.

Pewnego dnia matka znikła. Bambi nie wie, jak to było możliwe, zupełnie sobie tego nie umie wytłumaczyć. Ale matki nie ma i Bambi jest po raz pierwszy sam.



Dziwi się najpierw, potem staje się niespokojny, ogarnia go lęk i trwoga, zaczyna żałośnie tęsknić. Stoi smutny bardzo i woła. Nikt nie odpowiada, nikt nie przychodzi.

Bambi nad słuchuje, wietrzy. Nic.

Woła znowu. Cichutko, żarliwie, błagalnie woła:

— Mamo... Mamo...

Daremnie.

Teraz ogarnia go rozpacz, nie może już tego wytrzymać i zaczyna iść.

Wędruje wzdłuż ścieżki, którą zna dobrze, przystaje i woła, idzie znowu dalej, wahającym się krokiem, lękliwie i bezradnie. Jest bardzo smutny.

Idzie coraz dalej i dochodzi do ścieżek, po których jeszcze nigdy nie chodził, przybywa do okolic, które są mu zupełnie obce. Nie orientuje się już wcale.

Nagle słyszy dwa głosiki dziecięce, które wołają tak samo, jak on:

— Mamo... Mamo!...

Bambi przystaje i nasłuchuje.

Naprawdę to Gobo i Falina. To niewątpliwie oni.

Szybko biegnie w kierunku tych głosów i niebawem dostrzega czerwone sukienki migoczące między liśćmi.

Gobo i Falina. Oto stoją tam posepnie obok siebie pod ligustrem i wołają:

— Mamo... Mamo!...

Ucieszyli się, słysząc szelest w krzakach. Ale kiedy poznają Bambiego, są rozczarowani. A jednak cieszą się trochę i na jego widok. A Bambi jest rad<sup>11</sup>, że nie jest już tak zupełnie sam.

— Moja matka znikła — mówi Bambi.

— Nasza także znikła — odpowiada Gobo żałośnie.

Spoglądają po sobie i są zupełnie oszołomieni.

— Gdzież one mogą być? — pyta Bambi.

Jest bliski płaczu.

— Nie wiem — wzdycha Gobo.

Serce mu bije, czuje się okropnie.

Nagle Falina mówi:

— Zdaje mi się... że one są u ojców...

Gobo i Bambi spoglądają na siebie stropieni. Natychmiast ogarnia ich uczucie czci.

— Myślisz... że u ojców?... — pyta Bambi i drży na całym ciele.

Falina drży tak samo, ale robi znaczącą minkę. Zachowuje się jak ktoś, kto wie więcej, niż chce zdradzić. Oczywiście nie wie nic; nie wie nawet, skąd jej to na myśl przyszło.

Ale gdy Gobo pyta teraz:

— Naprawdę?

Falina robi mądrą minkę i powtarza tajemniczo:

— Tak, jestem pewna.

To jest przynajmniej przypuszczenie, nad którym można się zastanowić. Mimo to Bambi nie uspokaja się wcale. Nie może się teraz zresztą zastanawiać, jest zbyt podniecony i zbyt smutny.

Odchodzi. Nie może ustać na miejscu. Falina i Gobo towarzyszą mu kawałek. Wszyscy troje wołają:

— Mamo... Mamo...

Ale potem Gobo i Falina zatrzymują się; nie mają odwagi iść dalej.

Falina mówi:

— Po co? Mama wie, gdzie jesteśmy. Zostańmy więc tutaj, żeby nas znalazła, kiedy wróci.

Bambi idzie sam. Przedziera się przez gąszcz i dochodzi do małej polanki. Na środku tej polanki Bambi zatrzymuje się. Staje nagle jak przykuty i nie może się poruszyć z miejsca.

Tam, na skraju polanki, w wysokim krzaku leszczyny, stoi jakaś postać. Bambi nigdy nie widział takiej postaci. Jednocześnie powietrze przynosi mu zapach, jakiego nigdy

<sup>11</sup>rad — zadowolony. [przypis edytorski]

jeszcze nie czuł. Jest to obcy zapach, ciężki i ostry i podniecający, doprowadzający do szaleństwa.

Bambi wpatruje się w tę postać. Jest ona dziwnie wyprostowana, dziwnie wąska i ma bladą twarz, która przy nosie i dookoła oczu jest zupełnie naga. Przerazliwie naga. Okropna groza płynie z tej twarzy. Zimny strach. Twarz ta posiada jakąś potworną siłę, obywatniającą siłę. Patrząc w tę twarz — to męka nie do zniesienia, a jednak Bambi stoi w miejscu i nie odwraca od niej wzroku.

Postać stoi długo bez ruchu. Potem wysuwa jedną nogę, nogę, która jest zupełnie wysoko, tuż przy twarzy. Bambi wcale nie zauważył, że ta noga tam jest. Ale teraz, kiedy ta straszliwa noga wysuwa się prosto w powietrze, Bambi zostaje samym tym ruchem zmieciony jak puszek przez wiatr. Z błyskawiczną szybkością wpada z powrotem w gęstwinę, tam, skąd przyszedł. I biegnie.

Nagle i matka jest przy nim. Skacze obok niego przez krzaki i pnie. Biegną oboje, ile sił w nogach. Matka prowadzi, zna drogę, a Bambi pędzi za nią. Biegną tak, aż oboje stają przed swoją izbą.

— Widziałeś?... — pyta matka cicho.

Bambi nie może odpowiedzieć, nie złapał jeszcze tchu. Kiwa tylko głową.

— To... był... ON! — mówi matka.

I wzdragają się oboje.

## ROZDZIAŁ 7

Bambi nieraz jeszcze zostawał sam. Ale nie lękał się już tego tak bardzo, jak za pierwszym razem. Matka zniknęła, a choćby wtedy wołał, ile chciał, nie przychodziła. Ale niespodzianie zjawiała się znowu i była przy nim jak zwykle.

Pewnej nocy chodził znowu po lesie zupełnie opuszczony. Nie znalazł nawet Goba i Faliny.

Niebo przybrało już barwę bladoszara, zaczęło już świtać, tak że ponad niskimi krzakami widoczne się już stały wierzchołki drzew. Nagle coś zaszeleściło w zaroślach, długa smuga szelestu przebiegła przez liście i matka przemknęła przed Bambim. Tuż za nią pędził ktoś inny. Bambi nie wiedział, kto to był, ciotka Ena czy ojciec, w każdym razie ktoś za nią gonił. Ale matkę poznał od razu mimo całej szybkości, z jaką obok niego przemknęła. Usłyszał jej głos. Krzyczała, a Bambiemu zdawało się, że krzyczała z bólu, chociaż miał wrażenie, że w krzyku jej brzmiało też sporo lęku.

Kiedy indziej było to za dnia.

Bambi wałęsał się po gęstwinach godzinami. Wreszcie zaczął nawoływać. Nie dlatego, żeby się bał. Po prostu nie chciał być dłużej sam i czuł, że niedługo ogarnie go posępny nastrój. Zaczął więc wołać matki.

Nagle stanął przed nim jeden z ojców i spojrzał na niego surowo. Bambi nie słyszał, jak ojciec nadchodził, i przeraził się. Starzec miał wygląd potężniejszy niż inni, był wyższy i dumniejszy. Sierść jego płonęła głęboką, ciemną czerwienią, ale twarz połyskiwała już srebrzyście; wysoka korona, ozdobiona czarnymi perełkami, wznosiła się potężnie nad ruchliwymi uszami.

— Dlaczego krzyczysz? — zapytał starzec surowo.

Bambi zadrzał z szacunku i nie śmiał odpowiedzieć.

— Twoja matka nie ma teraz czasu dla ciebie! — ciągnął starzec.

Bambi był zupełnie zmiażdżony tym władcym głosem, ale zarazem podziwiał go.

— Czy nie potrafisz być sam? Wstydz się!

Bambi chciał odpowiedzieć, że oczywiście potrafi być sam, że nieraz już był sam, ale nie mógł wydobyć głosu. Był posłuszny i wstydział się okropnie.

Starzec odwrócił się i zniknął. Bambi nie wiedział, jak i dokąd poszedł, nie wiedział, czy odszedł szybko czy wolno. Po prostu zniknął, tak samo nagle jak się zjawiał.

Bambi nasłuchiwał z wytężeniem, ale nie słyszał oddalających się kroków, nie słyszał poruszanych w chodzie liści. Pomyślał więc, że starzec musi być jeszcze bardzo blisko, i począł węszyć na wszystkie strony, badając powietrze. Ale nie przyniosło mu ono jakiegokolwiek zapachu.

Bambi odetchnął z ulgą, gdyż był teraz znowu sam, ale jednocześnie uczuł silne pragnienie ujżenia starca jeszcze raz i zdobycia jego zadowolenia.

Kiedy matka wróciła potem, nie wspomniał jej o tym spotkaniu. Nie wołał jej też więcej, gdy znowu znikła. Chodząc sam po lesie, myślał o starcu; pragnął gorąco spotkać go teraz. Powiedziałby do niego:

— Widzi pan, już nie wołam.

A starzec pochwaliliby go.

Ale kiedy się spotkał na łące z Gobem i Faliną, opowiedział im o starcu. Słuchali z największym zaciekawieniem i nie mogli przytoczyć żadnego własnego przeżycia, które by temu dorównywało.

— Nie bałeś się? — zapytał Gobo z podnieceniem.

Owszem! Bambi przyznał, że się bał. Ale tylko trochę.

— Ja bym się okropnie bał — oświadczył Gobo.

Bambi odpowiedział, że nie, że on się bardzo nie bał, gdyż starzec był cudowny.

A Gobo na to:

— Mnie by to mało pomogło. Ze strachu nie byłbym zdolny spojrzeć nawet na niego. Kiedy się boję, zaraz tak mi migocze przed oczyma, że nic nie widzę, a serce bije mi tak mocno, że nie mogę oddychać.

Falina zamyśliła się bardzo przy opowiadaniu Bambiego i nie powiedziała nic.

Ale kiedy spotkali się następnym razem, Gobo i Falina nadbiegli w wielkim pośpiechu. Byli znowu sami, podobnie jak Bambi.

— Szukamy cię już od dłuższego czasu — zawołał Gobo.

— Tak — powiedziała Falina z powagą — gdyż wiemy już teraz dokładnie, kim był ten, kogo widziałeś.

Bambi aż podskoczył z zaciekawienia.

— Kim?!...

Falina oznajmiła uroczyście:

— Był to stary książę.

— Skąd wiecie? — nalegał Bambi.

— Od naszej matki! — odpowiedziała Falina.

Bambi okazał wielkie zdziwienie.

— Więc opowiedzieliście jej o tym?

Gobo i Falina potakująco skinęły głowami.

— Przecież to była tajemnica! — zawołał Bambi oburzony.

Gobo usprawiedliwił się natychmiast:

— To nie ja. Falina to zrobiła.

Ale Falina zawołała wesoło:

— Ach, co tam, tajemnica! Chciałam wiedzieć, kto to jest. Teraz wiemy już, a to jest o wiele bardziej zajmujące!

Bambi palił się z ciekawości, aby się dowiedzieć wszystkiego, i był już ułagodzony.

Falina opowiedziała mu, czego się dowiedziała.

— Jest on najdostojniejszy w całym lesie. Jest księciem. Nie ma drugiego, który by był do niego podobny. Nikt nie potrafi powiedzieć, gdzie on mieszka. Nikt nie umie wymienić jego krewnych. Nieliczni tylko widzieli go kiedykolwiek. Czasami powiadano już nawet, że nie żyje, gdyż nie widziano go tak długo, że uwierzono w jego śmierć. Ale potem nagle ukazywał się znowu, na chwilę, i w ten sposób dowiadywano się, że jeszcze żyje. Nikt nie odważył się nigdy zapytać go, gdzie był. Nie rozmawia z nikim i nikt nie śmie przemówić do niego. Chodzi drogami, po których nikt inny nie chodzi; zna las aż do najdalszych krańców. I nie ma dla niego niebezpieczeństwa. Inni książęta niekiedy walczą między sobą, czasami tylko dla próby albo dla żartu, czasami jednak poważnie. Z nim od wielu lat nikt już nie walczył. A z tych, co niegdyś z nim walczyli, przed dawnymi czasami, tak, z tych ani jeden już nie żyje. On jest wielkim księciem.

Bambi wybaczył Gobowi i Falinie, że wygadali się przed swoją matką z jego tajemnicą. Był z tego nawet zadowolony, gdyż dzięki temu przecież dowiedział się tych wszystkich ważnych rzeczy. Cieszył się jednak, że Gobo i Falina nie wiedzieli wszystkiego dokładnie. Nie wiedzieli, że wielki książę powiedział: „Czy nie potrafisz być sam?“, że powiedział: „Wstydz się!”.

Bambi był teraz rad, że zataił te karcące słowa. Gobo i Falina opowiedzieliby o tym swojej matce tak samo jak o innych szczegółach, a wtedy wszyscy by o tym mówili.

Tej nocy, kiedy wzeszedł księżyc, matka Bambięgo znowu powróciła.

Stała nagle pod wielkim dębem na skraju łąki i rozejrzała się za Bambim.

Bambi spostrzegł ją natychmiast i podbiegł do niej.

Tej nocy przeżył Bambi znowu coś nowego.

Matka była zmęczona i głodna. Nie chodzili tak daleko po lesie, jak zwykle. Matka najadła się na łące, gdzie i Bambi spożywał najczęściej posiłki. Wspólnie połasuchowali jeszcze trochę przy krzakach i w ten sposób przy miłym posiłku szli coraz głębiej w las.

Nagle przez krzaki przebiegł jakiś potężny szelest. Zanim Bambi zdążył się zorientować, co się dzieje, matka jego zaczęła krzyczeć głośno, jak czasami, gdy była bardzo przerażona albo gdy z oszołomienia straciła panowanie nad sobą.

— A-och! — zawołała, podskoczyła, przystanęła i zawołała znowu:

— A-och! Ba-och!

Teraz ujrzał Bambi potężne postacie, które mijaly ich z wielkim szelestem. Przechodziły one bardzo blisko. Były zupełnie podobne do Bambięgo i jego matki, do ciotki Eny i wszystkich innych z ich rodu, ale były olbrzymie, były tak wielkiego wzrostu, że trzeba było na nie spoglądać w górę z oszołomieniem.

Bambi zaczął także zawodzić.

— A-och... Ba-och... ba-och!

Nie zdawał sobie niemal sprawy, że krzyczał, ale po prostu nie mógł inaczej.

Pochód przesunął się obok nich powoli. Trzy, cztery olbrzymie postacie, jedna za drugą. Na końcu szedł jeden, który był jeszcze większy od innych, miał na karku dziką grzywę, a na głowie koronę jak całe drzewo.

Widok ten pozbawiał tchu.

Bambi stał nieruchomo, jęcząc całą piersią, gdyż czuł się tak niesamowicie, jak nigdy jeszcze. Bał się, ale w jakiś szczególny sposób. Wydawał się sobie samemu żałośnie małym, a nawet matka wydawała mu się nędznie umniejszona. Wstydził się, nie wiedząc dlaczego, ale zarazem wstrząsał nim dreszcz grozy, tak że zawodził ciągle:

— Ba-och... ba-a-och!

Kiedy tak krzyczał, doznawał ulgi.

Pochód przeszedł. Już go nie było widać ani słyszeć. Matka milczała także. Tylko Bambi od czasu do czasu pobekiwał krótko. Ciągle jeszcze wstrząsał nim dreszcz.

— Uspokój się już — powiedziała matka — odeszli przecież.

— O, mamó — szepnął Bambi — kim oni byli?

— Ach, właściwie nie jest to wcale takie niebezpieczne — powiedziała matka. — To byli nasi wielcy krewni... tak... są oni wielcy i bardzo wytworni... jeszcze bardziej wytworni niż my...

— I nie są niebezpieczni? — zapytał Bambi.

— Zazwyczaj nie — wyjaśniła matka. — Co prawda niejedno się już podobno zdarzyło. Mówią o tym to i owo, ale ja nie wiem, czy w tych wszystkich historiach jest coś prawdy. Mnie nigdy jeszcze nie zrobili nic złego, tak samo nikomu z moich znajomych.

— Dlaczego mieliby nam zrobić coś złego — zapytał Bambi — jeżeli są naszymi krewnymi?

Starał się zachować spokój, ale ciągle jeszcze drżał na całym ciele.

— Nie, z pewnością nie zrobią nam nic złego — odpowiedziała matka — ale nie wiem dlaczego, przerażam się jednak za każdym razem, kiedy ich widzę. Po prostu nie mogę tego zrozumieć. Za każdym razem dzieje się ze mną to samo.

Rozmowa ta stopniowo ułagodziła przerażenie Bambięgo, ale stał się dziwnie zamyślony. Tuż nad nim w gałęziach olchy puszczyk wydawał donośne okrzyki. Ale Bambi był roztargniony i zapomniał udawać dzisiaj, że się tym przestraszył.

Mimo to puszczyk nadleciał zaraz bliżej i zapytał:

— Czy nie przestraszyłem pana może?

— Oczywiście — odpowiedział Bambi — zawsze mnie pan przestrasza.

Puszczyk roześmiał się cicho. Był zadowolony.

— Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe — powiedział — taka już jest moja natura.

Nadał się tak, że wyglądał jak kula, zanurzył dziób w miękkim jak puch pierzu i zrobił bardzo miłą i poważną minę. Był zadowolony.

Bambi wypowiedział się przed nim:

— Wie pan — zaczął przemądrzale — przed chwilą właśnie przeżyłem wielki strach.

— Tak? — zapytał puszczyk niechętnie.

Bambi opowiedział mu o spotkaniu z olbrzymimi krewnymi.

— Niech mi pan da spokój z krewnymi — zawołał puszczyk. — I ja mam krewnych. Ale niech no się tylko gdziekolwiek pokażę za dnia, zaraz mnie napadają. Nie, krewni są w ogóle do niczego. Jeżeli są więksi od nas, są do niczego, a jeżeli są mniejsi od nas, tym bardziej są do niczego. Jeżeli są więksi od nas, nie lubimy ich, ponieważ są dumni, a jeżeli są mniejsi od nas, wtedy oni nas nie lubią, gdy wtedy my jesteśmy dumni. Nie, nie chcę nawet słyszeć o krewnych.

— Ale... ja moich krewnych wcale nie znam... — powiedział Bambi lękliwie i tęsknie. — Nigdy o nich nie słyszałem, a dzisiaj widziałem ich po raz pierwszy.

— Niech się pan o nich nie troszczy — zawołał puszczyk. — Niech mi pan wierzy, że tak jest najlepiej. Krewni nigdy nie są tak dobrzy jak przyjaciele. Widzi pan, my dwaj wcale nie jesteśmy spokrewnieni, ale jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi, a to jest bardzo miłe.

Bambi chciał jeszcze coś powiedzieć, ale puszczyk ciągnął:

— Mam w tych sprawach własne doświadczenia. Pan jest jeszcze młody. Niech mi pan wierzy, ja się na tym lepiej znam. Zresztą nie mam najmniejszego zamiaru wtrącać się do spraw rodzinnych.

Tak znacząco wykręcił oczy i tak dostojnie wyglądał ze swoją poważną miną, że Bambi milczał przez skromność.

## ROZDZIAŁ 8

Minęła inna jeszcze noc, a rano przyniósł nowe wydarzenie.

Był to rano przepojony rosą i świeżością, pod bezchmurnym niebem. Wszystkie liście na drzewach zaczęły nagle silniej pachnieć, wszystkie liście na krzakach. Łąka szerokimi falami wydychała woń ku wierzchołkom drzew.

— Pip! — powiedziały sikory, kiedy się przebudziły.

Powiedziały to bardzo cicho. Ale że było jeszcze tak szaro i mrocznie, chwilowo nie mówiły tego więcej.

Przez pewien czas panowała zupełna cisza. Potem zabrzmiał w powietrzu ostry, przenikliwy okrzyk wroni. Dochodził on z góry. Wrony obudziły się i nawzajem odwiedzały się w koronach drzew.

Natychmiast odpowiedziała sroka:

— Szakerakszak... myślicie może, że ja jeszcze śpię?

Teraz rozpoczęły się krótkie, tysiączne okrzyki, tu i tam, daleko i blisko, bardzo cicho:

— Pip! Pip! Tiu!

W głosach tych był jeszcze sen i zmrok. I właściwie były jeszcze odosobnione.

Nagle kos wzleciał na wierzchołek buku. Wzleciał aż na najwyższe gałęzie, cienkie i sterczące w powietrzu, usiadł tam wysoko w powietrzu i ponad wszystkimi drzewami spoglądał, jak znużone nocą, bladoszare niebo daleko na wschodzie rozżarzało się i ożywiało.

Potem zaczął śpiewać.

Gdy się na niego patrzyło z dołu, był tylko drobnutką, ciemną plamką. Jego małe, czarne ciało podobne było z daleka do zwiędłego liścia. Ale jego pieśń rozbrzmiewała po lesie jak wielki okrzyk radości.

Teraz ożywiło się wszystko. Zaśpiewały zięby, rozległy się głosy pliszek i szczygłów. Z głośnym klaskaniem i łopotem skrzydeł przenosiły się gołębie z miejsca na miejsce. Bażanty pokrzykiwały, a brzmiało to, jakby im pękały gardziele. Miękki i silny był szelest ich lotek, gdy opuszczały się na ziemię z drzew, na których spędziły noc. Wielokrotnie jeszcze wydawały na ziemi metaliczne, ogłuszające okrzyki, gulgocząc potem z cicha. Wysoko w powietrzu sokoły wołały donośnie i wesoło:

— Tak, tak, tak!

Ptak



Słońce wzeszło.

— Diu-diju! — zaśpiewała radośnie wilga.

Latała tu i tam między gałęziami, a ciało jej, żółte i okrągłe, połyskiwało w promieniach porannych niby uskrzydłona złota kula.

Bambi wyszedł spod wielkiego dębu na łąkę. Migotała ona od rosy, pachniała trawą, kwiatami i wilgotną ziemią i szeptała o tysiącakim życiu.

Tam siedział przyjaciel zając, zastanawiając się widocznie nad czymś niezmiernie ważnym. Ówdzie znowu powoli przechadzał się dumny bażant, obskubując wiechy traw i ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony. Ciemnoniebieski pancerz jego szyi świecił w słońcu.

Ptak

Ale tuż przed Bambim stał jeden z książąt, zupełnie blisko. Bambi nigdy go jeszcze nie widział, w ogóle żadnego z ojców nie widział jeszcze nigdy z tak bliska. Stał przed nim tuż przy krzaku leszczyny, trochę jeszcze osłonięty gałęziami.

Bambi nie poruszał się. Miał nadzieję, że książę wyjdzie zupełnie na łąkę, i zastanawiał się, czy może się ośmielić przemówić do niego.

Chciał zapytać o to matkę i obejrzał się za nią. Ale matka poszła już dalej i stała w dość dużej odległości, po drugiej stronie łąki, obok ciotki Eny. W tej chwili właśnie z gęstwiny wybiegli także na łąkę Gobo i Falina.

Bambi trwał bez ruchu i zastanawiał się. Gdyby chciał teraz pobiec do matki, ciotki Eny, Goba i Faliny, musiałby przejść obok księcia. Wydawało mu się to nieuprzejme.

„Ach, co tam — pomyślał — nie potrzebuję wcale pytać matki. Przecież i stary książę rozmawiał ze mną, a ja wcale o tym matce nie opowiedziałem. Przemówię do księcia, spróbuję. Niech tamci widzą, jak ja z nim rozmawiam. Powiem do niego: »Dzień dobry, książę!«. O to przecież nie może być zły. A gdyby się rozzłościł, ucieknę szybko”.

Bambi walczył z decyzją, ciągle jeszcze nie mogąc się zdobyć na stanowczy krok.

W tej chwili książę wyszedł zupełnie z krzaku leszczyny na łąkę.

„Teraz...” — pomyślał Bambi.

Nagle huknął grzmot.

Niebezpieczeństwo

Bambi drgnął i nie wiedział, co się stało.

Zobaczył, jak stojący przed nim książę poderwał się w górę wielkim skokiem, a potem tuż obok niego szalonym pędem pomknął w las.

Bambi rozejrzał się dokoła zdreptały, grzmot ciągle jeszcze huczał mu w uszach. Zobaczył, jak po drugiej stronie łąki matka, ciotka Ena, Gobo i Falina uciekli szybko do lasu, zobaczył, jak przyjaciel zając umknął nieprzytomnie, zobaczył, jak bażant pobiegł przed siebie z wyciągniętą szyją, spostrzegł, że cały las zamilkł nagle — skupił się więc w sobie i skoczył z powrotem w gęstwinę.

Zrobił zaledwie kilka kroków, kiedy zobaczył księcia, leżącego przed nim na ziemi. Leżał bez ruchu. Bambi zatrzymał się przerażony, nie rozumiejąc, co to może znaczyć. Książę leżał skrzwawiony i martwy, a łopatka jego rozdarła była szeroką raną.

— Nie zatrzymuj się! — zawołano nagle groźnie tuż obok niego.

Była to matka, która pędziła pełnym galopem.

— Biegnij! — zawołała. — Biegnij, ile masz sił!

Nie zatrzymała się, pędziła dalej, a rozkazem tym natychmiast porwała Bambiego ze sobą. Począł biec ze wszystkich sił.

— Co to jest, mamó? — zapytał. — Co to było, mamó?

Matka odpowiedziała, dysząc ciężko:

— To... był... ON!

Bambi wzdrygnął się i oboje pomknęły dalej.

Bez tchu zatrzymali się wreszcie.

— Co pani na to powie? Proszę pani, co pani na to powie? — zawołał delikatny głosik nad nimi.

Bambi spojrział w górę i zobaczył wiewiórkę, spuszczałą się szybko między gałęziami.

— Biegłam tu z wami przez całą drogę — zawołała. — Ach, jakie to okropne!

— Czyż pani przy tym była? — zapytała matka.

— Ależ naturalnie, że byłam przy tym — odpowiedziała wiewiórka. — Drzę przecież jeszcze na całym ciele.

Siedziała wyprostowana, wspierając się na swojej wspaniałej kicie, pokazywała wąską, białą pierś i przekonywującym ruchem przyciskała obie przednie łapki do ciała.

— Jestem zupełnie nieprzytomna ze zdenerwowania.

— I ja zupełnie opadłam z sił z przerażenia — powiedziała matka. — To rzecz niepojęta. Nikt z nas nic nie widział.

— Tak? — zawołała z zapalem wiewiórka. — W takim razie myli się pani bardzo. Ja GO już dawno widziałam.

— Ja także! — zawołał jakiś inny głos.

Była to sroka; nadleciała właśnie i usiadła na gałęzi.

— Ja także! — mruknął ktoś z jeszcze większej wysokości.

Na gałęzi olszyny siedziała kraska.

A z wierzchołków drzew zakrakało gniewnie kilka wron:

— Myśmy GO także widziały!

Siedziały wszystkie dokoła i gadały z napuszeniem. Były dziwnie podniecone i — jak się zdawało — przejęte gniewem i lękiem.

— Kogo? — zapytał Bambi — kogo one widziały?

— Zadawałam sobie największy trud — opowiadała wiewiórka, przyciskając przekonywującym ruchem przednie łapki do serca. — Zadawałam sobie największy trud, żeby zwrócić biednemu księciu uwagę.

— Mnie także nie słyszał — zaskrzeczała sroka. — Dziesięć razy wołałam. Właśnie chciałam podfrunąć zupełnie blisko, gdyż pomyślałam sobie, że jeżeli nie dosłyszał mnie dotychczas, to muszę polecieć na krzak leszczyny, przed którym stał. Tam będzie mnie musiał usłyszeć. Ale w tej właśnie chwili stało się.

— Mój głos jest przecież naprawdę donośniejszy niż wasze, a ostrzegałam go jak mogłam — przemówiła wrona rozgoryczonym tonem. — Ale ci państwo mało zwracają uwagi na takie stworzenia jak my.

— Naprawdę, o wiele za mało — zgodziła się wiewiórka.

— Robi się, co się może — wtrąciła sroka. — Oczywiście nie nasza wina, jeżeli staje się nieszczęście.

— Taki piękny księżę — żaliła się wiewiórka — i w sile wieku!

— Hach! — mruknęła kraska. — Gdyby nie był tak dumny, gdyby słuchał naszych ostrzeżeń!

— Na pewno nie był dumny! — zaoponowała wiewiórka.

A sroka dodała:

— W każdym razie nie był bardziej dumny niż inni książęta z jego gatunku.

— W takim razie głupi! — zaśmiała się kraska.

— Pani sama jest głupia! — zawołała wrona z góry. — Niechże pani nie mówi o głupocie. Cały las przecież wie, jaka pani jest głupia.

— Ja? — odpowiedziała kraska, skamieniała ze zdziwienia. — O mnie nikt nie może powiedzieć, że jestem głupia. Mam tylko słabą pamięć, ale głupia na pewno nie jestem.

— Jak pani woli — odpowiedziała wrona poważnie. — Niech pani zapomni o tym, co powiedziałam, ale niechże pani zważy, że księżę musiał umrzeć nie dlatego, że był dumny albo głupi, ale że przed NIM nikt ująć nie zdoła.

— Hach! — mruknęła kraska. — Nie lubię takich rozmów.

I odleciała.

Wrona mówiła dalej:

— Nawet z mojego rodu wielu już ON podszedł. Zabija, kogo chce. Nie ma dla nas ratunku.

— Mimo to trzeba się mieć na baczności — wtrąciła sroka.

— Oczywiście, oczywiście — zgodziła się wrona smutno. — Do widzenia.

Odleciała, a krewne jej ruszyły natychmiast za nią.

Bambi rozejrzał się dokoła. Matki już przy nim nie było.

„O czym one mówią?” — pomyślał Bambi. „Nie wszystko z tego, co mówią, mogę zrozumieć. Kto jest ten ON, o którym rozmawiają?... Przecież ten, kogo widziałem wtedy w krzakach, to był także ON... ale mnie ON nie zabił...”

Bambi pomyślał o księciu, którego widział leżącego przed sobą, z krwawiącą, poszarpaną łopatką. Teraz księżę już nie żył.

Bambi poszedł dalej.

Las śpiewał znowu tysiącami głosów, słońce szerokimi smugami przedzierało się przez korony drzew, wszędzie było jasno, liście zaczynały parować.

Wysoko w powietrzu nawoływały sokoły, a tutaj, zupełnie blisko, roześmiał się głośno dzięciół, jakby się nic nie stało.

Bambi czuł się nie wesoło. Czuł się zagrożony przez coś tajemniczego, nie rozumiał, jak inni mogli być tak weseli i beztroscy, jeżeli życie było takie trudne i niebezpieczne. W tej chwili ogarnęło go pragnienie, aby odejść daleko, coraz głębiej i głębiej w las. Kusilo go teraz, aby zwrócić się tam, gdzie był największy gąszcz, poszukać sobie jakiegoś schronienia, gdzie byłby ze wszystkich stron otoczony nieprzeniknionymi zaroślami i gdzie nie mógłby być dostrzeżony. Na łąkę postanowił już nigdy nie wychodzić.

Obok niego coś poruszyło się bardzo cichutko w krzakach. Bambi wzдрыgnął się gwałtownie. Stał przed nim starzec.

W Bambim coś zadrgało; chciał uciekać, ale opanował się i pozostał.

Starzec spojrział na niego wielkimi, głębokimi oczyma:

— Czy widziałeś to, co się stało przedtem? — zapytał.

— Tak — odpowiedział Bambi cicho.

Serce jego biło tak mocno, że dławiło mu język.

— Gdzie twoja matka? — zapytał znowu starzec.

Bambi odpowiedział, ciągle jeszcze bardzo cicho:

— Nie wiem.

Starzec nieustannie spoglądał na niego:

— I nie wołasz jej?

Bambi spojrział w czcigodną, posiwiąłą twarz, spojrział na wspaniałą koronę starca i nagle nabrał odwagi.

— Potrafię być także sam — odpowiedział.

Starzec przyglądał mu się przez chwilę, potem powiedział łagodnie:

— Czy to nie ty jesteś tym malcem, który niedawno płakał, wzywając matki?

Bambi wstydził się troszeczkę, ale zachował odwagę.

— Tak, to ja — wyznał.

Starzec spojrział na niego w milczeniu, a Bambi miał wrażenie, że te głębokie oczy patrzyły teraz na niego łagodniej.

— Złajaleś mnie wtedy, stary książę — zawołał z zapalem — złajaleś mnie za to, że nie potrafiłem być sam. Od tego czasu już to potrafię!

Starzec spojrział na Bambiego badawczo i uśmiechnął się leciutko, ledwo dostrzegalnie, ale Bambi dostrzegł to jednak.

— Stary książę — poprosił poufale — co się stało? Nie rozumiem tego... kim jest ON, o którym wszyscy mówią?...

Urwał, przerażony posępnym spojrzeniem, które nakazało mu milczenie.

Znowu minęła chwila milczenia.

Starzec spoglądał ponad Bambim w dal, potem powiedział powoli:

— Samemu słuchać, węszyć i patrzeć. Samemu się uczyć.

Jeszcze wyżej uniósł ukoronowaną głowę.

— Bywaj — powiedział.

Nic więcej.

A potem zniknął.

Bambi pozostał sam, zupełnie oszołomiony, bliski zwątpienia. Ale pożegnanie to brzmiało nadal w jego duszy i budziło w nim otuchę. „Bywaj”, powiedział starzec. Więc nie był zły.

Bambi uczuł, że przenika go duma, uczuł, że jakaś uroczyista powaga wznosi mu pierś. Tak, życie było trudne i pełne niebezpieczeństw. Niechaj przyniesie co chce, już on się nauczy znosić wszystko.

Powoli skierował się w las.

## ROZDZIAŁ 9

Z wielkiego dębu na skraju łąki spadały liście. Spadały ze wszystkich drzew.

Jedna gałąź dębu sterczała wysoko ponad innymi i sięgała daleko na łąkę. Na najdalszym jej krańcu uczezione były dwa liście.

— Nie jest już tak jak dawniej — mówił jeden liść do drugiego.

— Nie — odpowiedział drugi. — Dzisiejszej nocy znowu tak wiele z nas odeszło... jesteśmy już prawie jedyni na naszej gałęzi.

— Nie wiadomo, kogo to dosięgnie — powiedział pierwszy. — Kiedy było jeszcze ciepło i słońce grzało mocno, zdarzał się niekiedy wicher albo ulewa i wiele z nas już wtedy było zrywanych, chociaż były jeszcze młode. Nie wiadomo, kogo to dosięgnie.

— Teraz słońce rzadko świeci — westchnął drugi liść — a kiedy nawet świeci, nie daje już siły. Trzeba by mieć nowe siły.

— Czy też to prawda — odezwał się pierwszy — czy też to prawda, że kiedy nas już nie będzie, przyjdą na nasze miejsce inne, a potem znowu inne, i tak ciągle, ciągle...

— Niewątpliwie jest to prawda — szepnął drugi — niepodobna sobie wcale wyobrazić... to przechodzi nasze pojęcia...

— I budzi to też zbyt wielki smutek — dodał pierwszy.

Milczały przez dłuższy czas.

Potem pierwszy liść powiedział cicho, jakby do siebie:

— Co się dzieje z nami, kiedy opadamy?

— Lecimy na dół...

— Co jest na dole?

Pierwszy liść odpowiedział:

— Nie wiem. Jeden mówi, że to, inny mówi, że tamto... ale nikt nie wie właściwie.

Drugi zapytał:

— Czy czuje się jeszcze coś, czy wie się jeszcze coś o sobie, kiedy się jest na dole?

Pierwszy odpowiedział:

— Któż to może wiedzieć? Żaden jeszcze z tych liści, co spadły na dół, nie powrócił jeszcze na górę, aby móc o tym opowiedzieć.

Zamilkły znowu.

Potem pierwszy liść czule przemówił do drugiego:

— Nie trap się tak bardzo, drżysz przecież cały.

— Daj spokój — odpowiedział drugi — łatwo teraz popadam w drzenie. Nie czuję się już tak mocno na swoim miejscu.

— Nie mówmy więcej o takich rzeczach — powiedział pierwszy liść.

Drugi odpowiedział:

— Nie... nie mówmy o tym... Ale... w takim razie o czym mamy mówić?...

Zamilkł, a po chwili ciągnął:

— Kto też z nas dwóch najpierw będzie musiał spaść?...

— Na to mamy jeszcze czas — ułagodził go pierwszy. — Wspominajmy teraz lepiej, jak pięknie było przedtem, jak cudownie! Kiedy zjawiało się słońce i ogrzewało nas, aż się tryskało zdrowiem. Pamiętasz jeszcze? I ta rosa w porannych godzinach... i te łagodne, wspaniałe noce...

— Teraz noce są okropne — biadał dalej drugi liść — i wcale się nie kończą.

— Nie powinniśmy się skarżyć — rzekł pierwszy łagodnie — żyliśmy dłużej niż wiele, wiele innych.

— Zmieniłem się chyba bardzo? — zapytał drugi liść nieśmiało, ale natarczywie.

— Ani trochę — zapewnił go pierwszy. — Mówisz tak pewnie dlatego, że ja stałem się taki żółty i brzydki. Nie, u mnie to coś zupełnie innego...

— Ach, daj spokój — przerwał drugi.

— Nie, naprawdę — powtórzył pierwszy z zapalem — uwierze mi nareszcie! Jesteś tak samo piękny, jak pierwszego dnia. Tu i ówdzie masz może jakąś żółtą plamkę, której nawet spostrzec niepodobna, a która cię zresztą tylko upiększa. Uwierze mi nareszcie!

— Dziękuję ci — szepnął drugi liść wzruszony. — Nie wierzę ci... niezupełnie... ale dziękuję ci, że jesteś taki dobry... zawsze byłeś dla mnie dobry... teraz dopiero rozumiem w całej pełni, jaki byłeś dla mnie dobry...

Przemijanie

— Milczcie — powiedział pierwszy liść i sam zamilkł także, gdyż ze zmartwienia nie mógł więcej mówić.

Milczały teraz oba.

Godziny mijały.

Wilgotny wiatr, zimny i wrogi, uderzał o wierzchołki drzew.

— Ach... teraz... — powiedział drugi liść — ...ja...

W tej chwili głos jego urwał się. Łagodnie oderwał się ze swego miejsca i poszybował w dół.

Teraz była zima.

## ROZDZIAŁ IO

Bambi zauważył, że świat się zmienił. Trudno mu było dostosować się do tego zmienionego świata. Dotychczas żyli wszyscy jak bogacze, a teraz zaczęli popadać w ubóstwo. Ale Bambi znał tylko bogactwo. Uważał za rzecz naturalną, że otoczony był zewsząd największym dostatkiem i najwspanialszym zbytkiem, że nie miał trosk o pożywienie, sypiał w pięknej, zielono ozdobionej izbie, do której nikt nie mógł zajrzeć, i spacerował w gładziutkiej, lśniąco czerwonej sukience.

Teraz wszystko się zmieniło, a Bambi prawie tego nie zauważył. Zmiana, jaka się dokonała, była dla niego tylko szeregiem interesujących, nowych zjawisk. Bawiło go, kiedy mlecznobiałe zasłony mgieł unosiły się rankiem z łąki albo opadały z wcześniej ciemniejszego nieba. Tak pięknie rozplywały się potem w słońcu. Podobał mu się też szron, który tak zdumiewająco biało zaścierał ziemię i łąkę.

Przez pewien czas bawił się, słuchając okrzyków swoich wielkich krewniaków, jeleni<sup>12</sup>. Cały las huczał od głosów tych królów. Bambi nadsluchiwał i bał się bardzo, ale serce jego drżało przy tym z podziwu, kiedy go dobiegały te grzmiące okrzyki. Myślał o tym, że królowie nosili korony, które były tak wielkie i tak rozgałęzione jak mocne gałęzie drzew, i myślał, że głosy ich były tak samo potężne jak ich korony. Kiedy do uszu jego dochodził mocarny wybuch takiego głosu, przystawał cichutko i nie poruszał się. Władcze pożądanie huczało po lesie głębokimi dźwiękami, bezmierny jęk szlachetnej, oszalałej krwi, pieniącej się pierwotną mocą w tęsknocie, gniewie i dumie.

Daremnie Bambi walczył ze swoim lękiem. Lęk ten przejmował go zawsze, ilekroć słyszał te głosy, ale był dumny, że ma tak wytwornych krewnych. Zarazem czuł jakiś osobliwy odruch rozdrażnienia, że byli oni tak nieprzystępni. Urażało go to i upokarzało, chociaż nie wiedział, dlaczego i jak, ba, chociaż tego sobie w ogóle dokładnie nie uświadamiał.

Dopiero gdy okres miłosny królów przeminął, gdy przebrzmiał grom ich potężnych okrzyków, Bambi odzyskał znowu zdolność interesowania się innymi zjawiskami.

Kiedy szedł nocą przez las albo za dnia leżał w swojej izbie, słyszał, jak spadające liście szeptały w koronach drzew. Nieustannie rozlegał się w powietrzu jakiś szelest i plusk, we wszystkich wierzchołkach, we wszystkich gałęziach. Delikatny srebrny dźwięk spływał ustawicznie na ziemię. Cudownie było budzić się przy tym dźwięku i cudownie było zasypiać przy tym tajemniczo melancholijnym poszepcie.

A potem liście leżały wysokimi stosami na ziemi, a gdy się szło, szumiały głośno i szeptały cicho. Bardzo to było wesołe, że przy każdym kroku trzeba je było usuwać na bok, gdyż tak wysoko były nagromadzone. Robiło to „szsz-szsz”, bardzo delikatnie, bardzo dźwięcznie i srebrzyście. A przy tym było bardzo użyteczne, gdyż w tym okresie nie trzeba sobie było zadawać trudu nadsluchiwaniami i wietrzeniem. Wszystko słyszało się już przecież z daleka. Liście szeleściły przy najlżejszym ruchu; krzyczały: „szsz!”. Któż by się mógł podkraść niepostrzeżenie? Nikt!

Ale potem przyszedł deszcz. Lał od wczesnego ranka do późnego wieczora, pluskał i siekł od późnego wieczora przez całą noc aż do następnego ranka, ustawał na chwilę i na nowo zaczynał ze świeżymi siłami.

Jesień

<sup>12</sup>*swoich wielkich krewniaków, jeleni* — sarny i znacznie od nich większe jelenie to różne gatunki zwierząt, chociaż wiele osób mylnie uważa, że sarna to samica jelenia. [przypis edytorski]

Powietrze wydawało się wypełnione zimną wodą, cały świat wydawał się nią wypełniony. Kiedy się chciało zjeść kilka źdźbeł trawy, miało się usta pełne wody, a gdy się poskubało trochę jakiś krzak, całe potoki kropel spływały na oczy i na nos.

A liście już nie szeleściły. Leżały na ziemi miękkie i ciężkie, przygniecione przez deszcz, i nie wydawały już w ogóle dźwięku.

Po raz pierwszy Bambi doświadczył, jak to było źle, gdy się było dniami i nocami oblewanym potokami wody i obmywanym aż do skóry. Nie było mu jeszcze zimno, ale tęsknił za ciepłem i okropne mu się wydawało, że musiał stałe biegać taki przemoczony.

Gdy później nadszedł także wiatr północny, Bambi poznał uczucie zimna. Niewiele mu pomagało, że tulił się mocno do matki. Tak, oczywiście, początkowo wydawało mu się cudowną rzeczą leżeć tak i przynajmniej z jednej strony czuć miłe ciepło. Ale wicher szalał dniami i nocami po lesie. Zdawało się, że jakiś niepojęty, lodowato zimny gniew smaga go aż do szaleństwa, zdawało się, że chce wyrwać cały las z korzeniami i unieść ze sobą albo w jakikolwiek inny sposób zniszczyć.

Drzewa trzeszczały od potężnego oporu, mocarnie walczyły z mocarnym atakiem. Słychać było ich przeciągłe jęki, słychać było ich trzeszczące westchnienia, słychać było głośne trzaski, kiedy tu pękła gałąź, ówdzie rozłupał się pień drzewa i pokonany olbrzym krzyczał wszystkimi ranami swego poszarpanego, konającego ciała. A potem nic już nie było słychać, gdyż wicher z większą jeszcze zaciekłością miotał się na las, a wycie jego pochłaniało wszelkie inne odgłosy.

Teraz Bambi zrozumiał, że nadeszła niedola i ubóstwo. Widział, jak bardzo deszcz i wicher zmieniły las. Na drzewach i krzakach nie było już ani jednego listeczka. Stały wszystkie ograbione, nagie na całym cieple, które stało się teraz widoczne, i żałośnie wyciągały ku niebu gołe, brunatne ramiona.

Trawa na łące zwiędła, stała się czarnawobrunatna i tak krótka, jakby ją skoszono tuż przy ziemi.

Izba przybrała teraz także wygląd ubogi i goły. Odkąd zniknęły zielone ściany, nawet tutaj nie można się już było tak rozkoszować samotnością, jak dawniej, a na domiar wiało ze wszystkich stron.

Pewnego dnia jakaś młoda sroka przeleciała nad łąką. Coś białego, zimnego wpadło jej w oko, jeszcze raz, jeszcze raz, przesłoniło jej wzrok, a małe, miękkie, oślepiająco białe płatki zawirowały przed jej oczyma. Sroka, wymachując skrzydłami, wstrzymała lot, wyprężyła się sztywno i wzbija się wyżej w powietrze. Daremnie. Małe, chłodne płatki były znowu dokoła niej i znowu wpadały jej w oczy. Jeszcze raz wyprostowała się i wzbija się jeszcze wyżej.

— Niech pani sobie nie zadaje trudu, moja droga — zawołała do niej z góry wrona, która szybowała nad nią w tym samym kierunku — niech pani sobie nie zadaje trudu. Nie może pani pofrunąć tak wysoko, żeby się wydostać ze sfery tych płatków. To jest śnieg.

— Śnieg? — zdumiała się sroka, walcząc z zawieją.

— No, tak — odpowiedziała wrona — nadeszła już zima. A to jest śnieg.

— Niech pani wybacz — rzekła sroka — ale ja dopiero w maju wyszłam z gniazda. Nie znam jeszcze zimy.

— Zdarza się to niejednemu — rzuciła wrona — już ją pani dobrze pozna.

— No, jeżeli to jest śnieg — powiedziała sroka — w takim razie usiądę trochę.

Spuściła się na gałąź olchy i otrząsnęła się.

Wrona ociężale pofrunęła dalej.

Bambi początkowo cieszył się na widok śniegu. Powietrze było ciche i łagodne, gdy białe gwiazdeczki płynęły w dal, a przy tym świat przybrał tak zupełnie nowy wygląd. Stał się jaśniejszy, nawet weselszy, jak sądził Bambi, a kiedy słońce ukazywało się na krótką chwilę, wtedy wszystko świeciło, wtedy biała powłoka migotała i promieniała tak silnie, że było się zupełnie oślepionym.

Niebawem jednak Bambi przestał się cieszyć śniegiem. Coraz trudniej bowiem było znajdować pożywienie. Trzeba było odgarniać śnieg i wiele kosztowało trudu, zanim się w ten sposób odsłoniło kawałek zwiędłej trawy. A przy tym zamarzyły śnieg ciał w nogi

Wiatr, Las

Ptak, Zima

i trzeba się było obawiać, że je porani. Gobo miał już rany na nogach. Co prawda Gobo w ogóle niewiele potrafił znieść i sprawiał tylko wieczne troski swojej matce.

Bywali teraz prawie ciągle razem i w ogóle więcej mieli towarzystwa niż dawniej. Pani Ena przychodziła teraz stale ze swymi dziećmi. Ostatnio bywała też w ich gronie Marena, prawie dorosła dziewczynka.

Najwięcej jednak rozrywki wносиła stara pani Netla. Była to osoba zupełnie samotna, która na wszystko posiadała własne poglądy.

— Nie — mawiała — dziećmi już się więcej nie zajmuję. Tej przyjemności mam chwilowo dość.

Falina pytała zwykle w takich razach:

— Dlaczego? Jeżeli to jest przyjemność?

A pani Netla udawała, że jest zagniewana, i mówiła:

— Ale jest to kiepska przyjemność, w każdym razie ja mam jej dość.

Wszyscy bawili się znakomicie. Siedziano razem i gawędzono. Nigdy jeszcze dzieci nie dowiadywały się tak wiele.

Nawet spośród książąt ten i ów przyłączył się do nich. Początkowo bywało wtedy trochę sztywno, głównie dlatego, że dzieci czuły się jeszcze na początku nieco onieśmiałe. Ale niebawem stosunki ułożyły się lepiej i było bardzo miło.

Bambi podziwiał księcia Ronno, który był pięknym panem, a młodego, pięknego Karusa pokochał gorąco. Zrzucili oni swoje korony i Bambi podziwiał często dwie okrągłe, łupkowoszarą płytki, odcinające się na głowie księcia, gładkie, migoczące, z wieloma delikatnymi punkcikami. Wyglądało to bardzo wytwornie.

Niezmiernie ciekawe było, gdy któryś z książąt opowiadał o NIM.

Ronno miał na lewej przedniej nodze gruby, obrośnięty sierścią guz. Kulał na tę nogę i mawiał niekiedy:

— Czy widać właściwie, że utykam?

Wszyscy zapewniali go gorliwie, że zupełnie tego nie widać. Ronno to właśnie pragnął słyszeć. Zresztą istotnie bardzo mało to było widać.

— Tak — ciągnął Ronno — uratowałem się wtedy ze złej opresji.

A potem opowiadał, jak ON zaskoczył go i rzucił w niego ogniem. Bolało to do szaleństwa. Nic dziwnego. Kość była zmiażdżona. Ale Ronno nie stracił panowania nad sobą. Popędził przed siebie na trzech nogach. Biegł coraz dalej mimo zmęczenia, gdyż widział, że był ścigany. Biegł, biegł i nie zatrzymał się, aż zapadła noc. Wtedy dopiero pozwolił sobie na odpoczynek. Ale następnego ranka ruszył znowu daleko z tego miejsca, aż uczył się bezpieczny. Potem leczył się, siedział sam w ukryciu, czekając, aż rana się zasklepi. Wreszcie wyszedł z kryjówek i stał się bohaterem. Utykał wprawdzie, ale tego — jak sądził — nie było wcale widać.

Teraz, gdy wszyscy przesiadywali tak często i tak długo razem, gdy opowiadano tak wiele historii, Bambi słyszał o NIM znacznie więcej niż dawniej. Mówiono o tym, jak straszny jest JEGO widok. Nikt nie potrafi patrzeć w JEGO błądą twarz. Bambi wiedział już o tym z własnego doświadczenia. Mówili też o zapachu, jaki szedł od NIEGO, a i w tej sprawie miałby Bambi niejedno do powiedzenia, gdyby nie był zbyt dobrze wychowany, aby się wtrącać do rozmów starszych. Mówili, że zapach ten w zagadkowy sposób zmienia się stokrotnie, a jednak natychmiast można go rozpoznać, gdyż zawsze jest niesłychanie podniecający, niezbadany, tajemniczy i sam przez się budzi przerażenie.

Mówili o tym, że JEMU do chodzenia potrzebne są tylko dwie nogi, i mówili o cudownej mocy JEGO rąk. Niektórzy nie wiedzieli dokładnie, co to właściwie znaczy: ręce. Ale kiedy to wyjaśniono, pani Netla powiedziała:

— Nie widzę w tym nic godnego podziwu. Wiewiórka robi zupełnie to samo, co wy tu opisujecie, a każda młoda myszka potrafi również tę sztukę.

Lekceważąco odwróciła głowę.

— Oho! — zawołali inni, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że nie jest to bynajmniej to samo.

Ale pani Netla nie dawała się zbić z tropu.

— A sokół? — zawołała. — A myszołów? A sowa? Przecież one w ogóle mają tylko po dwie nogi, a kiedy chcą coś chwycić, jak wy to nazywacie, wtedy stoją tylko na jednej nodze i chwytają drugą. To jest o wiele trudniejsze i tego ON na pewno by nie potrafił.

Pani Netla nie była w najmniejszej mierze skłonna podziwiać w NIM czegokolwiek. Nienawidziła GO z całego serca.

— ON jest ohydny — mówiła i nie dawała się odwieść od tego zdania.

Nikt jej zresztą nie zaprzeczał, gdyż nikt nie uważał, aby ON był miły.

Ale najwięcej gmatwała się sprawa, kiedy mówiono o tym, że ON ma trzecią jeszcze rękę, nie tylko dwie ręce, ale jeszcze trzecią.

— To straszne brednie — zdecydowała pani Netla krótko — nie wierzę w to.

— Tak? — wtrącił w tym miejscu Ronno. — A czym w takim razie zmiażdżył mi nogę? Może mi to pani zechce wyjaśnić?

Pani Netla odpowiedziała swobodnie:

— To już pańska sprawa, mój kochany, mnie ON niczego nie zmiażdżył.

Ciotka Ena powiedziała:

— Wiele widziałam w swoim życiu i sądzę, iż jeśli się twierdzi, że ON ma trzecią rękę, to coś w tym musi być.

Młody Karus wtrącił uprzejmie:

— Pod tym względem mogę się z panią tylko zgodzić. Jestem zaprzyjaźniony z pewną młodą wroną...

Urwał na chwilę z zakłopotaniem i spojrzał na wszystkich po kolei, jakby się obawiał, że zostanie wyśmiany. Ale kiedy zobaczył, że przysłuchiwano mu się uważnie, mówił dalej:

— Wrona ta jest niezmiernie wykształcona. Muszę to przyznać. Zdumiewająco wykształcona...

I ta właśnie wrona opowiadała Karusowi, że ON ma istotnie trzy ręce, ale nie zawsze.

— Ta trzecia ręka — mówiła wrona — jest najgorsza. Nie jest ona przyrośnięta, lecz ON nosi ją przewieszoną przez ramię.

Wrona opowiadała dalej, że wie doskonale, czy ON albo ktoś z jego rodu jest niebezpieczny, czy nie. Jeżeli nadchodzi bez trzeciej ręki, wtedy zupełnie nie jest niebezpieczny.

Pani Netla roześmiała się:

— Twoja wrona jest głupim stworzeniem, kochany Karusie, powiedz jej to w moim imieniu. Gdyby była taka mądra, jak jej się zdaje, wiedziałyby, że ON jest zawsze niebezpieczny, zawsze.

Ale inni zaoponowali.

Matka Bambiego powiedziała:

— Bywają jednak wśród NICH tacy, którzy wcale nie są niebezpieczni. Widać to po NICH od razu.

— Tak? — zapytała pani Netla. — A czy zatrzymujesz się, kiedy nadchodzą, i mówisz im może dzień dobry?

Matka Bambiego odpowiedziała łagodnie:

— Co prawda nie zatrzymuję się, tylko uciekam szybko.

A Falina palnęła nagle:

— Trzeba zawsze uciekać!

Wszyscy roześmiali się.

Ale kiedy mówili dalej o trzeciej ręce, spoważnieli znowu i z wolna weszła do ich grona groza. Czymkolwiek to bowiem było, trzecią ręką czy czymś innym, było to straszliwe, a oni tego nie rozumieli. Wiedzieli o tym tylko z opowiadań innych, niektórzy z nich widzieli to sami: ON stał daleko, nie poruszał się wcale; niepodobna było wyjaśnić, co robił ani jak się to działo, ale nagle rozlegał się grzmot, tryskał ogień i chociaż się było tak daleko od NIEGO, padało się z rozdartą piersią, aby umrzeć.

Mówiąc o tym skulili się wszyscy, jakby czuli tajemniczą potęgę, która niezbadanie panowała nad nimi.

Pożądliwie wysłuchiwali mnóstwa opowiadań, które stale pełne były grozy, pełne krwi i niedoli. Niezmordowanie wchłaniali w siebie wszystko, co o tym opowiadano, historie, które niewątpliwie były zmyślane, wszystkie bajki i legendy, pochodzące od dziadów i pradziadów. A we wszystkich tych opowieściach, nieświadomie i w lęku, starali się wy badać, w jaki sposób można by tę potęgę przejednać albo jak się przed nią uchronić.

— Jakże się to dzieje — powiedział młody Karus w zadumie — że ON jest tak daleko, a jednak potrafi z tej odległości powalać?



— Czy twoja mądra wrona nie wyjaśniła ci tego? — zadrwiła pani Netla.

— Nie — uśmiechnął się Karus. — Powiada, że widziała to często, ale wyjaśnić tego nikt nie potrafi.

— No, ON potrafi i wronę strącić z drzewa, kiedy chce — w tracił Ronno.

— I zabija bażanta w powietrzu — dodała ciotka Ena.

Matka Bambiego powiedziała:

— Rzuca swoją rękę. Babka moja opowiadała mi o tym.

— Tak — zapytała pani Netla — a cóż to w takim razie jest, co tak przeraźliwie huczy?

— Kiedy ON odrywa od siebie swoją rękę — wyjaśniła matka Bambiego — wtedy wybuchają ognie i rozlega się huk jak grzmot. ON jest wewnątrz cały z ognia.

— Niech pani wybaczy — wtrącił Ronno. — To, że ON jest wewnątrz cały z ognia, istotnie jest prawdziwe. Ale co do ręki — to omyłka. Ręka nie mogłaby zadawać takich ran. Musi to pani sama przyznać. Jest to raczej ząb i tym zębem ON rzuca w nas. Widzi pani, ząb — to wyjaśnia wiele. I umiera się właśnie od jego ukąszenia.

Młody Karus westchnął głęboko.

— Czy ON nigdy nie przestanie nas prześladować?

Wówczas Marena, dziewczyna, która była prawie zupełnie dorosła, powiedziała:

— Powiadają, że kiedyś ON zstąpi między nas i będzie zupełnie tak samo łagodny jak my. Będzie się z nami bawił, cały las będzie szczęśliwy i pojednamy się wszyscy.

Pani Netla zawołała ze śmiechem:

— Niech ON sobie zostanie, gdzie jest, i niech nas zostawi w spokoju!

Ciotka Ena powiedziała karcąco:

— Ależ... w ten sposób nie wolno mówić.

— Dlaczego? — odpowiedziała pani Netla porywczo. — Naprawdę tego nie rozumiem. Pojednać się! Jak daleko sięgamy pamięcią, ON morduje nas stale, nas wszystkich, nasze siostry, nasze matki, naszych braci! Odkąd jesteśmy na świecie, ON nie daje nam spokoju, zabija nas, gdziekolwiek się pokażemy... i po tym wszystkim mielibyśmy się z NIM pojednać? Co za głupota!

Marena spojrzała na wszystkich wielkimi oczyma, które połyskiwały spokojnie.

— Pojednanie nie jest głupotą — powiedziała — pojednanie musi nastąpić.

Pani Netla odwróciła się.

— Poszukam sobie czegoś do jedzenia — powiedziała i odeszła.

## ROZDZIAŁ II

Zima trwała.

Niekiedy stawała się nieco łagodniejsza, ale potem spadał zaraz znowu śnieg i leżał coraz wyżej, tak że niepodobieństwem już było odgarniać go. Żle było także, kiedy raz nastąpiła odwilż i stopniały na wodę śnieg w nocy zamarzał ponownie. Powstała w ten sposób cieniutka warstwa gołoledzi, na której łatwo się było poślizgnąć. Pękała też ona często, a ostre jej odłamki cięły do krwi delikatne pęciny sarn.

Teraz jednak nastąpił ostry mróz i trwał już od szeregu dni. Powietrze było czyste i rzadkie, jak nigdy jeszcze, i pełne siły. Poczęło ono brzmieć delikatnym, wysokim tonem. Śpiewało z zimna.

W lesie było cicho, ale codziennie zdarzało się coś strasznego. Raz wrony napadły na młodego synka przyjaciela zająca, który i tak leżał chory, i zabiły go w okrutny sposób. Słysząc było, jak jęczał długo i żałośnie.

Przyjaciół zając znajdował się właśnie w drodze, a kiedy doszła go smutna wiadomość, zupełnie nie mógł się opanować.

Kiedy indziej wiewiórka biegła z wielką raną na gardle, zadaną jej przez kunę. Cudem tylko zdołała wiewiórka uciec przed zębami kuny. Z bólu nie mogła mówić, ale biegła po wszystkich gałęziach. Wszyscy to widzieli. Biegła jak szalona. Od czasu do czasu zatrzymywała się, siadała, z rozpaczą podnosiła przednie łapki, w przerażeniu i męce chwytając się za głowę, a czerwona krew spływała wtedy po jej białej piersi.

Biegła tak godzinę, potem załamała się nagle, niezdarnie runęła z gałęzi i konając, spadła na śnieg.

Zwierzęta, Śmierć

Zwierzęta, Śmierć

Natychmiast nadleciało kilka srok, aby rozpocząć swoją ucztę.

Kiedy indziej znowu lis rozszarpał pięknego, mocnego bażanta, który cieszył się powszechnym poważaniem i życzliwością. Jego śmierć zbudziła w szerokich sferach wielkie współczucie i ubolewano nad niepokieszoną wdową. Lis wyciągnął bażanta ze śniegu, w którym się ptak zagrzebał, sądząc, że jest tam bezpiecznie schowany.

Nikt nie czuł się już bezpieczny, gdyż stało się to w biały dzień.

Wielka niedola, której końca nie było widać, wywoływała rozgorzyczenie i okrucieństwo. Niweczyła wszelkie doświadczenia, podkopywała sumienia, wytrzebiała wszystkie dobre zwyczaje, wszystkie dobre obyczaje i burzyła zaufanie. Nie było już litości, nie było spokoju, nie było powściągliwości.

— Niepodobna sobie wprost wyobrazić, że kiedyś będzie znowu lepiej — westchnęła matka Bambiego.

Ciotka Ena westchnęła także.

— I niepodobna też sobie wyobrazić, że kiedykolwiek było lepiej.

— O, owszem — powiedziała Marena, spoglądając przed siebie — nieustannie myślę o tym, jak pięknie było dawniej!

— Niechże pani zobaczy — powiedziała pani Netla do ciotki Eny. — Pani malec drży przecież!

Wskazała na Goba.

— Czy on tak zawsze drży?

— Niestety — odpowiedziała ciotka Ena zatroskana — już od wielu dni.

— No — powiedziała pani Netla ze zwykłą sobie szczerością — cieszę się, że nie mam już dzieci. Gdyby ten malec był moim dzieckiem, obawiałabym się, czy przetrzyma zimę.

Istotnie z Gobem musiało być niedobrze. Był bardzo słaby, zawsze był zresztą znacznie delikatniejszej natury niż Bambi albo Falina i pozostał też mniejszy niż oni dwoje. Ale teraz było z nim z dnia na dzień coraz gorzej. Nie mógł znieść jedzenia, jakim trzeba się było teraz zadowalać. Wywoływało ono u niego bóle brzucha. Chłód i boleści żołądka zupełnie pozbawiły go sił. Drżał nieustannie i ledwie trzymał się na nogach.

Wszyscy spojrzeli na niego współczująco.

Pani Netla zbliżyła się do niego i serdecznie szturchnęła go w bok.

— Tylko nie smuć się — powiedziała surowo — to nie wypada dla takiego małego księcia, a przy tym jest to niezdrowe.

Odwróciła się, aby nikt nie zauważył, jaka jest wzruszona.

Ronno, który siedział na śniegu nieco na uboczu, zerwał się nagle.

— Nie wiem, co to znaczy... — mruknął, rozglądając się badawczo dokoła.

Wszyscy spojrzeli na niego z uwagą.

— Co takiego?... — zapytali.

— Właśnie nie wiem — powtórzył Ronno — ale jestem niespokojny... jakby się na coś zanosilo...

Karus zbadał powietrze.

— Nie czuję nic szczególnego — oznajmił.

Wszyscy stali, nadśluchiwali i węszyli w powietrzu.

— Nic!

— Nic nie czuję...

Powtarzał to jeden za drugim.

— A jednak! — upierał się Ronno. — Możecie mówić, co chcecie... a jednak coś się dzieje...

Marena powiedziała:

— Wrony krzyknęły...

— Krzyczą znowu! — dodała szybko Falina, ale teraz zauważyli to i inni.

— Tam leca! — zwrócił Karus uwagę innym.

Wszyscy spojrzeli w górę.

Nad wierzchołkami drzew szybowwały chmary wron. Nadlatywały od najdalszego krańca lasu, stamtąd, skąd zawsze zbliżało się niebezpieczeństwo, i z rozgorzyczeniem rozmawiały ze sobą. Widocznie doznały jakiejś szczególnej przeszkody.

— No, czy nie miałem racji? — zapytał Ronno. — Widać przecież, że coś się dzieje!

— Co robić? — szepnęła matka Bambiego lękliwie.

— Uciekać natychmiast! — nalegała ciotka Ena z podnieceniem.  
— Czekać! — zdecydował Ronno.  
— Z dziećmi? — zaoponowała ciotka Ena. — Z dziećmi, zwłaszcza gdy Gobo nie może przecież biegać?  
— Więc dobrze — ustąpił Ronno — niech pani ucieka z dziećmi. Uważam to wprawdzie za bezcelowe, ale nie chcę się później spotkać z wyrzutami.  
Był poważny i skupiony.  
— Chodź, Gobo! Falino, chodź! Ale cicho! Powoli! I ciągle za mną — napominała ciotka Ena.  
Cichutko oddaliła się z dziećmi.  
Minęła dłuższa chwila. Wszyscy stali cicho, nasłuchując i węsząc.  
— Tego nam jeszcze brak — zaczęła pani Netla — tego nam jeszcze było trzeba przy tym wszystkim, co musimy przecierpieć!  
Była bardzo rozgniewana.  
Bambi spojrział na nią i uczył, że myślała o czymś strasznym.  
W tej chwili zaskrzeczały już sroki z tej samej strony gęstwiny, z której nadleciały wrony, trzy, cztery naraz.  
— Uwaga, uwaga, uwaga, uwaga! — wołały.  
Nie było ich widać, ale słychać było, jak wołały jedna po drugiej, jedna przez drugą, i ostrzegały:  
— Uwaga, uwaga, uwaga, uwaga!  
Teraz zbliżyły się. Przelatywały spłoszone z drzewa na drzewo, oglądały się za siebie, leciały dalej, niespokojne i przerażone.  
— Hach! — wrzasnęły kraski, krzycząc głośno na alarm.  
Naraz wszystkie sarny wdrygnęły się jednocześnie, jak uderzone nagłym ciosem. Stały teraz cicho, wciągając w nozdrza powietrze.  
Był to ON.  
Napłynęła fala zapachu, wyraźna jak nigdy jeszcze. Nie było tu już co badać. Zapach ten wdierał się w ich nozdrza, zamraczał ich zmysły i mroził serca.  
Sroki skrzeczały jeszcze, kraski wrzeszczały nad nimi, ale teraz ożywiło się wszędzie. Sikory biegały wśród gałęzi niby setki małych, upierzonych piłeczek i ćwierkały:  
— Precz! Precz!  
Czarny ciąg kosów z błyskawiczną szybkością przemknął nad nimi z przeciągłym krzykiem. Poprzez ciemną kratę nagich krzaków sarny widziały na białej, zasłanej śniegiem ziemi bezładną bieraninę małych, wątych cieni. Były to bażanty. A tam znowu coś zamigotało czerwono. Naprawdę to był lis. Ale teraz nikt się go nie bał.  
Nieustannie bowiem płynął szerokimi falami ów okropny zapach, który napawał dusze ich przerażeniem i jednoczył wszystkich w jednej wspólnej, oszalałej trwodze i w jednym wspólnym, gorączkowym pragnieniu ucieczki i ratunku.  
Ten tajemniczy, oszołamiający zapach przenikał cały las z taką mocą, iż sarny poznały natychmiast, że ON przybył tym razem nie sam, lecz chyba ze wszystkimi swoimi i że teraz idzie o wszystko.  
Nie poruszyły się, patrzyły na sikory, które uciekały nierównym lotem, na kosy, na wiewiórki, które szalonymi skokami przemykały z wierzchołka na wierzchołek; myślały o tym, że wszystkie te małe stworzenia w istocie nie miały zupełnie powodu do obawy. Mimo to rozumiały ich ucieczkę, gdy się wyczuwało JEGO, gdyż żadna istota w lesie nie mogła znieść JEGO pobliza.  
W tej chwili przyjaciel zając nadbiegł wahającymi się skokami, przysiadł cicho, podskoczył dalej.  
— Co się stało? — zawołał do niego niecierpliwie Karus.  
Ale przyjaciel zając rozglądał się tylko dokoła błędnym wzrokiem i nie od razu mógł mówić. Był zupełnie oszołomiony.  
— Po co jeszcze pytać... — powiedział Ronno ponuro.  
Przyjaciel zając zaczerpnął oddechu.  
— Jesteśmy otoczeni — powiedział bezbarwnym głosem. — Z żadnej strony nie można uciec. Wszędzie jest ON!  
W tej chwili usłyszeli JEGO głos. Zakrzyknął dwudziestokrotnie, trzydziestokrotnie.

— Ho-ho! Ha-ha!

Zahuczało to bardziej przejmująco niż wichur i burza. ON walił w pnie drzew, aż dudniło. Budziło to grozę i przygnębienie. Z daleka docierał głuchy szum i trzask łamanych gałęzi.

ON nadchodził!

ON nadchodził tutaj w gęstwinę.

Tam z tyłu zabrzmiał teraz świszczący, krótki trel i szum rozwijanych skrzydeł. Już się tam poderwał bażant pod JEGO krokami. Poszum skrzydeł bażanta przycichł, wznosząc się wyżej w powietrze.

Donośny grzmot. Cisza. Potem głuche uderzenie o ziemię.

— Padł — powiedziała matka Bambięgo, drżąc.

— Pierwszy... — dodał Ronno.

Marena, młoda dziewczyna, powiedziała:

— W tej godzinie wielu z nas umrze. Może i ja będę między nimi.

Nikt jej nie słuchał. Teraz nastąpiła wielka groza.

Bambi usiłował myśleć. Ale szalejąca wrzawa, którą ON potęgował coraz bardziej i bardziej, przerywała każdą myśl. Bambi nie słyszał nic prócz tej wrzawy, która oszalała zupełnie, a pośród tego wycia, huku i trzasku słyszał bicie własnego serca. Czuł tylko ciekawość i nie wiedział wcale, że drży na całym ciele.

Od czasu do czasu matka powtarzała mu do ucha:

— Bądź tylko przy mnie.

Krzyczała, ale w tej wielkiej wrzawie zdawało mu się, że szepcze.

To „bądź tylko przy mnie” stanowiło dla niego oparcie. Trzymało go mocno, jak na łańcuchu, inaczej byłby już dawno pobiegł przed siebie. Słyszał te słowa zawsze właśnie w chwili, kiedy już tracił panowanie nad sobą i chciał uciekać.

Rozejrzał się dokoła. Wszędzie roilo się od rozmaitego ludu, który ślepo pędził dokoła. Kilka łasic przemknęło obok nich niby wąskie, wijące się smugi, które ledwo można było uchwycić oczyma. Tchórz słuchał jak urzeczony wszelkich wiadomości, jakie jękając się, komunikował zrozpaczony przyjaciel zając.

Tam dalej stał lis w otoczeniu wielkiego grona bażantów. Ptaki nie troszczyły się o niego zupełnie, przebiegały mu też przed nosem, a on nie troszczył się o nie. Bez ruchu, z wysuniętą naprzód szyją, z nastawionymi uszami nadśluchiwał zbliżających się odgłosów. Tylko kita jego poruszała się, lekko uderzając o ziemię. Wyglądało to, jakby się z wysiłkiem zastanawiał.

Jakiś bażant nadbiegł z pośpiechem. Przyleciał z tyłu, ze strefy największego niebezpieczeństwa i był zupełnie nieprzytomny.

— Nie wlatujcie w górę! — wołał do swoich. — Nie wlatujcie... tylko biegajcie! Nie dajcie się skusić do lotu! Nikt niech nie wlatuje! Tylko biegać, biegać, biegać!

Powtarzał ciągle to samo, jakby chciał sam siebie napominać. Ale nie wiedział już, co mówił.

— Ho-ho! Ha-ha! — rozbrzmiewało widocznie zupełnie już blisko.

— Nie dajcie się skusić do lotu! — wołał bażant.

Głos jego załamał się i przeszedł w świszczące łkanie, z cichym szelestem rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze.

Bambi przyglądał mu się, jak prosto i pionowo latał między drzewami, szeleszcząc skrzydłami, przepięknie migocząc metalicznym, ciemnoniebieskim i złotobrunatnym blaskiem swęgo ciała, cudownego jak wykute. Wachlarz jego długich piór ogonowych dumnie włócił się za nim.

Ostro huknął znowu grzmot. Bażant w powietrzu drgnął, obrócił się dokoła siebie samego, jakby chciał dziobem chwycić swoje nogi, i ciężko opadł na ziemię. Padł pomiędzy inne i nie poruszał się już.

Teraz nikt już nie panował nad sobą. Wszystko rozbiegło się w popłochu. Pięć, sześć bażantów wzniosło się jednocześnie z głośnym wrzaskiem.

— Nie wlatywać! — zawołały inne, biegnąc przed siebie.

Grzmot zahuczał, pięć razy, sześć razy, a z bażantów, które wleciały, kilka bez życia spadło z powrotem na ziemię.

— Chodź teraz! — powiedziała matka.

Polowanie, Ptak, Śmierć

Bambi podniósł wzrok.

Ronno i Karus znikli już. A tam uciekała pani Netla. Tylko Marena była jeszcze przy nich. Bambi poszedł z matką, Marena skromnie przyłączyła się do nich.

Dokoła nich huczało, wyło, szalało i grzmiało. Matka była spokojna. Drżała tylko lekko, ale panowała nad swymi myślami.

— Bambi, dziecko moje — mówiła — trzymaj się ciągle za mną. Musimy się stąd wydostać i przebiec przez polanę. Ale tu w gąszczu chodźmy powoli.

Wycie dochodziło do szaleństwa. Dziesięć czy dwanaście razy zahuczał grom, który ON miotał ze swoich rąk.

— Spokojnie — powiedziała matka. — Nie biegać! Dopiero gdy będziemy musieli przejść przez polanę, wtedy biegnij, ile masz sił. I nie zapominaj, Bambi, dziecko moje, kiedy będziemy na polanie, nie myśl już o mnie. Nawet gdybym padła, nie zważaj na to... tylko naprzód, naprzód! Rozumiesz, Bambi?

W huczącej wrzawie matka celowo szła krok za krokiem. Bażanty przecinały im drogę, wciskały się w śnieg, zrywały się znowu, znowu zaczynały biec. Cała rodzina zajęcy skakała tu i tam, przysiadła, skakała dalej. Nikt nie mówił ani słowa. Wszyscy byli wyczerpani z lęku, obezwładnieni od wycia i grzmotów.

Przed Bambim i jego matką rozjaśniło się. Poprzez kratę krzaków przeświecała polana. Za nimi, bliżej, coraz bliżej uderzały o pnie drzew płoszące dźwięki bębnow, trzaskają łamane gałęzie, wyły okrzyki „Ha-ha” i „Ho-ho!”.

Tuż obok nich przemknął teraz przyjaciel zając z dwoma kuzynami, wybiegając na polanę.

— Bumm! Peng, bamm! — zahuczał grom.

Bambi zobaczył, jak przyjaciel zając podczas biegu wywinął miękko koziołka, odwrócił się białym brzuchem ku górze i nie wstał więcej. Drgał jeszcze przez chwilę, potem ucichł.

Bambi stał skamieniały.

Ale za nim rozległy się okrzyki:

— Są już, są już! Wszyscy muszą uciekać!

Wielki szum szybko rozwijanych skrzydeł, łkanie, szelest lotek. Bażanty wleciały, wzniosły się prawie jednocześnie całą chmarą. Powietrze pękało od wielokrotnych grzmotów, słychać było głuchy odgłos spadających ciał, słychać było delikatny świst ulatujących uratowanych ptaków.

Bambi usłyszał kroki i spojrzął za siebie.

To był ON.

Wybiegł pomiędzy krzaków, tam i tu i znowu tam. Wszędzie wynurzał się ON, walił dokoła siebie, zrąbywał krzaki, bębnił po pniach i krzyczał straszliwym głosem.

— Teraz! — powiedziała matka. — Prosto przed siebie! I nie za blisko za mną!

Jednym skokiem wybiegła na polanę, aż śnieg zakurzył się za nią.

Bambi pomknął w jej ślady. Grzmot zahuczał nad nimi ze wszystkich stron. Zdawało się, że ziemia została rozdarta na dwoje.

Bambi nie widział nic. Biegł. Całe nagromadzone pragnienie wydostania się z tego huk, wydostania się z obrębu tego podniecającego zapachu, cały nagromadzony popęd do ucieczki, tęsknota za ratunkiem — wszystko to rozpełtało się w nim nareszcie. Biegł. Zdawało mu się, że widział padającą matkę, ale nie wiedział, czy padła naprawdę. Czuł mgłę przed oczyma. Mglę tę rzuciła mu na oczy zbudzona wreszcie trwoga przed grzmotem, który huczał dokoła niego. Nie mógł się zastanawiać, nie mógł patrzeć, biegł tylko.

Polana była poza nim. Przyjęła go nowa gęstwina. Za nim zabrzmiał jeszcze raz krzyk, zahuczał jeszcze raz głośny strzał, a w gałęziach ponad nim zadudniało coś krótko, jak pierwsze uderzenia gradu...

Potem zrobiło się ciszej.

Bambi biegł.

Umierający bażant leżał z wykręconą szyją na śniegu i słabo jeszcze tylko uderzał skrzydłami. Słyszając, że Bambi nadbiega, przerwał swoje kurczowe ruchy i szepnął:

— Koniec...

Bambi nie zważał na niego i biegł dalej.

Ucieczka, Śmierć

Splątane krzaki, w jakie się teraz dostał, zmusiły go do zwolnienia biegu i poszukania ścieżki. Niecierpliwie tupał nogami.

— Tędy dokoła — zawołał ktoś złamanym głosem.

Bambi mimo woli pobiegł w tę stronę i natychmiast trafił na miejsce, którego mógł się przedostać.

Ale przed nim ktoś uniósł się z trudem. Była to żona przyjaciela zająca.

— Czy nie mógłby mi pan trochę dopomóc? — zapytała.

Bambi spojrział na nią i zdrętwiał z przerażenia. Jej tylne nogi wlokły się bez życia po śniegu, który topniał, zabarwiony na czerwono ściekającą gorącą krwią.

Powiedziała jeszcze raz:

— Czy nie mógłby mi pan trochę dopomóc?

Mówiła tak, jakby była zdrowa, swobodna, niemal wesola.

— Nie wiem, co mi się mogło stać — ciągnęła. — Nie jest to z pewnością nic poważnego... tylko właśnie teraz... nie mogę teraz chodzić...

Ale podczas tych słów padła nagle na bok i nie żyła już.

Bambi, na nowo ogarnięty przerażeniem, pomknął przed siebie.

— Bambi!

Zatrzymał się nagłym ruchem. Był to ktoś z jego rodu.

Jeszcze raz zabrzmiało:

— Bambi... to ty?

Był to Gobo, który tkwił bezradnie w śniegu. Był zupełnie bez sił, nie mógł się już nawet utrzymać na nogach, leżał jak zakopany i słabym ruchem podnosił tylko głowę.

Bambi szybko podszedł do niego.

— Gdzie twoja matka, Gobo — zapytał, dysząc ciężko — i gdzie Falina?

Bambi mówił szybko, z podnieceniem i niecierpliwie. Trwoga z niezmnieszoną siłą pukala jeszcze w jego sercu.

— Matka i Falina musiały przecież uciekać — odpowiedział Gobo z rezygnacją.

Mówił cicho, ale tak poważnie i mądrze jak dorosły.

— Musiały mnie tutaj pozostawić. Upadłem... Ale i ty musisz uciekać, Bambi.

— Wstań! — zawołał Bambi. — Wstań, Gobo! Dostyc już odpocząłeś! Nie ma na to więcej czasu! Wstań! Chodź ze mną!

— Nie, daj mi spokój — odpowiedział Gobo cicho. — Nie mogę wstać. To niemożliwe. Chciałbym przecież chętnie, Bambi, możesz to sobie chyba wyobrazić, ale jestem za słaby.

— Więc co się ma z tobą stać? — nalegał Bambi.

— Nie wiem. Prawdopodobnie umrę — odpowiedział Gobo z prostotą.

Krzyki rozległy się znowu i brzmiały zupełnie blisko. Zahuczały też nowe grzmoty.

Bambi wzdrygnął się. W krzakach rozległy się szybkie trzaski, potem zabrzmiał tupot po śniegu i w szalonym pędzie przegalopował młody Karus.

— Pędź naprzód! — zawołał na widok Bambiego. — Nie stać, nie stać, ktokolwiek może jeszcze biec!

W następnej chwili już go nie było, a niepowstrzymana jego ucieczka porwała ze sobą Bambiego.

Bambi nie wiedział nawet wcale, że zaczął znowu biec, i dopiero po dłuższej chwili zawołał:

— Żegnaj, Gobo!

Ale był już wtedy bardzo daleko. Gobo nie mógł go już dosłyszeć.

Pędził przez las, który huczał wrzawą i grzmotami, pędził tak aż do wieczora.

Kiedy zapadła ciemność, w lesie uspokoiło się. Lekki wiatr rozwiał też niebawem ów ohydny zapach, który rozpościerał się wszędzie. Ale podniecenie pozostało.

Pierwszym znajomym, jakiego Bambi ujrzał ponownie, był Ronno. Utykał teraz bardziej niż zwykle.

— Tam dalej, pod dębami — opowiedział Ronno — leży ranny lis. Gorączkuje. Przed chwilą właśnie przechodziłem obok niego. Okropne są jego cierpienia. Gryzie śnieg i ziemię.

— Czy nie widział pan mojej matki? — zapytał Bambi.

— Nie — odpowiedział Ronno nieśmiało i odszedł szybko.

Później, w nocy, Bambi spotkał panią Netlę i Falinę. Wszyscy troje ucieszyli się bardzo.

— Czy nie widziałas mojej matki? — zapytał Bambi.

— Nie — odpowiedziała Falina — nie wiem nawet jeszcze, gdzie jest moja matka.

— No — powiedziała pani Netla wesoło — ładnie ja tutaj wpadłam! Tak się cieszyłam, że nie potrzebuję się już zamęczać opieką nad dziećmi, a tymczasem teraz mam od razu dwoje pod swoim staraniem. Dziękuję za taką przyjemność!

Bambi i Falina roześmiali się.

Mówili potem o Gobie.

Bambi opowiedział, w jakim stanie go spotkał, i od razu tak posmutnieli, że zaczęli płakać. Ale pani Netla nie pozwoliła im płakać.

— Przede wszystkim musicie się teraz postarać o coś do jedzenia. Przecież to rzecz niesłychana! Przez cały dzień nie miało się kęsa w ustach!

Zaprowadziła ich na miejsce, gdzie było jeszcze trochę liści, wiszących nisko i niezupełnie uschłych. Pani Netla orientowała się znakomicie. Ona sama nie tykała niczego, popędzała tylko Bambię i Falinę, aby jedli dużo. W porośłych trawą miejscach odgarniała śnieg i rozkazywała:

— Tutaj... tu jest dobrze...

Albo mówiła:

— Nie, czekajcie... zaraz znajdziemy coś lepszego.

Od czasu do czasu zaś łajęła ich:

— Okropność! Jakie też kłopoty miewa się z dziećmi!

Nagle ujrzeli nadchodzącą ciotkę Enę i rzucili się jej naprzeciw.

— Ciotko Eno! — zawołał Bambi.

Dostrzegł ją pierwszy. Falina była zupełnie nieprzytomna z radości i skakała dokoła matki.

— Mamo!

Ale Ena płakała i była śmiertelnie wyczerpana.

— Goba nie ma! — skarżyła się. — Szukałam go... byłam przy jego łóżeczku... tam na śniegu, gdzie upadł... było puste... nie ma go... mój biedny, mały Gobo...

Pani Netla mruknęła:

— Mogła pani lepiej rozejrzeć się za jego tropem... byłoby to mądrzejsze niż płakać.

— Nie ma już po nim tropu — powiedziała ciotka Ena. — Ale... ON! ON pozostawił tam wiele tropów... Był przy łóżeczku Goba.

Zamilkli. Potem Bambi zapytał nieśmiało:

— Ciotko Eno... czy nie widziałas mojej matki?...

— Nie — odpowiedziała ciotka Ena cicho.

Bambi nigdy już nie ujrzął matki.

## ROZDZIAŁ 12

Wierzby dawno już straciły swoje baze. Wszystko zaczęło się zielenić, ale młode liście na krzakach i drzewach były jeszcze bardzo małe. Opromienione delikatnym światłem tej wczesnej godziny porannej wyglądały w swojej roześmianej świeżości jak dzieci, które przed chwilą właśnie zbudziły się ze snu.

Bambi stał przed leszczyną, uderzając swoją nową koroną o drzewo. Było to takie miłe. A przy tym było bezwarunkowo konieczne, gdyż ozdoba jego głowy ciągle jeszcze spowita była w gruby naskórek i sierść. Oczywiście trzeba je było usunąć; a komu zależało na porządku, ten nie czekał, aż spadną same.

Bambi tak wytrwale czyścił swoją koronę, że powłoka naskórka darła się na strzępy i całymi pasami zwiślała mu dokoła uszu. Uderzając o leszczynę, czuł, że korona jego była twardsza niż drzewo. Uczucie to przenikało go oszołomieniem siły i dumy. Począł mocniej napierać na leszczynę, zdzierając jej długimi płatami sukienkę z kory. Ukazało się białe jej ciało, które — nieprzyzwyczajone do wolnego powietrza — pokryło się niebawem rdzawą czerwienią.

Wiosna

Bambi nie mógł się z tym liczyć. Widział, jak jasne ciało drzewa rozbłyskiwało pod jego uderzeniami, i wprawiało go to w zachwyt. Ze stojących dokoła drzew i krzaków niejedna jeszcze leszczyna i ligustr nosiły ślady jego pracy.

— Skończy pan pewnie niedługo... — powiedział jakiś wesoły głos blisko niego.

Bambi uniósł szybkim ruchem głowę i rozejrzał się dokoła.

Na gałęzi siedziała wiewiórka, przyglądając mu się życzliwie.

Nad nimi ktoś zaśmiał się krótko i hałaśliwie.

— Tja-ha!

Bambi i wiewiórka przerwali się prawie. Ale dzięcioł, który siedział przyciśnięty do pnia dębu, zawołał do nich:

— Niech pan wybaczy... Kiedy się tak panu przyglądam, muszę się zawsze śmiać.

— A cóż tu jest śmiesznego? — zapytał Bambi uprzejmie.

— No — powiedział dzięcioł — zabiera się pan do rzeczy zupełnie fałszywie. Po pierwsze powinien pan brać się tylko do twardych drzew, bo przy takiej cienkiej leszczynie nic przecież z tego nie wyjdzie.

— A cóż z tego ma wyjść? — zapytał Bambi.

— Chrabąszcze... — roześmiał się dzięcioł — chrabąszcze i poczwarki... Widzi pan, tak się to robi!

I zabębnił po swoim dębie:

— Tok, tok, tok, tok!

Wiewiórka pobiegła szybko do niego w górę i złała go:

— Co też pan wygaduje! Księżę nie szuka chrabąszczy ani poczwarek...

— Dlaczego? — zapytał dzięcioł zadowolony. — Mają przecież znakomity smak...

Zgryzł chrabąszcza, połknął go i począł kuć dalej.

— Pan tego nie rozumie — łajła go wiewiórka dalej. — Taki wytworny pan ma na oku zupełnie inne, znacznie wyższe cele... Kompromituje się pan tylko...

— Na tym mi wcale nie zależy — odpowiedział dzięcioł. — Gwiżdżę sobie na wyższe cele — zawołał wesoło i odfrunął szybko.

Wiewiórka zbiegła znowu na dół.

— Czy pan mnie nie poznaje? — zapytała z zadowoloną miną.

— Zdaje się, że tak — odpowiedział Bambi uprzejmie. — Mieszka pani tam w górze...

Wskazał na dąb.

Wiewiórka spojrzała na niego wesoło.

— Pomylił mnie pan z moją babcią — powiedziała — wiedziałam od razu, że mnie pan pomylił z moją babcią. Moja babcia mieszkała tam w górze, kiedy pan był jeszcze dzieckiem, księżę Bambi. Często mi o panu opowiadała. Tak... ale potem została zabita przez kunę... bardzo dawno... zimą... nie przypomina pan sobie?

— Owszem. — Bambi skinął głową. — Słyszałem o tym.

— Tak... a po niej osiedlił się tutaj mój ojciec — opowiadała dalej wiewiórka.

Wyprostowała się na tylnych nóżkach, rozszerzyła oczy ze zdziwienia i uprzejmie przycisnęła obie łapki do białej piersi.

— Ale... może pomylił mnie pan z moim ojcem... Czy znał pan mego ojca?

— Przykro mi — odpowiedział Bambi — ale nigdy nie miałem tej przyjemności.

— Od razu sobie tak pomyślałam! — zawołała wiewiórka zadowolona. — Mój ojciec był mrukliwy i bardzo nieśmiały. Z nikim w lesie nie obcował.

— A gdzie on teraz jest? — zapytał Bambi.

— Ach — odpowiedziała wiewiórka — przed miesiącem złapała go sowa. Tak. A teraz ja właśnie mieszkam tam w górze. Jestem z tego bardzo zadowolona, bo musi pan wziąć pod uwagę, że przecież urodziłam się właśnie tutaj w górze.

Bambi odwrócił się, chcąc odejść.

— Niech pan zaczeka — zawołała wiewiórka szybko. — Przecież wcale nie chciałam o tym wszystkim mówić. Chciałam powiedzieć coś zupełnie innego.

Bambi zatrzymał się.

— Cóż takiego chciała pani powiedzieć? — zapytał cierpliwie.

— Tak... co to ja chciałam powiedzieć?



Wiewiórka zamyśliła się, potem nagle wykonała znowu skok, usiadła wyprostowana, wsparta na swojej cudownej kicie, i spojrzała na Bambiego.

— Racja! Już sobie przypominam! — trąkotała dalej. — Chciałam powiedzieć, że niebawem będzie pan gotów ze swoją koroną i że będzie ona cudowna.

— Tak pani sądzi?

Bambi ucieszył się bardzo.

— Przecudowna! — zawołała wiewiórka, z zachwytem przyciskając obie przednie łapy do białej piersi. — Taka wysoka! Taka wspaniała! I z takimi długimi, jasnymi zębami! Rzadko się coś podobnego widuje!

— Naprawdę? — zapytał Bambi.

Wpadł w tak wesoły nastrój, że natychmiast począł znowu walić w leszczynę. Kora opadała długimi strzępami.

Tymczasem wiewiórka mówiła dalej.

— Muszę przyznać naprawdę, że inni w pańskim wieku nie mają tak wspaniałych koron. Po prostu trudno to uważać za możliwe. Kiedy się pana znało ubiegłego lata... Widziałam pana kilka razy z daleka... Naprawdę trudno uwierzyć, że pan jest ten sam... wtedy miał pan takie cieniutkie patyczki...

Bambi przerwał nagle obrabianie leszczyny.

— Do widzenia pani — powiedział szybko — muszę już iść!

I pobiegł dalej.

Nie lubił, kiedy mu przypomniano ubiegłe lato. Był to dla niego trudny okres. Początkowo po zniknięciu matki czuł się zupełnie osamotniony. Zima trwała wtedy bardzo długo, wiosna następowała powoli i bardzo późno zaczęło się zielenić.

Gdyby nie pani Netla, Bambi zupełnie nie dałby sobie rady. Ale pani Netla zaopiekowała się nim i pomagała mu jak mogła. Mimo to pozostawał często sam.

Ciągłe brak mu było Goba, biednego Goba, który zapewne także już nie żył, jak inni. Bambi musiał w tym czasie często myśleć o nim i dopiero poniewczasie zrozumiał w całej pełni, jak miły i dobry był Gobo.

Falinę widywał rzadko. Trzymała się stale matki i miała dziwnie lękliwe usposobienie.

Później, kiedy zrobiło się znowu gorąco, Bambi zaczął powoli wracać do siebie. Oczyszczył swoją pierwszą koronę, aż się świeciła, i był z niej bardzo dumny. Ale niebawem nastąpiło gorzkie rozczarowanie. Inni koronowani ścigali go, gdziekolwiek go zobaczyli. Gniewnie odpędzali go od siebie nie pozwalając, aby się do kogokolwiek z nich zbliżał, ścigali go, tak że wreszcie czuł na każdym kroku lęk, że zostanie przez nich schwytany, bał się pokazać gdziekolwiek i skradał się ukrytymi ścieżkami, wałęsając się dokoła w przygnębionym nastroju.

A przy tym w miarę jak dni poczęły się stawać gorętsze i słoneczniejsze, ogarnął go dziwny niepokój. Serce jego czuło coraz bardziej i bardziej jakąś tęsknotę, która była bolesna i zarazem rozkoszna.

Gdy przypadkowo dostrzegwał choćby z daleka Falinę lub którąś z jej przyjaciółek, ogarniała go natychmiast fala niepojętego podniecenia. Często zdarzało się tylko, że rozpoznawał ich ślad, albo że badawczo wciągnięty dech przynosił mu zapach ich pobliza. Zawsze w takich razach coś go do nich nieprzeparcie ciągnęło. Ale jeżeli ustępował pragnieniu, które ciągnęło go w tę stronę, działo się to zawsze na jego nieszczęście. Albo bowiem nie spotykał nikogo i musiał wreszcie wyczerpany, po długim błakaniu się, dojść do przekonania, że go unikają, albo też stykał się po drodze z jakimś innym koronowanym, który natychmiast rzucał się na niego, bił go i popychał, a wreszcie odpędzał haniebnie.

Najbrzydziej zachowali się w stosunku do niego Ronno i Karus.

Nie, nie był to piękny okres!

A teraz głupia wiewiórka przypomniała mu o tym. Ogarnęła go nagle jakaś nieposkromiona dzikość, począł pędzić przed siebie. Sikory i pokrzywnice<sup>13</sup> z przerażeniem zrywały się z krzaków, obok których przebiegał, i pytały się nawzajem szybko:

— Któż to jest?... Któż to był?...

Bambi nie słyszał tego.

<sup>13</sup> *pokrzywnica* — mały ptak z rzędu wróblowych. [przypis edytorski]

Kilka srok zaskrzeczało nerwowo:

— Czy coś się stało?

Kraska zawołała gniewnie:

— Co tam znowu?!

Bambi nie zwracał na to uwagi.

Nad nim wilgi śpiewały z drzewa na drzewo:

— Dzień dobry... jestem... ra-da!

Bambi nie odpowiadał.

Otoczająca go gęstwina była już jasna, przetkana na wylot promieniami słonecznymi.

Bambi nie troszczył się o to.

Nagle rozległ się jakiś trzask, niemal tuż pod jego nogami, a cała tęcza wspaniałych barw zamigotała mu tak blisko przed oczyma, że zatrzymał się oślepiiony.

Był to Janello, bażant, który z przerażeniem wzniósł się w powietrze, gdyż Bambi omal na niego nie nastąpił. Z gniewem ulatywał teraz z tego miejsca.

— To niesłychane! — wołał swoim łamliwym, kraczącym głosem.

Bambi stał stropiony i spoglądał za nim.

— Tym razem skończyło się szczęśliwie, ale jest to naprawdę wielka bezwzględność...

— powiedział jakiś łagodny, piskliwy głosik z ziemi przed Bambim.

Była to Janellina, żona bażanta. Siedziała na ziemi, wylęgając jajka.

— Mąż mój przeraził się okropnie — ciągnęła z niezadowoleniem — a ja tak samo. Ale ja się przecież nie mogę ruszyć z miejsca... Nie ruszę się z miejsca, cokolwiek by się stało... mnie mógłby pan spokojnie stratować...

Bambi był trochę zawstydzony.

— Niech mi pani wybaczy — wybełkotał — zrobiłem to niechcący.

Bażancica odpowiedziała:

— O, proszę! Nie było zresztą może tak źle. Ale mąż mój i ja jesteśmy teraz niezmiernie nerwowi. Rozumie pan przecież...

Bambi nic nie rozumiał i poszedł dalej.

Uspokoił się już teraz. Las śpiewał dokoła niego. Światło stało się złocistsze i gorętsze, liście na krzakach, trawy pod nogami i parująca wilgocią ziemia poczęły mocno pachnieć.

Młode siły wzbierały w Bambim, wypełniając wszystkie jego członki, tak że szedł sztywno, z wahajaco hamowanymi ruchami, jakby był sztuczny.

Zbliżył się do niskiego krzaku bzu i wznosząc wysoko kolana, począł potężnymi ciosami walić ziemię, aż grudki pryskały na wszystkie strony. Jego delikatne, ostre, rozszczipione kopyto ścinało trawy, które tu rosły, groszek leśny i czosnek, fiołki i sasanki, odgarniał je, aż ziemia obnażyła się zupełnie i leżała przed nim gładko udeptana. Huczła głucho pod każdym jego uderzeniem.

Dwa krety, które goniły się w gmatwaninie korzeni starego ligustru, zatrzymały się w biegu, wychyliły główki i przyglądały się Bambiemu.

— Ale... ale też to śmieszne, co ten wyprawia — szepnął jeden.

— Tak przecież nie można kopać...

Drugi pogardliwie wydał delikatne uścisk:

— On nie ma o tym pojęcia... widać od razu... Ale tak to bywa, gdy się ktoś wtrąca do rzeczy, na których się nie zna.

Nagle Bambi przestał kopać ziemię, podrzucił głowę, nadsluchując i podglądając poprzez listowie. Pomiędzy krzakami zamigotała jakaś czerwona plama, niewyraźnie błysnęły zęby korony.

Bambi parsknął. Ktokolwiek mógł się tam skradać, Ronno czy Karus, czy ktoś inny — jazda na niego!

Bambi pomknął w tę stronę.

„Już ja im pokażę, że się nie boję! — pomyślał w nagłym oszołomieniu. — Już ja im pokażę, że jestem tym, którego się trzeba bać!”

Krzaki zaszeleściły pod naporem jego ciała, gałęzie trzaskały i łamały się. Nie mógł nic rozpoznać, gdyż wszystko mąciło mu się przed oczyma. Nie myślał o niczym, tylko: jazda! Z nisko pochyloną koroną pędził przed siebie, skupiwszy wszystkie siły w karku, gotów do uderzenia.

Czuł już zapach sierści przeciwnika, nie widział już przed sobą nic prócz czerwonego muru jego boku.

Nagle przeciwnik wykonał lekki ruch, a Bambi, pozbawiony spodziewanego mocnego oporu, przemknął obok niego w próżnię. Omal się przy tym nie przewrócił. Zatoczył się, skupił w sobie i zawrócił do nowego ataku.

Wówczas poznał starca.

Bambi był tak zaskoczony, że stracił panowanie nad sobą. Wstydził się uciec po prostu, na co miał teraz największą chętkę. I wstydził się też pozostać tutaj. Nie ruszał się z miejsca.

— No?... — zapytał starzec spokojnie i cicho.

Jego niski głos, który brzmiał tak swobodnie, a jednak tak władczo, jak zwykle przeniknął Bambiemu na wskroś przez serce.

Milczał.

Starzec powtórzył:

— ...no?...

— Myślałem... — wybełkotał Bambi — myślałem... zdawało mi się... że to Ronno... albo...

Zamilkł i ośmielił się lekko spojrzeć na starca, ale jego widok zmieszał go jeszcze bardziej.

Starzec stał przed nim nieruchomy i potężny. Jego głowa była już teraz zupełnie biała, a ciemne, dumne oczy świeciły głębokim blaskiem.

— Dlaczego nie przeciwko mnie?... — zapytał starzec.

Bambi spojrzął na niego, przejęty jakimś dziwnym zachwytem i przeniknięty tajemniczym lękiem. Chętnie zawołałby: „Bo cię kocham!”, ale odpowiedział tylko:

— Nie wiem...

Starzec przyglądał mu się.

— Dawno cię nie widziałem. Stałeś się wielki i silny.

Bambi nie odpowiedział. Drżał z radości.

Starzec w dalszym ciągu przyglądał mu się badawczo. Potem niespodziewanie zbliżył się do Bambiego, który przeraził się tym okropnie.

— Sprawuj się nadal dzielnie... — powiedział starzec.

Odwrócił się i zniknął w następnej chwili.

Bambi długo jeszcze nie ruszał się z miejsca.

## ROZDZIAŁ 13

Było lato i pałacy skwar.

W Bambim poczęła się znowu budzić owa tęsknota, którą już raz odczuwał, ale teraz była znacznie silniejsza niż dawniej, wrzała w jego krwi i nie dawała mu spokoju. Wałęsał się po całym lesie.

Pewnego razu spotkał Falinę. Spotkał ją niespodzianie, gdyż myśli jego były w tej chwili zupełnie nieprzytomne, zmysły zupełnie zaćmione owym niespokojnym pragnieniem, które go przenikało na wskroś, tak że nie dostrzegł wcale Faliny. A oto stała przed nim.

Bambi przez chwilę przyglądał się jej oniemiały, potem powiedział z przejęciem:

— Falino... jaka ty się stałaś piękna....

Falina odpowiedziała:

— Więc poznajesz mnie znowu?

— Ja miałbym cię nie poznać! — zawołał Bambi. — Czyż nie wychowaliśmy się razem?

Falina westchnęła:

— Tak dawno się nie widzieliśmy...

Potem dodała:

— ...łatwo jest stać się sobie zupełnie obcymi...

Ale był to już znowu jej lekki, powabny, filuterny ton, jak niegdyś.

Pozostali teraz razem.

— Po tej drodze — powiedział Bambi po pewnym czasie — po tej drodze chodziłem jako dziecko z matką...

— Prowadzi na łąkę — wtrąciła Falina.

— Na tej łące zobaczyłem cię po raz pierwszy — rzekł Bambi nieco uroczyście. — Pamiętasz to jeszcze?

— Tak — odpowiedziała Falina — mnie i Goba!

Westchnęła cicho:

— Biedny Gobo...

Bambi powtórzył:

— Biedny Gobo...

Zaczęli teraz mówić o dawnych czasach i co chwila zadawali sobie nawzajem pytanie:

— Pamiętasz jeszcze?

Okazało się, że wszystko jeszcze pamiętali. Oboje byli tym zachwyceni.

— Tam na łące — przypomniał Bambi — bawiliśmy się w gonitwę... pamiętasz jeszcze?

— Zdaje się, że to było tak... — powiedziała Falina i jak strzała pomknęła naprzód.

Bambi w pierwszej chwili stał w miejscu stropiony, potem pomknął za nią.

— Czekaj! Czekaj! — zawołał uszczęśliwiony.

— Nie mogę czekać — drażniła go Falina — śpieszy mi się bardzo!

I lekkimi skokami opisała łuk, daleko przez krzaki i trawy.

Wreszcie Bambi dogonił ją i stanęli teraz spokojnie obok siebie. Śmiali się i byli zadowoleni.

Nagle Falina podskoczyła w górę, jakby ją coś ukuło, i na nowo pomknęła naprzód.

Bambi pobiegł za nią.

Falina biegła, zataczając łuki, zwracała nagle i umykała mu ciągle.

— Zatrzymaj się! — dyszał Bambi. — Zatrzymajże się... muszę cię o coś zapytać!

Falina stanęła nagle.

— O co mnie musisz zapytać? — zawołała z zaciekawieniem.

Bambi milczał.

— Ach, jeżeli mnie tylko nabujałeś... — powiedziała Falina i chciała się odwrócić.

— Nie! — Bambi mówił szybko: — Stójże w miejscu... chcę... chcę cię zapytać... czy ty mnie kochasz, Falino?

Falina spojrzała na niego ze znacznie większym jeszcze zaciekawieniem niż przedtem i trochę wyczekująco:

— Nie wiem...

— Jakże! — nalegał Bambi. — Musisz przecież wiedzieć! Ja także wiem, czuję zupełnie wyraźnie, że cię kocham. Kocham cię szalenie, Falino. Więc powiedz mi teraz, czy mnie kochasz...

— Możliwe, że cię kocham — odpowiedziała Falina niezdecydowanie.

— I pozostaniesz przy mnie? — nalegał Bambi z podnieceniem.

— Jeżeli mnie o to ładnie poprosisz... — powiedziała Falina wesoło.

— Proszę cię, Falino! Ukochana, piękna, droga Falino — zawołał Bambi, nie panując nad sobą — słyszysz? Proszę cię o to z całego serca!

— W takim razie stanowczo pozostanę przy tobie — powiedziała Falina łagodnie... i już jej nie było.

Bambi z zachwytem pomknął znowu za nią jak strzała.

Falina pędziła na przelaj przez łąkę, wykonała nagły zwrot i znikła w gęstwinie. Ale kiedy i Bambi wykonał zwrot, aby podążyć za nią, w krzakach rozległ się nagle potężny szum i wybiegł z nich Karus.

— Stój! — zawołał.

Bambi nie zrozumiał. Zbyt był zajęty Faliną.

— Przepuść mnie! — powiedział szybko. — Nie mam teraz czasu dla ciebie!

— Precz! — krzyknął na niego Karus z gniewem. — Natychmiast precz! Bo cię tak przepędzę, że dyszeć nie będziesz mógł! Zabraniam ci biegać za Faliną!

W Bambim zbudziło się wspomnienie ubiegłego lata, kiedy tak często i tak sromotnie był odpędzany. Natychmiast ogarnęła go wściekłość. Nie powiedział ani słowa, lecz z miejsca rzucił się na Karusa z pochyloną koroną.

Napaść była niepowstrzymana i Karus leżał na trawie, zanim się właściwie spostrzegł, co się z nim dzieje.

Błyskawicznie poderwał się z ziemi, ale zaledwie stanął znowu na nogach, trafił go nowy cios.

— Bambi! — krzyknął i chciał jeszcze raz krzyknąć: — Bam... — ale trzecie uderzenie, które ześlizgnęło się z jego łopatk, omal go nie powaliło.

Karus skoczył w bok, aby umknąć przed rozpędzającym się jeszcze raz Bambim. Uczuł się nagle dziwnie słaby. A jednocześnie przekonał się z przerażeniem, że jest to walka na śmierć i życie. Ogarnął go zimny lęk. Rzucił się do ucieczki, a z milczenia Bambiego, który pędził tuż za nim, Karus poznał, że Bambi, nieprzytomny, gniewny i nieubłagany, zdecydowany jest niezłomie zabić go. To go zupełnie pozbawiło panowania nad sobą. Zboczył z drogi, resztkami sił rzucił się w krzaki, nie pragnął już niczego, nie myślał już o niczym łaknąc jednego tylko: zmiłowania i wybawienia.

Nagle Bambi przerwał gonitwę i przystanął.

Karus w swoim lęku wcale tego nie zauważył i pędził dalej na przelaj przez krzaki co sił w nogach.

Ale Bambi zatrzymał się, gdyż usłyszał ciche wołanie Faliny. Począł nasłuchiwać. Falina zawołała znowu, lękliwie, z udreką.

Bambi zawrócił natychmiast i pomknął z powrotem.

Kiedy przybył na łąkę, spostrzegł właśnie, jak Falina, ścigana przez Ronna, umknęła w krzaki.

— Ronno! — krzyknął Bambi.

Nie wiedział wcale, że to krzyknął.

Ronno, który nie potrafił tak szybko biegać, gdyż utykał przecież, zatrzymał się.

— Patrzcie no — powiedział wyniośle — mój mały Bambi! Czy życzysz sobie czegoś ode mnie?

— Życzę sobie — powiedział Bambi spokojnie, ale głosem zmienionym zupełnie od hamowanej siły i opanowanego gniewu — życzę sobie, abyś dał spokój Falinie i wynosił się stąd natychmiast.

— I więcej nic? — zapytał Ronno szyderczo. — Co to się z ciebie zrobił za zuchwalec... nigdy bym się tego nie spodziewał...

— Ronno — powiedział Bambi bardzo cicho — pragnę tego dla twego dobra. Bo jeżeli nie odejdziesz natychmiast, będziesz potem co prawda bardzo pragnął biegać na swoich nogach, ale nie będziesz mógł biegać...

— Oho! — zawołał Ronno gniewnie. — Więc tak ze mną mówisz? Dlatego, że kuleję? Zresztą wcale tego nie widać. A może ci się zdaje, że i ja się ciebie boję, dlatego że Karus był takim nędznym tchórzem? Radzę ci po dobremu...

— Nie, Ronno — przerwał mu Bambi — to ja ci radzę! Odejdź stąd!

Głos jego drżał, gdy mówił dalej:

— Byłeś dla mnie zawsze dobry, Ronno. Uważałem cię za bardzo mądrego i miałem dla ciebie szacunek, ponieważ jesteś o wiele starszy ode mnie. Mówię ci teraz po raz ostatni: odejdź stąd... moja cierpliwość już się skończyła!

— To źle — odpowiedział Ronno pogardliwie — to źle, że masz tak mało cierpliwości. To bardzo źle dla ciebie, mój mały. Ale bądź spokojny, z tobą dam sobie szybko radę. Nie będziesz musiał długo czekać. A może zapomniałeś już, jak często cię odpędzałem?

Po tym przypomnieniu nie istniały już dla Bambiego słowa ani hamulce. Jak szalony rzucił się na Ronna, który przyjął go z pochyloną głową. Z trzaskiem zwarli się ze sobą.

Ronno stał mocno i dziwił się, że Bambi nie cofnął się przed nim. Stropiła go przy tym ta nagła napaść, gdyż nie spodziewałby się nigdy, że Bambi zaatakuje go pierwszy. Z niechęcią obserwował olbrzymią siłę Bambiego i przyznawał w duchu, że musi się mieć na baczności. Kiedy tak stali, zwarci czołem o czoło, postanowił zastosować podstęp. Cofnął się nagle, aby Bambi stracił równowagę i upadł w przód.

Ale Bambi uniósł się na tylne nogi i natychmiast rzucił się znowu ze zdwojoną mocą na Ronna, zanim jeszcze przeciwnik jego zdążył przybrać mocną pozycję. Rozległ się

Walka

głośny trzask, gdyż jeden zęb korony Ronno ułamał się. Ronno sądził, że jego czoło zostało zmiażdżone. Iskry zamigotały mu przed oczyma, zaszumiało mu w uszach.

W następnej chwili potężny cios rozdarł mu ramię. Stracił dech, leżał na ziemi, a Bambi stał nad nim wściekły.

— Puść mnie — jęknął Ronno.

Bambi rzucił się na niego na oślep. Oczy jego miały skry. Nie myślał widocznie o litości.

— Proszę cię... przestań... — błagał Ronno żałośnie. — Wiesz przecież, że kuleję... żartowałem tylko przedtem... oszczędź mnie... czyż nie znasz się na żartach?...

Bambi wypuścił go bez słowa.

Ronno wstał z wysiłkiem. Krwawił mocno i chwiał się na nogach. Bez słowa oddalił się szybko.

Bambi chciał iść w gęstwinę poszukać Faliny. Ale Falina wyszła w tej chwili na polanę. Przez cały czas stała tuż na skraju lasu i widziała wszystko.

— To było cudowne — powiedziała ze śmiechem.

Poważnie zaś i cicho dodała:

— Kocham cię.

Odeszli razem i byli bardzo szczęśliwi.

## ROZDZIAŁ 14

Pewnego razu postanowili odszukać ową małą polanę w samej głębi lasu, gdzie Bambi po raz ostatni spotkał starca. Bambi opowiedział Falinie o starcu i wpadł w zachwyt.

— Może spotkamy go znowu, tęskno mi za nim.

— Byłoby to bardzo miłe — odpowiedziała Falina zuchwale — naprawdę chciałabym kiedyś z nim pogawędzić.

Ale nie mówiła prawdy. Była co prawda bardzo ciekawa, ale w głębi duszy bała się starca.

Był już jasnoszary brzask, zbliżał się wschód słońca.

Szli obok siebie cicho. Krzaki i drzewa stały tutaj rzadziej i na wszystkie strony był otwarty widok.

Niedaleko od nich rozległ się jakiś szmer. Zatrzymali się natychmiast i spojrzeli w tę stronę. Powoli szedł przez krzaki ku polanie potężny jeleni. W półmroku, który nie malował jeszcze barw, podobny był do olbrzymiego, szarego cienia.

Falina nie mogła się powstrzymać od okrzyku. Bambi opanował się. Był co prawda tak samo przerażony, a krzyk tkwił mu już w gardle, ale głos Faliny brzmiał tak bezradnie, że uczuł litość i opanował swój lęk, aby móc ją pocieszyć.

— Cóż ci się stało? — szepnął mocno zatroskany, ale głos jego drżał. — Cóż ci się stało? On nam przecież nic nie zrobi!

Falina krzyknęła jednak ponownie.

— Nie przejmuj się tak okropnie, najdroższa — prosił Bambi. — Przecież to śmieszne tak się zawsze przerażać tych państwa. Ostatecznie są to nasi krewni.

Ale Falina nie chciała słyszeć o takim pokrewieństwie. Stała nieruchomo, wpatrywała się w jelenia, który niewzruszenie szedł dalej, i krzyczała, krzyczała.

— Opanuj się — prosił Bambi. — Cóż on sobie o nas pomyśli?

Ale Faliny niepodobna było uspokoić.

— Niech sobie myśli, co chce — zawołała i znowu poczęła krzyczeć: — Ach-och! Ba-och!... Cóż to za okropna pycha być takim wielkim!

Biadała dalej:

— Ba-och!

Wołała dalej:

— Puść mnie... nie mogę nie krzyczeć! Muszę! Ba-och! Ba-och! Ba-och!

Jeleni stanął teraz na małej polance, spokojnie szukając w trawie przysmaków.

W Bambim, który spoglądał to na szalejącą Falinę, to znowu na spokojnego jelenia, zbudził się jakiś bunt. Słowami, które wypowiedział przedtem do Faliny, przewycięzył zupełnie własne przerażenie. Teraz robił sobie wyrzuty z powodu żalosego stanu, w jaki

wprawiał go zawsze widok jelenia, tego stanu stanowiącego dręczącą mieszaninę grozy, podniecenia, podziwu i poczucia niższości.

— To wszystko nie ma sensu — powiedział, zmuszając się z wysiłkiem do stanowczości. — Pójdę teraz prosto do niego i zawrę z nim znajomość!

— Nie rób tego! — krzyknęła Falina. — Nie rób tego! Ba-och! Stanie się nieszczęście! Ba-och!

— Zrobię to bezwarunkowo — odpowiedział Bambi.

Jeleń, który zjadał sobie na polanie z taką swobodą, nie troszcząc się zupełnie o białą Falinę, wydał mu się teraz zbyt wyniosły. Uczuł się urażony i poniżony.

— Idę — powiedział — bądźże cicho! Zobaczysz, że nic się nie stanie. Zaczekaj tutaj! I poszedł naprawdę.

Ale Falina nie czekała. Nie miała do tego ochoty, najmniejszej ochoty ani odwagi. Zawróciła natychmiast i uciekła z krzykiem, uważała to bowiem za najlepsze, co mogła zrobić.

Coraz dalej i dalej słychać było jej nawoływanie:

— Ba-och! Ba-och!

Bambi chętnie pobiegłby teraz za nią. Ale nie było to już możliwe. Opanował się więc i poszedł naprzód.

Poprzez gałęzie widział jelenia, stojącego na polanie z pochyloną ku ziemi głową.

Bambi czuł, jak mu serce biło, kiedy patrzył na jelenia.

Gdy Bambi wyszedł na polanę, jelenie natychmiast podniósł głowę i spojrzał w jego stronę. Potem jakby z roztargnieniem począł patrzeć prosto przed siebie.

Bambi uważał, że zarówno jeden, jak i drugi gest były niezmiernie dumne, zarówno sposób, w jaki jelenie spojrzał na niego, jak i sposób, w jaki patrzył teraz przed siebie, jakby nikogo innego nie było na polanie.

Bambi nie wiedział, co ma zrobić. Przyszedł tutaj z niezłomnym postanowieniem przemówienia do jelenia. „Dzień dobry — chciał powiedzieć — nazywam się Bambi... czy mogę zapytać o pańskie szanowne imię?”

Owszem! Wyobrażał to sobie jako rzecz niezmiernie prostą, ale teraz okazało się, że sprawa wcale tak prosta nie była. Na cóż mu się mogły zdać najlepsze zamiary? Bambi nie chciał być nieuprzejmy, a jednak był nieuprzejmy, jeżeli wyszedł tu na polanę, nie mówiąc ani słowa. Nie chciał też być natarczywy, a jednak byłby natarczywy, gdyby zaczął mówić.

Jeleń stał przed nim oburzająco majestatycznie. Bambi był zarazem zachwycony i upokorzony. Daremnie usiłował się opanować i powtarzał sobie tylko raz po raz tę samą myśl: „Dlaczego się daję nastraszyć?... Jestem akurat tym samym, co i on... akurat tym samym, co i on”.

Nic nie pomagało. Bambi stał nadal zalekniony i w głębi duszy czuł, że jednak nie jest zupełnie tym samym, co jelenie. Bynajmniej. Czuł się okropnie i musiał skupić całą siłę, aby zachować spokój.

Jeleń spojrzał na niego i pomyślał:

„Cudowny jest... naprawdę jest zachwycający... taki ładny... taki zgrabny... taki wytworny w całym swoim zachowaniu... Ale nie wolno mi tak mu się przypatrywać. To naprawdę nie wypada. A zresztą mogłoby go to wprawić w zakłopotanie”.

I znowu spojrzał ponad Bambim w przestrzeń.

„Co za dumne spojrzenie! — skonstatował Bambi. — To naprawdę nie do zniesienia, ile sobie taki jelenie wmawia!”

Jeleń pomyślał:

„Chętnie bym z nim pomówił... taki jest sympatyczny... Jakie to głupie, że nigdy ze sobą nie rozmawiamy!”

I w zadumie spoglądał przed siebie.

„Jestem niczym — powiedział sobie Bambi w duchu. — Ci krewniacy zachowują się zawsze tak, jakby byli sami tylko na świecie!”

„Ale co mam do niego powiedzieć? — zastanawiał się jelenie. — Nie mam w tym wprawy... powiem jakieś głupstwo i ośmieszę się... On jest z pewnością bardzo mądry”.

Bambi opanował się i stanowczym wzrokiem spojrzał na jelenia.

„Jaki on jest cudowny!” — pomyślał z rozpaczą.

„No... może kiedy indziej...” — postanowił jeleni i odszedł niezadowolony, ale wyniosły.

Bambi pozostał na polanie stropiony.

## ROZDZIAŁ 15

Las dymił pod prażącym słońcem. Od chwili kiedy wzeszło, wypilo wszystkie chmury aż do najmniejszego obłoczka na niebie i teraz panowało zupełnie samo na rozległym błękitnie, który aż wyblakł z gorąca. Nad łąkami i nad wierzchołkami drzew powietrze drgało szkliscie przejrzystymi falami, jak drga zwykle nad płomieniem. Nigdzie nie poruszał się listek, nigdzie żdźbło trawy.

Ptaki milczały, ukryły się w cieniu listowia i nie ruszały się z miejsca. Wszystkie ścieżki i drogi w gęstwinie były puste, gdyż żadne zwierzę nie wychodziło z legowiska.

Las leżał bez ruchu w osłepiającym świetle jak sparaliżowany. Ziemia oddychała, drzewa, krzaki i zwierzęta oddychały w ciężkiej rozkoszy tego żaru.

Bambi spał.

Przez całą noc był szczęśliwy z Faliną, aż do jasnego ranka bawił się z nią i w rozkoszy tej zapominał nawet o pożywieniu. A potem był taki zmęczony, że już nawet głodu nie odczuwał. Oczy kleiły mu się. Położył się w miejscu, gdzie właśnie stał, pośrodku gęstwiny, i zasnął natychmiast.

Gorzko cierpka woń, jaka płynęła z jałowca rozpalonego przez słońce, delikatny zapach młodego wilczego łyka za jego głową oszołamał go we śnie, dodając mu nowych sił.

Zbudził się nagle, dziwnie stropiony.

Czy to nie Falina nawoływała?

Bambi rozejrzał się dokoła. We wspomnieniu widział jeszcze, jak Falina stała tu blisko niego przy krzaku głogu, oskubując liście, w chwili kiedy on kładł się właśnie do snu. Myślał, że zostanie przy nim. A oto nie było jej, a teraz widocznie znudziła jej się samotność, więc wołała go i chciała, żeby jej szukał.

Nasłuchując z wytężeniem, Bambi zastanawiał się, jak długo mógł spać i ile razy już Falina mogła wołać. Nie mógł dojść do tego. Głowę miał jeszcze zupełnie zamgloną od ciężkiego snu.

Wołanie rozległo się znowu.

Bambi jednym ruchem odwrócił się w stronę, z której dochodził ten dźwięk.

Teraz znowu! I nagle Bambi otrzeźwiał zupełnie. Czuł się cudownie orzeźwiony, czuł się wypoczęty i pokrzepiony i czuł też cudowny głód.

Głośno zabrzmiało znowu wołanie, delikatne jak ciche ćwierkanie ptaków, tęskne i czule:

— Pójdź... pójdź...

Tak, to był jej głos! To była Falina!

Bambi z taką mocą rzucił się naprzód, że suche gałęzie krzaków, przez które się przedzierał, zatrzeszczały głośno, a gorące, zielone liście zaszeleściły.

Ale podczas skoku musiał się zatrzymać i rzucić się w bok. Przed nim bowiem stanął starzec, zamykając mu drogę.

Lecz Bambim rządziła teraz miłość. Starzec był mu w tej chwili zupełnie obojętny. Spotka go chyba jeszcze później, gdzieś i kiedyś. Teraz nie miał czasu dla staruszków, choćby byli najbardziej czcigodni. Teraz myślał tylko o Falinie.

Powitał starca szybko i chciał go natychmiast wyminąć.

— Dokąd?

Starzec zadał to pytanie bardzo poważnie.

Bambi wstydził się trochę, począł szukać wykrętu, ale opamiętał się i odpowiedział szczerze:

— Do niej.

— Nie idź — powiedział starzec.

Na sekundę zapłonęła w Bambim iskra gniewu, jedna jedyna iskra. Nie iść do Faliny? Jak ten zły starzec mógł tego wymagać!

Bambi pomyślał: „Ucieknę po prostu”.

Las, Lato



I szybko spojrzął na starca. Ale głębokie spojrzenie, jakie padło na niego z ciemnych oczu starca, przykuło go do miejsca. Drżał z niecierpliwości, ale nie oddalał się.

— Ona mnie woła... — powiedział dla wyjaśnienia.

Powiedział to tonem, w którym słyszało się wyraźnie prośbę: nie zatrzymuj mnie!

— Nie — powiedział starzec — ona cię nie woła.

Delikatnie zabrzmiało znowu niby ćwierkanie ptaków:

— Pójdź...

— Teraz znowu! — zawołał Bambi z podnieceniem. — Niechże pan słucha!

— Słyszę — skinął starzec głową.

— Więc do widzenia... — zawołał Bambi szybko.

Ale starzec krzyknął na niego groźnie:

— Zostań!

— Czego pan ode mnie chce? — zawołał Bambi, nie panując już nad sobą. — Niech mnie pan puści! Nie mam czasu! Proszę pana... jeżeli Falina wzywa mnie... musi pan to przecież zrozumieć...

— Powiadam ci — rzekł starzec — że to nie ona.

Bambi wpadł w rozpacz.

— Ależ... poznaję przecież jej głos...

— Posłuchaj mnie — ciągnął starzec.

Znowu rozległo się wołanie.

Bambiemu ziemia paliła się pod stopami.

— Później! Wróć zaraz! — zawołał błagalnie.

— Nie — rzekł starzec ze smutkiem — nie wrócisz już. Już nigdy.

Wołanie rozległo się jeszcze raz.

— Muszę! Muszę!...

Bambi był bliski utraty przytomności.

— Dobrze — rzekł wreszcie starzec — w takim razie chodźmy razem.

— Ale prędko! — zawołał Bambi, wybiegając naprzód.

— Nie... wolno! — powiedział teraz starzec rozkazująco, głosem, który zmusił Bambiego do posłuszeństwa. — Będziesz szedł za mną... krok za krokiem...

Starzec ruszył naprzód. Bambi szedł za nim niecierpliwie, wdychając nieustannie.

— Słuchaj — powiedział starzec, nie zatrzymując się — ilekroć rozlegałyby się okrzyki, nie odstępуй od mego boku. Jeżeli to jest Falina, będziemy przy niej jeszcze dość wcześnie. Nie daj się porwać. Wszystko zależy od tego, czy mi teraz zaufasz, czy nie.

Bambi nie śmiał się sprzeciwić i poddał się w milczeniu.

Starzec szedł powoli przodem, Bambi za nim, O, jak ten starzec znał się na chodzeniu! Pod stopami jego nie rozlegał się najmniejszy dźwięk. Nigdzie nie poruszył się listek. Nie zatrzęszczała gałązka. A przy tym starzec przedzierał się przez gęste krzaki, przesuwając się poprzez kraty prastarych roślin.

Bambi musiał się dziwić, mimo gorączkowej niecierpliwości musiał go podziwiać. Nigdy by nie przypuścił, że można tak chodzić.

Wołanie rozlegało się raz po raz.

Starzec zatrzymał się, nasłuchując i skinął głową.

Bambi stał obok niego, wstrząsany tęsknotą, udręczony tym przymusem, nie rozumiejąc nic.

Kilka razy starzec zatrzymał się, chociaż nie było słycać wołania, podnosił głowę, nasłuchiwał i potakiwał.

Bambi nie słyszał nic.

Starzec zboczył z kierunku, z którego dochodziło wołanie, i zatoczył łuk. Bambi był o to wściekły.

Wołanie rozlegało się nieustannie.

Wreszcie przybyli bliżej, jeszcze bliżej, zupełnie blisko.

Starzec szepnął:

— Cokolwiek byś teraz zobaczył... nie poruszaj się... słyszysz? Uważaj na wszystko, co będę robił, i zachowuj się zupełnie tak samo jak ja... Bacność! I nie trać panowania nad sobą!...

Jeszcze kilka kroków... i nagle ów ostry, podniecający zapach, który Bambi znał tak dobrze, uderzył o jego nozdrza. Tyle się go musiał nałykać, że omal nie krzyknął. Zatrzymał się jak przywołany. Serce natychmiast poczęło go dławić w gardle.

Starzec swobodnie stał obok niego. Oczy jego wskazały Bambiemu kierunek. Tam! Tam zaś stał ON!

Stał ON tam bardzo blisko, przyciśnięty do pnia dębu, zakryty krzakami leszczyny, i wołał cichutko:

— Pójdź... pójdź...

Widać było tylko JEGO plecy, twarz JEGO widać było tylko niewyraźnie, kiedy odwracał nieco głowę w bok.

Bambi był tak bezgranicznie oszołomiony, tak wstrząśnięty, że dopiero po dłuższej chwili zrozumiał: ON stał tam i ON to był, co udawał głos Faliny. ON to był, co wołał słodko:

— Pójdź... pójdź...

Błada groza przebiegła po wszystkich członkach Bambięgo. Myśl o ucieczce zadrgała w jego sercu, szarpiąc jego ciało.

— Cicho! — szepnął starzec szybko i rozkazująco, jakby chciał zapobiec wybuchowi przerażenia Bambięgo.

Bambi opanował się z trudnością.

Starzec spojrział na niego; najpierw nieco drwiąco, jak się Bambiemu mimo jego stanu zdawało. Potem zaś z wielką powagą i dobrocią.

Bambi, mrugając oczyma, spoglądał przed siebie, tam gdzie stał ON, i uczył, że nie potrafi znieść dłuższej tej przeraźliwej bliskości.

Starzec, jakby odgadując te myśli, szepnął do niego:

— Chodźmy...

I skierował się z powrotem.

Ostrożnie odeszli z tego miejsca. Starzec szedł dziwnymi zygzakami, których celu Bambi nie mógł zrozumieć.

I teraz Bambi szedł za tymi powolnymi krokami, z największym tylko wysiłkiem opanowując swoją niecierpliwość. Jeżeli po drodze tutaj gnała go naprzód tęsknota za Faliną, to teraz popędzało go płonące w jego żyłach pragnienie ucieczki.

Ale starzec szedł nadal powoli, zatrzymywał się, nasłuchiwał, zawracał znowu zygzakami, znowu przystawał, szedł dalej, powoli, niezmiernie powoli.

Teraz musieli już być dość daleko od miejsca grozy.

„Kiedy się znowu zatrzyma, będzie już chyba można mówić i wtedy mu podziękuję”.

Bambi ujrzał, jak starzec tuż przed nim zniknął w gęstej gmatwaninie krzaków ligustru. Żaden listek nie drgnął, żadna gałązka nie trzasnęła, kiedy starzec wszedł w gąszcz.

Bambi skierował się za nim, usiłując przejść tak samo bezszelestnie, z taką samą zręcznością unikając wszelkiego szmeru. Ale nie udało mu się. Liście szeleściły cicho, gałązki ugiwały się o jego boki i z głośnym szelestem odskakiwały z powrotem, suche gałęzie pękały z krótkim, donośnym trzaskiem, łamiąc się o jego pierś.

„Uratował mi życie — pomyślał Bambi — co mu teraz powiem?”

Ale starca nie było już widać.

Bambi wyszedł z krzaków, ujrzał przed sobą gąszcz kwitnących żółto nawłoci<sup>14</sup>, podniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Jak daleko sięgał wzrokiem, nigdzie nie drgała trawka.

Był sam.

Popęd ucieczki, uwolniony teraz od przymusu, natychmiast porwał go ze sobą.

Pod wysokimi jego skokami nawłocie rozsiewały się z gniewnym sykiem jak pod ostrzem sierpa.

Po długim błakaniu się Bambi spotkał Falinę. Był bez tchu, był zupełnie wyczerpany, był szczęśliwy, był głęboko wzruszony.

— Proszę cię, ukochana — powiedział — proszę cię... nie wołaj mnie, gdy nie jesteśmy razem... Nie wołaj mnie już nigdy!... Będziemy się wzajemnie szukali, aż się znajdziemy... ale proszę cię, nie wzywaj mnie nigdy... gdyż nie mogę się oprzeć twemu głosowi...

<sup>14</sup>nawłoc — pospolita roślina o żółtych, wiechowatych kwiatostanach na szczycie łodygi; osiąga wysokość do ok. 1 m. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ 16

W kilka dni później szli razem beztrąsko przez gęstwinę dębów, rozciągającą się po drugiej stronie łąki. Chcieli przejść przez łąkę i w miejscu, gdzie stał wysoki dąb, dotrzeć do swojej ścieżki.

Kiedy krzaki rozjaśniły się nieco przed nimi, zatrzymali się i wyjrżeli ostrożnie. Ale tam przy dębie poruszało się coś czerwonego. Dostrzegli to oboje jednocześnie.

— Kto to może być?... — szepnął Bambi.

— Prawdopodobnie Ronno albo Karus — odpowiedziała Falina.

Bambi powątpiewał o tym.

— Oni się już teraz nie śmia zbliżyć do mnie.

Spojrzał bystrzej w tę stronę.

— Nie — powiedział stanowczo — nie jest to ani Karus, ani Ronno... to ktoś obcy...

Falina zgodziła się z nim, zdziwiona, ale bardzo zaciekawiona.

— Racja... ktoś obcy... teraz i ja to widzę... Dziwne!

Obserwowali dalej.

— Jak on się swobodnie zachowuje! — zawołała Falina.

— Głupio — powiedział Bambi — naprawdę głupio! Zachowuje się jak małe dziecko... jakby nie istniało niebezpieczeństwo!

— Chodźmy tam — zaproponowała Falina.

Była bardzo zaciekawiona.

— Dobrze — odpowiedział Bambi — chodźmy tam... muszę się temu obcemu przyrzec z bliska...

Zrobili kilka kroków, gdy nagle Falina zawahała się:

— Ale... gdyby się z tobą wdał w zwadę... jest silny...

— Ba! — Bambi przechylił głowę i skrzywił się lekceważąco. — Spójrz no na jego małą koronę... Tego miałbym się bać?... Jest wprawdzie gruby i tłusty... ale silny? Nie sądzę. Chodź śmiało.

Poszli.

Nieznamy po drugiej stronie łąki zajęty był oskubywaniem wiech trawy i zauważył ich dopiero wtedy, gdy byli już dość daleko na łące. Natychmiast wybiegł im naprzeciw. Podskakiwał wesoło, jakby w zabawie, sprawiając znowu dziwnie dziecięce wrażenie.

Bambi i Falina zatrzymali się stropieni, czekając na niego. Teraz był już oddalony od nich tylko o kilka kroków. Zatrzymał się także.

Po chwili zapytał:

— Nie poznajecie mnie?

Bambi schylił głowę, gotów do walki.

— A ty nas... znasz? — zapytał zamiast odpowiedzi.

Nieznamy przerwał mu natychmiast.

— Ależ, Bambi! — zawołał z wyrzutem i poufalością.

Bambi zmieszał się, kiedy usłyszał, że zawołano go po imieniu. Pod wpływem brzmienia tego głosu w jego sercu zadrgało jakieś niewyraźne wspomnienie, ale Falina już skończyła naprzeciw obcemu.

— Gobo! — zawołała i zamilkła.

Stała teraz bez słowa, bez ruchu, bez tchu niemal.

— Falino... — powiedział Gobo cicho — Falino... siostró... więc mnie jednak poznałaś...

Podszedł do niej i pocałował ją w usta. Łzy spływały mu po policzkach.

Falina płakała także i nie mogła mówić.

— Tak... Gobo... — zaczął Bambi.

Głos jego drżał, był bardzo podniecony, był głęboko przejęty i bezgranicznie zdumiony.

— Tak... Gobo... więc ty nie umarłeś?...

Gobo roześmiał się.

— Widzisz przecież... Sądzę, że widać nawet po mnie bardzo dobrze, że nie jestem martwy.

— Ale... wtedy... w śniegu?... — upierał się Bambi.

— Wtedy? — Gobo wyprężył się dumnie. — Wtedy ON mnie uratował...

— A gdzie byłeś przez ten cały czas?... — zapytała teraz Falina stropiona.

Gobo odpowiedział:

— U NIEGO... Cały czas u NIEGO...

Zamilkł, spojrzął na Falinę i Bambiego, sycąc się widokiem ich bezradnego zdumienia.

Potem dodał:

— Tak, moi kochani... wiele przeżyłem... o wiele więcej niż wy wszyscy razem tu, w waszym lesie...

Brzmiało to trochę jak przechwałka, ale Falina i Bambi jeszcze tego nie zauważyli, byli jeszcze zbyt przejęci tą wielką niespodzianką.

— Opowiadaj! — zawołała Falina, nie panując nad sobą.

— O — rzekł Gobo z zadowoleniem — opowiadać mógłbym całymi dniami, a jeszcze bym wszystkiego nie skończył.

Bambi nalegał:

— Więc opowiadaj!

Gobo zwrócił się do Faliny i spoważniał nagle.

— Czy mama jeszcze żyje? — zapytał nieśmiało i cicho.

— Tak! — zawołała Falina wesoło. — Żyje... ale dawno jej już nie widziałam.

— Muszę natychmiast iść do niej! — powiedział Gobo stanowczo. — Pójdziecie ze mną?

I poszli.

Przez całą drogę nie mówili więcej ani słowa. Bambi i Falina czuli niecierpliwą tęsknotę Goba za matką, dlatego milczeli teraz oboje. Gobo szedł szybko przodem i milczał także. Nie przeszkadzali mu.

Czasami tylko, kiedy na oślep przebiegał przez jakieś skrzyżowanie dróg, zawsze pędząc prosto przed siebie, albo kiedy w nagłym pośpiechu zwracał się w innym kierunku, przywoływali go bardzo cicho.

— Tutaj! — szeptał wtedy Bambi.

Albo Falina mówiła:

— Nie... teraz tędy...

Kilka razy musieli przechodzić przez wielkie polany. Zauważyli, że Gobo nie zatrzymał się nigdy na skraju gęstwiny, że nigdy nie rozglądał się ani przez chwilę badawczo, zanim wyszedł z gąszczy, lecz po prostu wybiegał bez jakichkolwiek środków ostrożności. Bambi i Falina wymieniali zdumione spojrzenia, ilekroć się to działo. Ale nie mówili ani słowa i z lekkim wahaniem szli za Gobem.

Długo musieli tak chodzić na wszystkie strony i szukać.

Nagle Gobo rozpoznał drogi swego dzieciństwa. Był wzruszony. Nie zastanawiając się nad tym, że Bambi i Falina prowadzili go przecież, odwrócił się do nich i zawołał:

— Widzicie, jak świetnie odnalazłem drogę aż tutaj?

Bambi i Falina nie odpowiedzieli. Znowu spojrzeli na siebie nawzajem.

Wkrótce potem przybyli do małej izdebki z liści.

— Tutaj! — zawołała Falina, wbiegając do izby.

Gobo skierował się za nią i przystanął.

Była to owa izba z liści, w której oboje przyszli na świat, w której jako małe dzieci mieszkali z matką.

Gobo i Falina spojrzeli sobie z bliska w oczy. Nie powiedzieli ani słowa. Falina cicho ucałowała brata w usta. Potem pobiegli dalej.

Szli może jeszcze godzinę tu i tam. Słońce coraz jaśniej przeświecało poprzez gałęzie, las stawał się coraz cichszy. Czas już było położyć się i wypocząć. Ale Gobo nie czuł się zmęczony. Szedł szybko naprzód, dysząc ciężko z niecierpliwego podniecenia i bezładnie rozglądając się dokoła.

Wzdrygnął się, kiedy lasica przebiegła przed nimi wśród kępek trawy. Omal nie stąpił na bażanty, które tuliły się mocno do ziemi, ale kiedy bijąc głośnie skrzydłami i zlorzcząc, uciekły przed nim, przeraził się bardzo.

Bambi dziwił się widząc, jak obco i ślepo chodził Gobo po lesie.

Gobo przystanął i zwrócił się do Bambiego i Faliny.

— Nie można jej znaleźć! — zawołał z rozpaczą.

Falina uspokoiła go.

— Zaraz — powiedziała wzruszona — zaraz, Gobo.

Spojrzała na niego. Znowu miał ów bezradny wyraz twarzy, który знаła tak dobrze.

— Może będziemy wołać? — zapytała z uśmiechem. — Może będziemy znowu wołać... jak dawniej, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi?

Ale Bambi szedł dalej. Tylko kilka kroków. W tej chwili ujrzał ciotkę Enę. Położyła się już do wypoczynku południowego i leżała cicho w cieniu leszczyny, bardzo blisko nich.

— Nareszcie! — mruknął do siebie.

W tej chwili nadeszli też Gobo i Falina. Wszyscy troje stali obok siebie i spoglądali w stronę ciotki Eny, która cicho podniosła głowę i ospale spoglądała w ich stronę.

Gobo wykonał kilka nieśmiałych kroków i zawołał cicho:

— Mamo!...

Leżąca, jakby poderwana gromem, zerwała się teraz na nogi i stanęła jak przykuta.

Gobo szybko skoczył do niej.

— Mamo... — zaczął znowu, chciał mówić, ale nie mógł wydobyć słowa.

Matka spojrzała mu głęboko w oczy. Znieruchomienie jej poczęło ustępować; drżała tak mocno, że fala za falą przebiegały jej przez łopatki i plecy.

Nie pytała o nic, nie żądała wyjaśnień, nie kazała sobie opowiadać. Wolno pocałowała Goba w usta, całowała jego policzki, jego szyję; nieustannie obmywała go swymi pocałunkami, jak niegdyś w owej godzinie, kiedy go urodziła.

Bambi i Falina odeszli.

## ROZDZIAŁ 17

Stali wszyscy razem na małej polance pośrodku gęstwiny i Gobo opowiadał.

Przyjaciel zając siedział tam także. Ze zdumienia uniósł słuchy, wymachiwał nimi z przejęciem i pod silnym wrażeniem opowiadania opuszczał je z powrotem, aby natychmiast wyprężyć je znowu w górę.

Sroka siedziała na najniższej gałęzi młodego buku i słuchała oszołomiona. Kraska niespokojnie siedziała naprzeciwko na jesionie i od czasu do czasu piszczła ze zdziwienia.

Kilka znajomych bażantów z żonami i dziećmi przybyło także. Przysłuchując się, ze zdumieniem wyciągały szyje, nagłymi ruchami wciągały je z powrotem, odwracały głowy na wszystkie strony i nie mogły wymówić słowa.

Wiewiórka zeskoczyła na dół i zachowywała się bardzo niespokojnie. To zbiegała na ziemię, to wdrapywała się na to czy owo drzewo, to znowu wspierała się na wzniesionej kicie i ukazywała białą pierś. Raz po raz chciała przerwać Gobowi, chciała coś powiedzieć, ale za każdym razem wszyscy surowo przywoływali ją do milczenia.

Gobo opowiadał, jak bezradnie leżał na śniegu, oczekując śmierci.

— Psy mnie znalazły — mówił — psy są straszne. Są one w ogóle najstraszniejszymi istotami, jakie istnieją na świecie. Pyski ich są pełne krwi, głos ich jest gniewny i bezlitosny.

Rozejrzał się dokoła po kręgu słuchaczy i ciągnął:

— ...a jednak... później bawiłem się z nimi jak z równymi sobie...

Był z tego bardzo dumny.

— ...teraz nie mam już najmniejszej potrzeby bać się ich, gdyż jestem z nimi zaprzyjaźniony. Mimo to kiedy się zaczynają wściekać, kręci mi się w głowie, a serce drętwieje mi zupełnie. Nie zawsze co prawda mają złe zamiary, a przy tym, jak powiedziałem, jestem przecież ich przyjacielem... ale głos ich posiada jednak przeraźliwą moc.

Gobo zamilkł.

— Dalej! — nalegała Falina.

Gobo spojrzał na nią.

— Otóż... psy byłyby mnie poszarpały... ale wtedy nadszedł ON!

Gobo zrobił pauzę. Słuchacze nie śmieli oddychać.

— Tak — powiedział Gobo. — Wtedy nadszedł ON! Odwołał psy, które ucichły natychmiast. Krzyknął na nie jeszcze raz, a one bez ruchu legły u JEGO stóp na ziemi. Potem mnie podniósł. Krzyczałem. Ale ON mnie pogłaskał. Łagodnie przycisnął mnie do siebie, nie zadając mi bólu. A potem niósł mnie...

Falina przerwała mu:  
 — Co to znaczy „nieść”?...  
 Gobo zaczął jej tłumaczyć, dokładnie i z powagą.  
 — To bardzo proste — przerwał mu Bambi. — Spójrz, Falino, jak robi to wiewiórka, kiedy trzyma orzech i niesie go...  
 Wiewiórka chciała się nareszcie dorwać do słowa.  
 — ...jeden z moich kuzynów... — zaczęła gorliwie.  
 Ale inni krzyknęli zaraz:  
 — Cicho! Cicho! Gobo niech opowiada dalej!  
 Wiewiórka musiała zamilknąć. Była zrozpaczona, przyciskała przednie łapki do białej piersi i zwróciła się do sroki, aby z nią nawiązać rozmowę.  
 — ...mianowicie... jeden z moich kuzynów...  
 Ale sroka po prostu odwróciła się do niej tyłem.  
 Gobo opowiadał cuda.  
 — Na dworze jest zimno i wicher wyje. Ale w izbie jest spokojnie i tak ciepło, jak latem.  
 — Hach! — zaskrzeczała kraska.  
 — Na dworze leje z nieba deszcz, aż wszystko pływa. Ale w izbie nie pada ani kropelka i jest się zupełnie suchym.  
 Bażanty skurczyły szyje i odwróciły głowy.  
 — Na dworze leżał wszędzie wysoki śnieg, ale ja stałem w izbie w ciepłe, było mi bardzo gorąco, a ON dawał mi do jedzenia siano, kasztany, kartofle, rzepy, czego tylko mogłem zapragnąć...  
 — Siano?!  
 Wszyscy zadali to pytanie jednocześnie, stropieni, niedowierzająco, z podnieceniem.  
 — Świeżutkie, słodkie siano — powtórzył Gobo swobodnie, rozglądając się dokoła z miną zwycięzcy.  
 Wiewiórka zdołała wtłoczyć w tę ciszę swój głosik:  
 — Jeden z moich kuzynów...  
 — Bądźże cicho! — zawołali natychmiast inni.  
 A Falina zapytała Goba z przejęciem:  
 — Skądże ON ma zimną siano i te wszystkie inne rzeczy?  
 — Każę im rosnąć — odpowiedział Gobo — czegokolwiek ON chce, temu zaraz każę rosnąć, czegokolwiek ON chce, to natychmiast jest!  
 Falina pytała dalej:  
 — A czy nie bałeś się ciągle, Gobo, czy nie bałeś się tam u NIEGO?  
 Gobo uśmiechnął się z wyższością.  
 — Nie, droga Falino. Wcale się już nie bałem. Wiedziałem przecież, że ON nie chce mi zrobić nic złego. Dlaczegoż miałbym się bać? Wy wszyscy sądzicie, że ON jest zły. Ale ON wcale nie jest zły. Kiedy kocha kogoś, kiedy MU ktoś służy, wtedy ON jest dobry. Cudownie dobry. Nikt na całym świecie nie potrafi być tak dobry jak ON...  
 Nagle, podczas gdy Gobo mówił w ten sposób, niedosłyszalnie wyszedł z gęstwiny starzec.  
 Gobo nie zauważył go i opowiadał dalej. Ale wszyscy inni spostrzegli starca i ze czi powstrzymali oddechy.  
 Starzec stał bez ruchu i poważnymi, głębokimi oczyma przyglądał się Gobowi.  
 Gobo mówił:  
 — Nie tylko ON sam, ale i JEGO dzieci kochały mnie bardzo, tak samo JEGO żona, wszyscy. Głaskali mnie, dawali mi jeść i bawili się ze mną...  
 Urwał nagle. Zobaczył starca.  
 Zapadła cisza.  
 Potem starzec zapytał spokojnym, władczym głosem:  
 — Co to za smugę masz na szyi?  
 Wszyscy spojrzeli na Goba i teraz dopiero zauważyli ciemną smugę wciśniętych i wytartych włosów, otaczającą jego szyję.  
 Gobo odpowiedział niepewnie:

— To?... To od wstążki, którą nosilem... to JEGO wstążka... i... tak... i wielkim zaszczytem jest nosić JEGO wstążkę... jest to...

Zmieszał się i zamilkł.

Wszyscy milczeli.

Starzec długo przyglądał się Gobowi, przenikliwie i smutno.

— Nieszczęsny — powiedział cicho, odwrócił się i zniknął.

W zakłopotanym milczeniu, jakie teraz nastąpiło, wiewiórka zaczęła znowu paplać:

— Mianowicie... jeden z moich kuzynów także był u NIEGO... ON złapał go i zamknął... o, trwało to bardzo długo, aż pewnego razu kuzyn mój...

Ale nikt nie słuchał wiewiórki.

Wszyscy się rozeszli.

## ROZDZIAŁ 18

Pewnego dnia zjawiała się znowu Marena.

Owej zimy, kiedy zniknął Gobo, Marena była już prawie zupełnie dorosła, ale od tego czasu nie widywano jej prawie nigdy, gdyż trzymała się stale na uboczu i chadzała samotnymi drogami.

Pozostała nadal szczupła i wyglądała bardzo młodo. Ale była poważna i cicha i przewyższała wszystkie inne łagodnością. Dowiedziała się teraz od wiewiórki, od kraski i sroki, od drozda i bażanta, że Gobo powrócił do domu i przeżył cudowne rzeczy. Przybyła więc, aby go zobaczyć.

Matka Goba była bardzo dumna i szczęśliwa z tej wizyty. Matka Goba stała się w ogóle bardzo dumna w swoim szczęściu. Cieszyła się, że cały las mówi o jej synu, pławiła się w jego sławie i żądała od każdego przyznania, że jej Gobo jest najmądrzejszy, najdzielniejszy i najlepszy.

— Cóż powiesz, Mareno? — pytała. — Cóż powiesz o Gobie?

Nie czekała na odpowiedź, tylko szybko mówiła dalej:

— Pamiętasz jeszcze, jak pani Netla mówiła, że Gobo nie jest dużo wart, bo drzał troszeczkę na mrozie... Pamiętasz jeszcze, jak mi przepowiadała, że nie przeżyję z nim dużo radości?

— No, dość chyba pani miała strapien z powodu Goba — odpowiedziała Marena.

— To wszystko już minęło! — zawołała matka, dziwiąc się, że ktoś może jeszcze o tym myśleć. — Ach, tak mi żal biednej pani Netli. Jaka to szkoda, że nie żyje już i nie może zobaczyć, na co wyrósł mój Gobo!

— Tak, biedna pani Netla — powiedziała Marena cicho — szkoda jej.

Gobo chętnie się przysłuchiwał, jak matka go chwaliła. Podobało mu się to. Stał przy tym cicho i pod pochwałami tymi czuł się tak rozkosznie, jak pod gorącymi promieniami słońca.

Matka opowiadała Marenie:

— Nawet stary książę przyszedł zobaczyć Goba...

Powiedziała to tajemniczo, szeptem i uroczyście.

— Nigdy jeszcze nie pokazał się pośród nas... ale ze względu na Goba przyszedł!

— Dlaczego powiedział do mnie „nieszczęsny”? — przerwał jej Gobo tonem niezadowolenia. — Ciekaw jestem, co to może mieć za znaczenie!

— Dajże spokój — pocieszyła go matka — jest po prostu stary i zdziwaczały.

Ale Gobo nie mógł się już dłużej opanować i wybuchnął:

— Po całych dniach trapi mnie ciągle ta myśl. Nieszczęsny! Nie jestem przecież wcale nieszczęśliwy! Jestem bardzo szczęśliwy! Widziałem więcej, przeżyłem więcej niż wszyscy inni! Wiem więcej o świecie i znam życie lepiej niż ktokolwiek inny w lesie! Jak sądzisz, Mareno?

— Tak — odpowiedziała Marena — temu nikt zaprzeczyć nie może.

Od tego dnia Marena i Gobo stale chadzali razem.

## ROZDZIAŁ 19

Bambi szukał starca.

Nocami całymi waleśał się po lesie, wędrował w godzinie wschodu słońca i w godzinie zorzy porannej po nieudeptanych ścieżkach, bez Faliny.

Niekiedy gnało go coś jeszcze do Faliny, niekiedy przebywał z nią jeszcze tak samo chętnie jak dawniej, znajdował przyjemność w przechadzaniu się razem z nią, w słuchaniu jej gawędzenia, w posilaniu się wraz z nią na łące albo na skrajach gęstwin leśnych; ale już mu to zupełnie nie wystarczało.

Dawniej, przebywając razem z Faliną, bardzo rzadko i tylko przelotnie wspominał o swoich spotkaniach ze starcem. Teraz szukał starca wszędzie i czuł tajemnicze, nieprzewyciężone pragnienie ujrzenia go znowu, a tylko od czasu do czasu przypominał sobie o Falinie. Falinę mógł mieć zawsze, kiedykolwiek zapragnął. A przebywanie z innymi, z Gobem, z ciotką Eną, mało go kusilo. Unikał ich obecności jak tylko mógł.

Owo słowo, które starzec powiedział o Gobie, brzmiało nieustannie w duszy Bambiego. Był nim dziwnie silnie przejęty. Zaraz od pierwszego dnia powrotu Goba odczuwał na jego widok dziwne wzruszenie. Bambi nie wiedział dlaczego, ale w widoku Goba było dla niego od razu coś dręczącego.

Bambi wstydził się za Goba, sam nie wiedząc dlaczego; i lękał się o niego, nie wiedząc również dlaczego. A kiedy przebywał teraz razem z niepodejrzewającym niczego, pewnym siebie, zadowolonym i dumnym Gobem, nieustannie przypominał sobie to jedno słowo: „Nieszczęsny!”. Nie mógł się od tego uwolnić.

Ale pewnej ciemnej nocy, kiedy Bambi, aby się przypodobać puszczykowi, zapewnił go znowu, że się okropnie przestraszył, przyszło mu nagle na myśl zapytać:

— Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie może teraz być starzec?

Puszczyk mruknął w odpowiedzi, że nie ma o tym pojęcia. Ale Bambi zauważył, że na pewno wie coś, tylko nie chce powiedzieć.

— Nie — zawołał — nie uwierzę w to nigdy. Pan jest taki mądry. Wie pan wszystko, co się dzieje w lesie... niewątpliwie wie pan także, gdzie jest starzec.

Puszczyk, który siedział przedtem mocno nastroszony, ściągnął teraz pierze na ciele i stał się dziwnie szczupły.

— Naturalnie, że wiem — mruknął jeszcze bardziej cicho — ale nie wolno mi tego powiedzieć... naprawdę nie wolno mi...

Bambi począł prosić i nalegać:

— Ja pana nie zdradzę... Jakżebym zresztą mógł to zrobić, gdy tak bardzo pana poważam...

Puszczyk zamienił się znowu w piękną, miękką, szarobrunatną kulkę, wyrócił nieco swoje mądre, wielkie oczy, jak zwykle, kiedy się czuł zadowolony, i zapytał:

— Tak, tak? Więc poważa mnie pan naprawdę? A dlaczego?...

Bambi nie wahał się ani chwili.

— Ponieważ jest pan taki mądry — odpowiedział szczerze — a przy tym taki wesoły i taki uprzejmy. I ponieważ potrafi pan tak znakomicie przerażać innych. Bardzo to mądrze przerażać innych, tak, jest to niezmiernie mądre. Bardzo bym pragnął, abym i ja to potrafił. Byłoby to dla mnie nader korzystne.

Puszczyk zatopił dziób głęboko w puszkę na piersi i był szczęśliwy.

— No — powiedział — wiem co prawda, że starzec bardzo pana lubi...

— Tak pan sądzi? — zawołał Bambi, a serce jego poczęło bić radośnie.

— Tak, jestem tego pewien — odpowiedział puszczyk — lubi pana bardzo i dlatego przypuszczam, że mogę się odważyć zdradzić panu, gdzie on teraz jest...

Przyciągnął mocno pierze do ciała i stał się znowu zupełnie cieniutki.

— Czy pan zna ten głęboki rów, nad którym stoją wierzby?

— Tak — odpowiedział Bambi potakując głową.

— Czy zna pan po drugiej stronie tego rowu młody zagajnik dębowy?

— Nie — wyznał Bambi — nigdy jeszcze nie byłem po drugiej stronie.

— Wierc niech pan dobrze uważa — szepnął puszczyk — po drugiej stronie jest zagajnik dębowy. Musi pan przejść przez niego. Potem nastąpią krzaki, dużo krzaków, leszczyna i białodrzew, głóg i ligustr. Pośrodku tej gęstwiny leży stary, powalony przez wiatr buk. Musi go pan odszukać, gdyż tam na dole, gdzie pan jest, nie można przecież tak dobrze widzieć jak z góry, z powietrza. Tam on jest. Pod tym pnem. Ale... niech mnie pan nie zdradzi!



— Pod pnem?

— Tak! — Puszczyk roześmiał się. — W jednym miejscu jest tam wgłębienie w ziemi. Pień nakrywa to wgłębienie. I tam on jest.

— Dziękuję — powiedział Bambi serdecznie. — Nie wiem, czy znajdę to miejsce, ale dziękuję panu stokrotnie.

Szybko pobiegł przed siebie.

Puszczyk bezszelestnie pofrunął za nim i począł wołać tuż nad nim:

— U-j! U-j!

Bambi wzdrygnął się.

— Przestraszył się pan? — zapytał puszczyk.

— Tak... — wybełkotał Bambi i tym razem powiedział prawdę.

Puszczyk mruknął z zadowolenia i powiedział:

— Chciałem panu tylko jeszcze raz przypomnieć: niech mnie pan nie zdradzi!

— Oczywiście! — zapewnił go Bambi i pobiegł szybko naprzód.

Kiedy przybył nad rów, z ciemnej jak noc głębiny wynurzył się przed nim starzec, tak bezgłośnie i nagle, że Bambi znowu wzdrygnął się przerażony.

— Nie jestem już tam, gdzie mnie szukasz — powiedział starzec.

Bambi milczał.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał starzec.

— Niczego... — wybełkotał Bambi — o... niczego... niech pan wybaczy...

Starzec powiedział po chwili, a słowa jego brzmiały łagodnie:

— Szukasz mnie nie od dzisiaj dopiero.

Czekał. Bambi milczał. Więc starzec ciągnął:

— Wczoraj dwa razy przeszedłeś zupełnie blisko mnie, a dzisiaj rano znowu dwa razy, zupełnie bliźniutko...

— Dlaczego... — zaczął Bambi, skupiając całą swoją odwagę — dlaczego powiedział pan o Gobie?...

— Czy sądzisz, że nie miałem racji?

— Nie — zawołał Bambi namiętnie — nie! Czuję, że to prawda!

Starzec wyraźnie skinął głową, a oczy jego spojrzwały na Bambię tak dobrotliwie, jak nigdy jeszcze.

Bambi powiedział, wpatrując się w te oczy:

— Ale... dlaczego?... Nie mogę tego zrozumieć!

— Wystarczy, jeżeli to czujesz. Później zrozumiesz to kiedyś. Bywaj!

## ROZDZIAŁ 20

Wszyscy zauważyli niebawem, że Gobo posiadał jeden nawyk, który wydawał im się dziwny i podejrzany. Mianowicie sypiał w nocy, wtedy gdy inni chodzili po lesie. Za dnia zaś, kiedy wszyscy szukali schronienia, aby się przespać, Gobo był rześki i chodził na spacer. Co więcej, gdy mu się zachciało, bez wahania wychodził z gęstwiny i w jasnym świetle słonecznym w największym spokoju stawał pośrodku łąki.

Bambi nie mógł dłużej milczeć na ten widok.

— Czy nie myślisz wcale o niebezpieczeństwie? — zapytał.

— Nie — odpowiedział Gobo po prostu — dla mnie niebezpieczeństwo nie istnieje.

— Zapominasz, kochany Bambi — wtrąciła matka Goba — zapominasz, że ON jest jego przyjacielem. Gobo może sobie pozwolić na więcej niżeli ty albo my wszyscy.

I była bardzo dumna.

Bambi nic już więcej na to nie powiedział.

Pewnego dnia Gobo odezwał się do niego:

— Wiesz, Bambi, niekiedy wydaje mi się dziwne, że jem tutaj tak swobodnie, kiedy chcę i co chcę.

Bambi nie zrozumiał go.

— Dlaczegoż ma to być dziwne? Wszyscy tak przecież postępujemy.

— Tak... wy! — odpowiedział Gobo z wyższością. — Ale ja to co innego. Jestem przyzwyczajony, że mi się przynosi jedzenie i woła się mnie, kiedy jest przygotowane.

Bambi spojrział na Goba współczująco, potem spojrział na ciotkę Enę, Falinę i Marenę.

Ale one uśmiechały się tylko i podziwiały Goba.

— Przypuszczam — zaczęła Falina — że trudno ci będzie przyzwyczać się do zimy, Gobo. Tu u nas w lesie nie ma zimą siana, nie ma rzepy ani kartofli.

— To prawda — odpowiedział Gobo w zadumie — o tym jeszcze zupełnie nie pomyślałem. Nie potrafię też sobie wyobrazić, jak to jest. Musi to być okropne.

Bambi powiedział spokojnie:

— Nie jest to okropne. Jest to tylko trudne.

— No — oświadczył Gobo wyniośle — jeżeli mi będzie za trudno, pójdę sobie po prostu do NIEGO. Po co miałbym tutaj głodować? To mi naprawdę wcale nie jest potrzebne.

Bambi odwrócił się bez słowa i odszedł.

Gdy Gobo pozostał później znowu sam z Mareną, zaczął mówić o Bambim.

— On mnie nie rozumie — powiedział. — Poczciwy Bambi przypuszcza, że jestem ciągle jeszcze owym głupim, małym Gobem, jakim byłem niegdyś. Ciągle jeszcze nie może się oswoić z myślą, że stałem się czymś wyjątkowym. Niebezpieczeństwo! Po co on mi ciągle mówi o niebezpieczeństwie? Niewątpliwie jest dla mnie życzliwy, ale niebezpieczeństwo to coś dla niego i jemu podobnych, ale nie dla mnie!

Marena zgodziła się z nim. Kochała go, a Gobo kochał ją i oboje byli szczęśliwi.

— Widzisz — powiedział znowu Gobo do niej — nikt mnie nie rozumie tak dobrze jak ty! Oczywiście, nie mogę się przecież uskarżać. Wszyscy mnie szanują i poważają. Ale ty rozumiesz mnie najlepiej. Inni... choćbym im najczęściej opowiadał, jaki ON jest dobry, słuchają mnie, nie myślą oczywiście, że kłamię, ale trwają jednak w przekonaniu, że ON musi być straszny!

— Ja w NIEGO zawsze wierzyłam — powiedziała Marena marzycielsko.

— Tak? — odpowiedział Gobo od niechcienia.

— Czy pamiętasz jeszcze — ciągnęła Marena — ów dzień, kiedy padłeś na śnieg i pozostałeś tam? Owego dnia powiedziałam, że ON przyjdzie kiedyś do nas do lasu i będzie się z nami bawił...

— Nie — odpowiedział Gobo przeciągle — tego sobie nie mogę przypomnieć.

Minęło kilka tygodni.

Pewnego ranka o świcie Bambi, Falina, Marena i Gobo spotkali się w starej rodzinnej gęstwinie leszczynowej. Bambi i Falina powracali właśnie do domu z wędrówki, minęli stary dąb i zamierzali odszukać swoje legowisko, kiedy spotkali Goba i Marenę. Gobo szedł właśnie na łąkę.

— Zostań lepiej z nami — powiedział Bambi — słońce wszędzie niebawem, nikt teraz nie wychodzi z lasu.

— Śmieszne — zadrwił Gobo. — Jeżeli nikt nie wychodzi... to ja wyjdę.

Poszedł dalej.

Marena ruszyła za nim.

Bambi i Falina stali dalej na miejscu.

— Chodź! — powiedział Bambi do Faliny z gniewem. — Chodź! Niech sobie robi, co chce!

Chcieli iść dalej.

W tej chwili po drugiej stronie łąki kraska krzyknęła głośno i ostrzegawczo.

Bambi zawrócił jednym skokiem i popędził za Gobem. Tuż przed dębem dogonił jego i Marenę.

— Słyszysz? — krzyknął na Goba.

— Co takiego? — zapytał Gobo stropiony.

Znowu zabrzmiał głos kraski z drugiego krańca łąki.

— Czyż nie słyszysz? — powtórzył Bambi.

— Nie — odpowiedział Gobo spokojnie.

— Grozi niebezpieczeństwo! — nalegał Bambi.

Teraz zaskrzeczała donośnie sroka, zaraz po niej druga, w chwilę później zaś jeszcze jedna. Tymczasem i kraska krzyknęła jeszcze raz, a wysoko z powietrza zabrzmiały ostrzegawcze sygnały wron.

Falina poczęła teraz prosić:

— Nie wychodź, Gobo! Grozi niebezpieczeństwo!  
Nawet Marena prosiła:  
— Zostań tutaj! Zrób to dla mnie i zostań dzisiaj w lesie... grozi niebezpieczeństwo.  
Gobo stał naprzeciwko nich i uśmiechał się z wyższością.  
— Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo! Co mnie to obchodzi?  
Bambi wpadł na myśl, którą podsunęła mu konieczność chwili:  
— Pozwól przynajmniej wyjść najpierw Marenie, abyśmy wiedzieli...  
Nie dokończył jeszcze zdania, gdy Marena wybiegła już z gęstwiny.  
Wszyscy troje stali w miejscu i spoglądali za nią. Bambi i Falina bez tchu, Gobo z widocznym zniecierpliwieniem, jakby godził się tylko na głupią zachciankę innych.  
Widzieli, jak Marena wychodziła na łąkę krok za krokiem, powoli, z podniesioną głową, ostrożnie stawiając nogi. Rozglądała się dookoła i węszyła na wszystkie strony.  
I nagle błyskawiczny zwrot, wysoki skok, i Marena jak smagana wichrem wpadła z powrotem w gęstwiny.  
— ON... ON tam jest! — szepnęła głosem zdławionym z przerażenia.  
Drżała na całym ciele.  
— Ja... ja... GO... widziałam... ON... tam jest... — bełkotała — ...tam po drugiej stronie... pod olchami... stoi ON...  
— Uciekać! — zawołał Bambi. — Uciekać natychmiast!  
— Chodź! — błagała Falina.  
A Marena, która niemal już nie mogła mówić, szeptała:  
— Proszę cię, Gobo, chodź teraz... proszę cię...  
Ale Gobo pozostał spokojny.  
— Biegajcie sobie, jak daleko możecie — odpowiedział. — Ja wam przecież nie przeszkadzam. Jeżeli ON tam jest, pójde się z NIM przywitać.  
Niepodobna go już było powstrzymać.  
Pozostali więc na miejscu i widzieli jak Gobo wychodził z lasu. Pozostali na miejscu, gdyż wielka jego ufność działała na nich z jakąś niepojętą mocą, zarazem zaś powstrzymywał ich lęk o niego. Nie mogli się ruszyć z miejsca.  
Gobo stał swobodnie na łące, rozglądał się dookoła i patrzył badawczo w stronę olch. Teraz zdawało się, że znalazł, czego szukał, teraz widocznie dostrzegł JEGO.  
W tej chwili huknął grom.  
Huk ten poderwał Goba w górę. Zawrócił nagle i olbrzymimi skokami pomknął z powrotem w gęstwiny.  
Stali jeszcze, obezwładnieni ze strachu, kiedy nadbiegł. Słyszeli jego świszczący oddech, zawrócili wraz z nim, a gdy Gobo nie zatrzymał się, lecz nieprzytomnymi skokami pędził dalej przed siebie, wzięli go w środek i poddali się niepohamowanej ucieczce.  
W chwilę potem Gobo padł na ziemię.  
Marena przystanąła natychmiast, tuż obok niego. Bambi i Falina zatrzymali się nieco dalej, gotowi każdej chwili do ucieczki.  
Gobo leżał z poszarpanym bokiem, a jego krwawiące trzewia wypłynęły. Podniósł głowę osłabłym, obrotowym ruchem.  
— Marena... — powiedział z wysiłkiem — Marena... ON mnie nie poznał...  
Jego głos załamał się.  
W krzakach od strony łąki rozległ się groźny szelest.  
Marena pochyliła głowę do Goba.  
— ON idzie! — szepnęła przejmująco. — Gobo... ON idzie! Czy nie możesz wstać i uciec ze mną?...

Gobo podniósł znowu słabym, obrotowym ruchem głowę, w drgawkach uderzył nogami o ziemię i leżał dalej.  
Z trzaskiem i szelestem rozchyliły się krzaki i wyszedł z nich ON.  
Marena ujrzała GO zupełnie z bliska. Cofnęła się powoli, znikła za najbliższymi krzakami, pobiegła do Bambiego i Faliny.  
Jeszcze raz odwróciła się za siebie i ujrzała, jak ON pochylił się nad leżącym i wyciągnął ku niemu rękę.  
Potem usłyszeli skargliwy okrzyk śmiertelny Goba.

Śmierć

## ROZDZIAŁ 2I

Bambi był sam.

Poszedł nad wodę, która cicho płynęła między sitowiem i nadbrzeżnymi wierzbami.

Często, coraz częściej przychodził teraz tutaj, odkąd przebywał sam. Mało tu było dróg i prawie nigdy nie spotykał tutaj nikogo ze swoich. Ale tego właśnie pragnął. Umysł jego bowiem spoważniał teraz, a dusza zamroczyła się. Nie wiedział, co się w nim dokonywało, nie zastanawiał się zresztą nad tym. Dumał tylko nieskładnie i miał wrażenie, jakby całe życie stało się posępniejsze.

Długo stał zwykle na brzegu. Rzeka, która przepływała tutaj łagodnym zakrętem, stanowiła rozległy widok. Chłodne tchnienie fal przynosiło ze sobą orzeźwiająco gorzkie, niezwykle zapachy, których woń budziła beztróskę i ufność.

Bambi stał na brzegu i przyglądał się kaczkom, które igrały tutaj tłumnie. Nieustannie rozmawiały ze sobą, serdecznie, poważnie i mądrze. Było tu kilka matek, a każda otoczona chmurą dzieci, które nieustannie strofowała i niezmordowanie nauczała.

Czasami któraś z matek dawała znak ostrzegawczy. Wówczas młode kaczkęta rozprasały się na wszystkie strony, bez chwili wahania, rozbiegały się jak pod podmuchem wiatru, zupełnie bezszelestnie.

Bambi przyglądał się przez chwilę, jak maleństwa, które nie umiały jeszcze fruwać, znikają w gęstym sitowiu, ostrożnie, nie dotykając trzcinki, aby się nie zachwiała zdradziecko. Tu i ówdzie dostrzegał małe, ciemne ciała, znikające powoli w sitowiu. Potem już nic nie widział.

A później jeden krótki krzyk matki, i natychmiast wszystkie kaczkęta roily się znowu nad wodą. Hufiec skupiał się natychmiast znowu, kaczkęta zaczynały znowu jak przedtem krążyć po powierzchni wody.

Bambi podziwiał to stale. Wydawało mu się to niezwykłą sztuką.

Po jednym takim alarmie zwrócił się do którejś z matek:

— Co się przedtem stało? Uważałem pilnie, ale nic nie zauważyłem.

— Bo też to nic nie było — odpowiedziała kaczka.

Kiedy indziej jedno z dzieci dało sygnał ostrzegawczy, odwróciło się z błyskawiczną szybkością i pomknęło przez sitowie prosto w to miejsce brzegu, gdzie stał Bambi.

Bambi zapytał kaczątko:

— Co się teraz stało? Ja nic nie zauważyłem.

— Bo też to nic nie było — odpowiedziało maleństwo.

Z przemądrzałą miną wstrząsnęło piórkami ogona, starannie złożyło na nich końce skrzydeł i pozęgłowało z powrotem do wody.

Mimo to Bambi polegał na kaczkach. Zrozumiał, że są czujniejsze od niego, że bystrzej słyszą i lepiej widzą. Kiedy stał tutaj, wieczne napięcie, w jakim się znajdował, ustępowało nieco.

Chętnie też rozmawiał z kaczkami. Nie mówiły takich głupstw, jakie tak często słyszał teraz od innych. Opowiadały o rozległym powietrzu, o wietrze i o dalekich polach, na których można się było pławic w najwspanialszych smakolykach.

Czasami Bambi spostrzegał, jak coś małego nagle przemykało obok niego w powietrzu, tuż nad brzegiem, niby ognista błyskawica.

— Srrr-ih! — wołał zimorodek cicho i przemykał obok Bambiego. Mały, migoczący punkcik. Mienił się błękitem i zielenią, migotał czerwono: zajaśniał i zniknął.

Bambi wpatrywał się w to z zachwytem, a pragnąc przyjrzeć się dziwnemu nieznanemu z bliska, zawołał go.

— Niech pan sobie nie zadaje trudu — powiedziała do niego kurka wodna<sup>15</sup> z gęstego sitowia. — Niech pan sobie nie zadaje trudu. On panu przecież i tak nie odpowie.

— Gdzie pani jest? — zapytał Bambi, rozglądając się po sitowiu.

Ale kurka wodna zaśmiała się głośno z zupełnie innej strony.

— Tu jestem! Ten mrukiwy osobnik, do którego się pan przedtem odezwał, z nikim nie rozmawia. Daremnie go pan będzie wołał.

— Piękny jest! — powiedział Bambi.

<sup>15</sup>kurka wodna — średniej wielkości ptak wodny z rodziny chruścieli. [przypis edytorski]

— Ale zły! — odpowiedziała kurka wodna, znowu z innego miejsca.

— Dlaczego pani tak sądzi? — zapytał Bambi.

— Nikt i nic go nie obchodzi. Niech się dzieje co chce. Nigdy nikogo nie wita i nigdy jeszcze nie odpowiedział na niczyje powitanie. Nie daje nikomu znaku, kiedy niebezpieczeństwo jest blisko. Nigdy jeszcze z nikim nie zamienił ani słowa.

— Biedny... — powiedział Bambi.

Kurka wodna mówiła dalej, a piskliwy jej głosik zabrzmiał teraz znowu z innej strony:

— Prawdopodobnie przypuszcza, że wszyscy zazdroszczą mu tych kilku barw, i nie chce nawet, żeby mu się ktoś bliżej przyjrzał.

— I pani się przecież nie pokazuje — odpowiedział Bambi.

Kurka wodna natychmiast stanęła przed nim.

— We mnie nie ma nic ciekawego — powiedziała skromnie.

Stała przed nim szczupła, połyskująca od wody, w skromnej sukience, zgrabna, niepokojna, ruchliwa i zadowolona. I jednym skokiem znikła też natychmiast.

— Nie rozumiem, jak można usiedzieć tak długo na jednym miejscu — zawołała z wody.

I znowu z innego miejsca dodała:

— Bardzo to nudne i bardzo niebezpieczne pozostawać tak ciągle na jednym miejscu. Potem znowu z innego miejsca zabrzmiały kilkakrotnie jej wesołe okrzyki.

— Trzeba się ruszać! — zawołała wesoło. — Kiedy się chce żyć bezpiecznie i jeść do syta, trzeba się ruszać!

Bambi drgnął na dźwięk lekkiego szelestu źdźbeł trawy. Rozejrzał się dokoła. Tam, nad samym stokiem, coś zamigotało czerwono i znikło w sitowiu. Zarazem z oddechem jego pomieszał się jakiś ostry, ciepły zapach. Skradał się tam lis.

Bambi chciał krzyknąć i ostrzegawczo tupnąć w ziemię, ale nagle zaszleściło rozdzielane w skoku sitowie, woda plusnęła, a jedna z kaczek krzyknęła rozpaczliwie.

Bambi usłyszał trzepotanie jej skrzydeł, ujrzał jej białe ciało, migoczące poprzez zieleń, i zobaczył teraz, jak jej skrzydła z głośnym klaskaniem smagały policzki lisa.

Potem wszystko ucichło.

Wkrótce potem lis ukazał się nad stokiem, trzymając kaczkę w pysku. Szyja jej zwisała bezwładnie, skrzydła poruszały się jeszcze lekko, ale lis nie zważał na to. Drwiącymi, kłującymi oczyma spojrzął szydlerczo z ukosa na Bambiego i powoli zaszył się w gęstwinie.

Bambi stał bez ruchu.

Z trzepotaniem skrzydeł uniosło się w górę kilka starych kaczek. Nieprzytomne ze strachu, uleciały dalej. W sitowiu ze wszystkich stron rozlegały się wrzaskliwe okrzyki ostrzegawcze. Sikory w krzakach ćwierkały z podnieceniem, młode kaczęta biegały po sitowiu i osieroczone skarżyły się cichymi dźwiękami.

Zimorodek przemknął wzdłuż brzegu.

— Proszę! — zawołały kaczęta. — Proszę pana, czy nie widział pan naszej matki?

— Srrr-ih! — odpowiedział zimorodek, przemykając obok nich w przepychu migoczących barw. — Co to mnie obchodzi!

Bambi odwrócił się i odszedł.

Wędrował przez gęstą płataninę nawłoci, szedł przez płaszczyznę wysokich buków, minął stare zarośla leszczynowe, aż przybył na skraj wielkiego rowu.

Błąkał się tutaj dokoła, w nadziei, że spotka starca. Nie widział go długo, od śmierci Goba.

Teraz ujrzał go już z daleka i wybiegł mu naprzeciw.

W milczeniu szli przez pewien czas obok siebie.

Potem starzec zapytał:

— No... dużo jeszcze o nim mówią?

Bambi zrozumiał, że starzec miał na myśli Goba, i odpowiedział:

— Nie wiem... jestem teraz prawie zawsze sam...

Zawahał się:

— ...ale... co do mnie, muszę o nim dużo myśleć...

— Tak! — powiedział starzec. — Więc jesteś teraz zawsze sam?

— Tak — odpowiedział Bambi wyczekująco, ale starzec milczał.

Poszli dalej.

Nagle starzec zatrzymał się.

— Nie słyszysz nic?

Bambi począł nasłuchiwać. Nie, nie słyszał nic.

— Chodź! — zawołał starzec i pobiegł naprzód.

Bambi podążył za nim.

Starzec zatrzymał się znowu.

— Czy ciągle jeszcze nic nie słyszysz?

Teraz usłyszał Bambi jakiś szelest, którego nie rozumiał. Miało się wrażenie, że to szelest gałęzi, które ściągano siłą w dół, a które opornie odskakiwały z powrotem w górę. A jednocześnie coś głucho i nieregularnie tupało po ziemi.

Bambi chciał uciekać.

— Chodź! — zawołał starzec i pobiegł w kierunku tych dźwięków.

Bambi, biegnąc u jego boku, odważył się zapytać:

— Czy tam nie ma niebezpieczeństwa?

— Owszem! — odpowiedział starzec. — Jest tam wielkie niebezpieczeństwo!

Niebawem ujrzeni gałęzie, które szarpano i wstrząsano od dołu, tak że poruszały się gwałtownie. Zbliżyli się i spostrzegli, że pośrodku krzaków biegła mała dróżka.

Przyjaciółka leżała na ziemi, rzucała się na wszystkie strony, miotała się, leżała cicho, miotała się znowu, a każdy jego ruch szarpał otaczające go krzaki.

Bambi spostrzegł ciemną smugę, podobną do wici. Ciągnęła się ona sztywno od jednej z gałęzi do przyjaciółki i otaczała jej szyję.

Przyjaciółka usłyszała teraz widocznie, że ktoś nadchodzi. Jak szalony rzucił się w górę, spadł z powrotem na ziemię, chciał uciekać, jakaś siła rzuciła go znowu na trawę, gdzie zadygotał rozpaczliwie.

— Bądźże cicho! — krzyknął na niego starzec, a potem współczująco, łagodnym głosem, który na wskroś przeniknął serce Bambiego, powtórzył, stając tuż przy przyjaciółce:

— Bądź spokojny, przyjaciółko, to ja! Nie poruszaj się teraz. Leż zupełnie spokojnie.

Zajęca leżała bez ruchu, rozplaszczona na ziemi, ściśnięty jego oddech rzeźił cicho.

Starzec ujął gałąź w zęby, ściągnął ją w dół, wykręcając się zręcznie, stanął na niej, przytrzymał ją pod mocnymi kopytami swoich nóg i złamał jednym uderzeniem korony.

Potem nachylił się do przyjaciółki.

— Leż spokojnie — powiedział — chociażby nawet bolało.

Przechyliwszy głowę w bok, przycisnął jedną łaskę swojej korony tuż do karku przyjaciółki, wsunął mu ją mocno w skórę za słuchami, namacał coś i skinął głową. Zajęca począł się wiać.

Starzec cofnął się natychmiast.

— Spokojnie! — nakazał. — Idzie o twoje życie!

Na nowo zabrał się do swego dzieła. Zajęca leżała spokojnie, rzeźąc tylko cicho. Bambi przyglądał się temu w niemym zdumieniu.

Jedna łaska korony starca, wciśnięta mocno w futro przyjaciółki, podjechała teraz pod pętlę. Starzec klęczał niemal, kręcił głową, jakby świdrował, wciskał koronę coraz głębiej i głębiej w pętlę, która wreszcie ustąpiła i zaczęła się rozluźniać.

Zajęca odzyskał oddech i natychmiast wybuchnęła z niego głośno cała trwoga, wybuchnął cały ból.

— E... e... ch!

Plakał żałośnie.

Starzec przerwał na chwilę.

— Milczże! — zawołał z łagodną naganą. — Milczże!

Jego usta były tuż przy łopatce przyjaciółki, jedna łaska korony znajdowała się między słuchami przyjaciółki, wyglądało to, jakby nadziało przyjaciółkę na koronę.

— Jakże możesz być taki głupi i płakać teraz — mruknął zupełnie bez surowości. — Czy chcesz zawołać lisa? Tak? No, więc! Zachowuj się spokojnie.

Pracował dalej, wolno, ostrożnie, z wysiłkiem. Nagle pętla ustąpiła z głośnym zgrzytem. Zajęca wymknął się z niej i był znowu wolny, chociaż w pierwszej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy. Zrobił krok i usiadł oszołomiony.

Potem pobiegł dalej. Najpierw powoli, nieśmiało, potem coraz szybciej. Wreszcie pędził już dzikimi skokami.

Bambi spoglądał za nim.

— Bez podziękowania! — zawołał oburzony.

— Jest jeszcze zupełnie nieprzytomny — powiedział starzec.

Okrągła pętla leżała na ziemi. Bambi uderzył ją lekko nogą; zabrzęczała, a Bambi przeraził się. Był to dźwięk, który nie należał do życia w lesie.

— ON?... — zapytał Bambi cicho.

Starzec skinął potakująco głową.

Cicho szli obok siebie dalej.

— Miej się na baczności — powiedział starzec — a kiedy idziesz ścieżką, badaj gałęzie, wyciągaj naprzód koronę i zawracaj natychmiast, kiedy usłyszysz ten dźwięk. A kiedy nadchodzi pora, gdy nie nosisz korony, wtedy uważaj podwójnie. Ja już dawno nie chodzę w ogóle po ścieżkach.

Bambi zapadł w podniecone zamyślenie.

— JEHO przecież nie ma... — szepnął jakby do siebie, w wielkim zdumieniu.

Starzec odpowiedział:

— Nie... teraz nie ma GO w lesie...

— A jednak to ON?

Bambi potrząsnął głową.

Starzec ciągnął, a głos jego pełen był goryczy:

— Jak to powiedział wasz Gobo?... Czy nie wmawiał wam, że ON jest wszechmocny i dobry?...

Bambi szepnął:

— A czyż ON nie jest wszechmocny?

— Tak samo, jak jest dobry — odpowiedział starzec gniewnie.

Bambi szepnął nieśmiało:

— ...dla Goba... dla niego był ON przecież dobry...

Starzec zatrzymał się.

— Wierzysz w to, Bambi? — zapytał ze smutkiem.

Po raz pierwszy nazwał Bambiego po imieniu.

— Nie wiem! — zawołał Bambi z udręką. — Nie rozumiem tego!

Starzec powiedział wolno:

— Trzeba się uczyć żyć... i mieć się na baczności.

## ROZDZIAŁ 22

Nadszedł ranek, który sprowadził na Bambiego nieszczęście.

Błada szarzyzna pierwszego brzasku snuła się po lesie. Z łąk unosiła się mlecznobiała mgła, a dokoła rozciągała się owa cisza, którą tchnie zwykle zmiana pory dnia. Wrony jeszcze się nie zbudziły, nie zbudziły się jeszcze sroki, a kraska spała.

Bambi spotkał tej nocy Falinę. Spojrzała na niego ze smutkiem i była bardzo nieśmiała.

— Tak często jestem teraz sama — powiedziała cicho.

— I ja jestem sam — odpowiedział Bambi z wahaniem.

— Dlaczego nie pozostajesz już przy mnie? — zapytała Falina pokornie, a Bambi uczył dziwny ból, że tak wesoła i zuchwała zazwyczaj Falina stała się teraz taka poważna i pokorna.

— Muszę być sam — odpowiedział.

Ale chociaż chciał to powiedzieć jak najłagodniej, brzmiało to jednak surowo. Sam to słyszał.

Falina znowu spojrzała na niego i zapytała bardzo cicho:

— Kochasz mnie jeszcze?

Bambi odpowiedział tak samo cicho:

— Nie wiem.

Wówczas po cichu odeszła od niego i pozostawiła go samego.

A teraz stał pod wielkim dębem na skraju łąki, ostrożnie i badawczo rozglądał się dookoła i pił wiatr poranny, czysty i wolny od jakiegokolwiek zapachu, woniejący tylko wilgocią i orzeźwiająjącym tchnieniem ziemi, rosą i trawą i mokrym drzewem.

Bambi oddychał głęboko. Nagle uczył się na duszy tak wolny, jak nie był już dawno. Weselo wyszedł z gęstwiny na spowitą w mgły łąkę.

Nagle huknął grom.

Bambi uczył straszliwe pchnięcie, od którego aż się zatoczył.

Oszalały z przerażenia skoczył z powrotem w gęstwinę i pobiegł dalej. Nie rozumiał, co się stało, nie mógł skupić myśli, pędził tylko i pędził. Groza ścisnęła mu serce, aż tracił oddech, kiedy tak mknął na oślep przed siebie.

Ale nagle przeniknął go kłujący ból. Zdawało mu się, że nie potrafi znieść tego bólu. Uczuł coś gorącego, spływającego mu po lewym udzie, cienką, palącą nitkę, która płynęła stamtąd, gdzie ukłuł go ów ból.

Bambi musiał się zatrzymać w biegu. Ból zmusił go, aby chodził powoli. Potem uczył, jak traci siły w krzyżu i w nogach. Wreszcie padł na ziemię.

Rozkoszą było leżeć tak i wypoczywać.

— Wstań! Bambi! Wstań!

Przed nim stał starzec, łagodnie trącając go w ramię.

Bambi chciał odpowiedzieć:

„Nie mogę!”

Ale starzec powtórzył:

— Wstań! Wstań!

A w głosie jego było takie naleganie i taka czułość, że Bambi milczał. Tak samo ból, który go przenikał, zamilkł na chwilę.

Teraz starzec powiedział w pośpiechu i trwodze:

— Wstań! Musisz uciekać, moje dziecko!

Moje dziecko... Zdawało się, że słowo to wymknęło mu się mimo woli. Bambi natychmiast stanął na nogach.

— Tak! — powiedział starzec, potem odetchnął głębiej i mówił dalej porywczo:

— Chodź teraz ze mną... ciągle tylko ze mną!...

Szybko ruszył przodem. Bambi skierował się za nim, ale najzarliwszą jego tęsknotą było osunąć się na ziemię, leżeć bez ruchu i wypoczywać.

Zdawało się, że starzec odgadywał to, gdyż nieustannie przemawiał do niego namiętnie:

— Musisz teraz znieść wszelki ból, teraz nie wolno ci myśleć o położeniu się... nawet myśleć ci o tym nie wolno, gdyż sama ta myśl czyni cię znużonym! Teraz musisz się ratować... rozumiesz mnie, Bambi?... Ratować się... inaczej jesteś zgubiony... Pomyśl tylko o tym, że ON jest na twoim tropie... rozumiesz mnie, Bambi?... A ON zabije cię bez litości... Chodź tędy... tak... ciągle tylko tędy... jakoś to już będzie... musi być...

Bambi nie miał już siły myśleć. Ból szalał w nim za każdym krokiem, pozbawiał go tchu i przytomności, a gorąca struga, spływająca mu po udzie, paliła go, wprawiając jego serce w głębokie, nieprzytomne podniecenie.

Starzec zatoczył wielki krąg. Trwało to długo. Poprzez mgłę bólu i osłabienia Bambi zorientował się ze zdumieniem, że nagle minęli znowu wielki dąb.

W tej chwili starzec zatrzymał się i począł węszyć przy ziemi.

— Tutaj! — szepnął — tutaj... jest ON... a tutaj... pies... Chodź teraz... prędkiej!

Pobiegli.

Nagle starzec zatrzymał się znowu.

— Widzisz! — zawołał. — Tutaj... tutaj leżałeś na ziemi...

Bambi ujrzał zgniecioną trawę i w szerokiej kałuży własną krew, która wsiąkała w ziemię.

Starzec starannie obwąszył to miejsce.

— Byli już tutaj... ON i JEGO pies... — powiedział. — Chodź teraz!

Powoli, ciągle węsząc ostrożnie, ruszył naprzód.

Bambi widział czerwone krople świecące na liściach krzaków i żdźbłach traw.

„Szliliśmy już tędy” — myślał, ale nie mógł mówić.



— Tak! — powiedział starzec i nagle wydawał się niemal wesoły. — Teraz jesteśmy za nimi...

Przez pewien czas szedł jeszcze tym samym tropem. Potem niespodziewanie zrobił zakręt i rozpoczął nowy krąg.

Bambi szedł za nim, zataczając się.

Po raz drugi jeszcze, teraz jednak z przeciwnej strony, przybyli do dębu, po raz drugi jeszcze przybyli do owego miejsca, gdzie Bambi padł na ziemię, potem starzec obrał znowu inny kierunek.

— Zjedz trochę tego! — rozkazał zatrzymując się, odgarniając w bok trawę i wskazując Bambiemu kilka listków, krótkich i ciemnozielonych, tłustych i postrzępionych, wyrastających bezpośrednio z ziemi.

Bambi począł posłusznie jeść. Miały one przeraźliwie gorzki smak i ohydny zapach.

Po chwili starzec zapytał:

— Jak się czujesz?

— Lepiej — odpowiedział Bambi szybko.

Nagle mógł znowu mówić, zmysły jego otrzeźwiały, zmęczenie złagodniało.

Znowu po upływie pewnego czasu starzec rozkazał:

— Idź no naprzód.

Przez chwilę szedł za Bambim, potem powiedział:

— Nareszcie!

Zatrzymali się.

— Krew twoja jest zatamowana — powiedział starzec — nie płynie już z rany, nie kapie już z twoich żył, nie będzie cię już więcej zdradzała, nie będzie więcej... wskazywała JEMU i JEGO psu drogi do twego życia.

Starzec miał wygląd zmęczony i wyczerpany, ale w głosie jego brzmiała wesołość.

— Chodź teraz — ciągnął. — Teraz możesz wypocząć.

Dotarli do szerokiego rowu, którego Bambi nigdy jeszcze nie przekroczył.

Starzec zstąpił w dół, Bambi próbował iść za nim, ale wspięcie się na drugą stronę rowu wymagało wielkiego wysiłku. Ból począł go znowu dotkliwie smagać. Zachwiał się, skupił znowu siły, zachwiał się jeszcze raz, dysząc ciężko.

— Nie mogę ci pomóc — powiedział starzec — musisz się sam wspiąć!

I Bambi dotarł aż na górę. Na nowo uczuł na udzie gorącą strugę, po raz drugi poczuł, że jego siły zamierają.

— Znowu krwawisz — powiedział starzec — spodziewałem się tego. Ale teraz krwawisz mało... a zresztą...

Szeptem dodał:

— Teraz już to zresztą wcale nie szkodzi.

Bardzo wolno kroczyli przez sałę wysokich buków. Ziemia była miękka i gładka. Chodziło się po niej bez trudu.

Bambi uczuł tęsknotę, aby się tutaj położyć, aby się rozciągnąć i nie poruszać więcej członkami. Nie mógł iść dalej. Głowa go bolała, szumiało mu w uszach, jego nerwy dygotały, poczęła nim wstrząsać gorączka.

Pociemniało mu przed oczyma. Nie czuł już nic prócz tęsknoty za wypoczynkiem i obojętnego zdumienia, że życie jego zostało tak nagle przerwane i zmienione. Że codziennie chodził zdrów i cały po lesie... jeszcze dzisiaj rano... jeszcze przed godziną... to wydawało mu się niby szczęście jakiegoś odległego, dawno minionego czasu.

Przeszli przez niską gęstwinę dębów i ligustru. Olbrzymi, pęknięty pień bukowy leżał w poprzek przed nimi, wciśnięty głęboko w krzaki, i zatarasowywał im drogę.

— Jesteśmy... — usłyszał znowu Bambi głos starca.

Starzec ruszył wzdłuż pnia. Bambi szedł za nim i wpadł niemal do dołu, który się tutaj rozwierał.

— Tak! — powiedział w tej chwili starzec. — Tutaj możesz leżeć.

Bambi skulił się i nie poruszał się więcej.

Pod zwałonym bukiem dół stawał się jeszcze głębszy i tworzył małą izdebkę. Krzaki rosnące na górnym skraju zamykały się nad tym, kto tam wchodził, i chroniły go przed czymkolwiek wzrokiem. Kto był tam na dole, ten jakby zniknął ze świata.

— Tutaj jesteś bezpieczny — powiedział starzec — tutaj możesz pozostać.

Minęło wiele dni.

Bambi leżał w ciepłej ziemi, mając nad sobą gnijącą korę zwałonego drzewa, przysłuchiwał się swoim bólom, jak rosły w jego ciele, stawały się silniejsze, ustępowały, porzucały go i opadały, coraz wolniej i wolniej. Niekiedy wypełzał ze swojej kryjówki, stawał słabo na chwiejących się, niepewnych nogach, sztywno robił kilka kroków, szukając pożywienia.

Jadał teraz zioła, na które dawniej nigdy nie zwracał uwagi, których nie dostrzegał nawet dawniej. Ale teraz nagle narzucały mu się, przyzywały go swoją wonią, pełną dziwnej, kuszącej ostrości. To, czym gardził dawniej, co odrzucał, kiedy mu przypadkowo wpadło między wargi, wydawało mu się teraz smaczne i soczyste. Niektóre małe liście, niektóre krótkie, krępe lodyżki i teraz nie były mu mile, ale mimo to jadł je jak pod przymusem, a rana jego goiła się szybciej, siły powracały wyraźnie.

Był uratowany.

Nie opuszczał jednak jeszcze dołu, tylko w nocy wychodził trochę, przez cały dzień zaś leżał cicho w swoim lożu. Dopiero teraz, kiedy jego ciało nie czuło już bólów, Bambi przeżył raz jeszcze w myślach wszystko, co się stało, i zbudziło się w nim wielkie przerażenie, głęboki wstrząs przeniknął jego duszę. Nie mógł się z tego otrząsnąć, nie mógł jeszcze wstać i biegać jak dawniej.

Leżał w norze i był podniecony, na przemian przerażony, zawstydzony, zdumiony, wzruszony, to pełen melancholii, to pełen szczęścia.

Starzec przebywał przy nim ciągle. Początkowo dzień i noc nie odstępował od boku Bambięgo. Teraz pozostawiał go niekiedy samego, zwłaszcza gdy postrzegał, że Bambi popada w zamyślenie. Stale jednak przebywał w jego pobliżu.

Nadszedł pewien wieczór, po błyskawicach i grzmotach, ulewie i burzy, wieczór o oczyszczonym, wymytym, błękitnym niebie, opromienionym przez zachodzące słońce.

Na wszystkich wierzchołkach drzew dokoła śpiewały głośno kosy, zięby, w krzakach szeptały sikory, w trawie i pod krzakami na ziemi brzmiało krótkimi okrzykami metalicznie skrzekliwie pianie bażantów, dzięcioł śmiał się głośno i radośnie, a gołębie gruchały w żarliwej tęsknocie miłosnej.

Bambi wyszedł ze swego dołu. Życie było piękne.

Starzec stał przed dołem, jakby czekał na niego.

Powolnym krokiem poszli razem przed siebie.

Ale przez wielki rów, do innych, już nigdy Bambi nie powrócił.

## ROZDZIAŁ 23

Pewnej nocy, przepojonej szeptem opadających liści jesiennych, puszczyk krzyknął donośnie nad wierzchołkami drzew. Potem czekał.

Ale Bambi już z daleka dostrzegł go poprzez rzadkie teraz listowie na gałęziach i stał spokojnie.

Puszczyk podfrunął bliżej i zahukał jeszcze głośniej. Potem czekał.

Ale Bambi znowu nic nie powiedział.

Teraz puszczyk nie mógł już dłużej wytrzymać.

— Czy nie przestraszył się pan? — zapytał z niezadowolaniem.

— Owszem — odpowiedział Bambi łagodnie. — Trochę.

— Tak, tak — mruknął puszczyk urażony — tylko trochę? Dawniej przerażał się pan zawsze okropnie. Prawdziwą przyjemność miało się, widząc pańskie przerażenie. Jaki może być powód, że teraz przestraszył się pan tylko trochę?...

Był rozgniewany i powtórzył:

— Tylko trochę...

Puszczyk był już teraz stary i dlatego stał się jeszcze bardziej próżny i wrażliwy niż dawniej.

Bambi chciał odpowiedzieć:

„I dawniej nie przestraszałem się wcale, nigdy, mówiłem tak tylko, żeby panu sprawić przyjemność”.

Ale wołał jednak zachować to wyznanie dla siebie. Żał mu było pocziwego, starego puszczyka, który siedział teraz na gałęzi taki zagniewany. Spróbował go uspokoić.

— Może to dlatego, że właśnie myślałem o panu — powiedział.

— Co? — Puszczyk odzyskał znowu humor. — Co? Myślał pan o mnie?

— Tak — odpowiedział Bambi z wahaniem — właśnie w chwili, kiedy pan zaczął krzyczeć. Gdyby nie to, byłbym się oczywiście przestraszył tak samo, jak zwykle.

— Naprawdę? — mruknął puszczyk.

Bambi nie mógł zaprzeczyć. Co mu to zresztą szkodziło? Niech się ten mały staruszek cieszy.

— Naprawdę — potwierdził i ciągnął: — ...rad jestem z tego... gdyż drzę zawsze na całym ciele, kiedy pana tak nagle usłyszę.

Puszczyk nastroszył pierze, stał się miękką kulką, otoczoną brunatną i jasnoszarą falą, i był szczęśliwy.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony, że myślał pan o mnie... bardzo ładnie... — mruknął czule. — Dawno się nie widzieliśmy.

— Bardzo dawno — powiedział Bambi.

— Nie chadza pan już widocznie dawnymi drogami? — zapytał teraz puszczyk.

— Nie... — Bambi mówił bardzo wolno — dawnymi drogami już nie chadzam.

— I ja zapuszczam się teraz dalej w świat niż dawniej — powiedział puszczyk wyniośle. Przemilczał, że został ze swego dawnego obrębu, w którym trwał od urodzenia, wypędzony przez młodszego, bezwzględnego rywala.

— Nie można trwać wiecznie na tym samym miejscu — dodał jeszcze.

Potem zaczekał na odpowiedź.

Ale Bambiego już nie było. Prawie tak samo jak starzec znał teraz sztukę nagłego i bezszelestnego znikania.

Puszczyk był oburzony.

— Bezczelność... — mruknął do siebie.

Otrząsnął się, wcisnął dziób w pierze na piersi i począł filozofować w duchu:

„Nie wolno wierzyć, że z wytwornymi panami może istnieć przyjaźń. Choćby byli najbardziej uprzejmi... kiedyś jednak stają się bezczelni... a wtedy siedzi się tak głupio, jak ja teraz siedzę...”

Nagle spadł pionowo jak kamień na ziemię. Dojrzał mysz, która teraz jeden jedyny raz tylko zdążyła pisnąć w jego szponach. Poszarpał ją na kawały, gdyż był bardzo rozniewany.

Szybciej niż zwykle przełknął niewielki kąsek. Potem odleciał.

„Co mnie obchodzi ten Bambi?” — pomyślał. „Co mnie obchodzi to całe wytworne towarzystwo? Wcale mi na nim nie zależy!”

Zaczął znowu krzyczeć. Tak donośnie, tak wytrwale, że kilka turkawek, obok których przefrunął, obudziło się i z głośnym szelestem skrzydeł zerwało się ze swoich miejsc.

Przez wiele dni jeszcze burza szalała po lesie, zrywając ostatnie liście z gałęzi. Wreszcie drzewa były zupełnie ogołoczone.

Bambi szedł o brzasku porannym w stronę domu, aby się przespać w dole razem ze starcem.

Jakiś cieniutki głosik zawołał go dwa czy trzy razy szybko po kolei. Bambi zatrzymał się. I oto wiewiórka jak błyskawica mignęła w dół spomiędzy gałęzi i usiadła przed nim na ziemi.

— Więc to pan naprawdę! — zagwizdała z pobożnym zdumieniem. — Od razu pana poznałam, kiedy pan przechodził, ale nie chciałam wierzyć własnym oczom...

— Skąd się pani tutaj bierze?... — zapytał Bambi.

Wesoła mała twarzą wiewiórki przybrała zatroskany wyraz.

— Nie ma już dębu... — poczęła się żalić — mego pięknego, starego dębu... przypomina pan sobie? Było to okropne... ON go wyrzucił.

Bambi ze smutkiem spuścił głowę. W duszy uczuł żal po wspaniałym, starym drzewie.

— Tak szybko się to stało — opowiadała wiewiórka. — My wszyscy, którzy mieszkaliśmy na drzewie, musieliśmy uciekać i patrzyliśmy, jak ON olbrzymim, połyskującym zębem przegryzł stary dąb. Drzewo krzyczało głośno otwartą raną. Nieustannie krzyczało, a ząb krzyczał także... straszne było słuchać tego. A potem piękne, stare drzewo padło. Upadło na łękę... a my wszyscy płakaliśmy.

Bambi milczał.

— Tak... — westchnęła wiewiórka — ON może wszystko... ON jest wszechmocny...  
Spojrzała na Bambię szeroko rozwartymi oczyma i nastroszyła uszy, ale Bambi milczał.

— A teraz wszyscy jesteśmy bez dachu nad głową... — mówiła dalej wiewiórka — nie wiem wcale, gdzie rozproszyli się inni... Ja przybyłam tutaj... ale takiego drzewa prędko nie znajdę...

— Stary dąb... — powiedział Bambi jakby do siebie — znałem go od dni dzieciństwa.

— No... ale że też to pan jest naprawdę!

Wiewiórka była niezmiernie zadowolona.

— Wszyscy myśleli, że pan chyba dawno nie żyje. Niekiedy co prawda mówiono, że pan jeszcze żyje... niekiedy opowiadano, że ten czy ów widział pana... ale niczego określonego nie można się było dowiedzieć, uważano więc to wszystko za zwykłe pogłoski...

Wiewiórka spojrzała na niego badawczo.

— No tak... dlatego, że pan już nie powrócił!...

Kiedy tak siedziała i czekała na jego odpowiedź, widać było wyraźnie jej zaciekawienie.

Bambi milczał. Ale i w nim zbudziła się cicha, nieśmiała ciekawość. Chciał pytać. O Falię, o ciotkę Enę, o Ronna i Karusa, o wszystkich towarzyszy swojej młodości.

Ale milczał.

Wiewiórka ciągle jeszcze siedziała przed nim, przyglądając mu się.

— Co za korona! — zawołała z podziwem. — Co za korona! Nikt prócz starego księcia, nikt w całym lesie nie ma takiej korony!

Dawniej taka pochwała zachwyciłaby Bambię i pochlebiła mu. Teraz powiedział tylko niedbale:

— Tak... Możliwe...

Wiewiórka szybko skinęła głową.

— Naprawdę! — zawołała ze zdumieniem. — Naprawdę. Zaczyna pan już siwieć.

Bambi poszedł dalej.

Wiewiórka zauważyła, że rozmowa jest skończona, i wspięła się między gałęzie.

— Do widzenia! — zawołała z góry. — Niech się panu dobrze wiedzie! Bardzo mi było miło. Jeżeli spotkam kogoś z pańskich dawnych znajomych, opowiem mu, że pan jeszcze żyje... Wszyscy będą się bardzo cieszyli.

Bambi usłyszał jej słowa i uczuł znowu owo lekkie wzruszenie w sercu. Ale nie powiedział nic. Trzeba być samotnym, nauczał go starzec, wtedy gdy Bambi był jeszcze dzieckiem. Później, aż do dnia dzisiejszego, starzec ujawnił mu wiele tajemnic, wiele wiedzy. Ale ze wszystkich jego nauk ta była najważniejsza: być samotnym. Jeśli się chce zachować siebie, jeśli się chce pojąć byt, jeśli się chce dojść do mądrości, trzeba być samotnym!

— Ale — zapytał niegdyś Bambi — ale my dwaj jesteśmy przecież teraz stale razem?...

— Już niedługo — odpowiedział na to starzec.

Było to dopiero przed kilku tygodniami.

Teraz Bambiemu przypomniało się to znowu i przypomniało mu się też nagle, że i pierwsze słowa starca, pierwsze, jakie od niego usłyszał, mówiły o samotności. Owego dnia, kiedy Bambi był jeszcze dzieckiem i wołał matki. Wówczas starzec zbliżył się do niego i zapytał:

— Czy nie potrafisz być sam?

Bambi poszedł dalej.

## ROZDZIAŁ 24

Las był znowu okryty śniegiem i zamilkł pod gęstym, białym całunem. Słyszał się tylko nawoływania wron, tylko od czasu do czasu zatroskany krzyk sroki, tylko załęknioną, cichą rozmowę ćwierkających sikor.

Potem mróz przybrał jeszcze na sile i wszystko zamilkło. Teraz powietrze poczęło dźwięczeć z zimna.

Pewnego ranka głęboką ciszę przerwało szczekanie psa.

Było to nieprzerwane, śpieszne szczekanie, które szybko przebiegało po lesie, ochryple, głośne, przeciągłe, załamujące się, kłótlive.

W dole pod zwalonym pniem bukowym Bambi podniósł głowę i spojrzał na starca, który leżał obok niego.

— To nic — odpowiedział starzec na spojrzenie Bambiego — to nas nie dotyczy.

Mimo to obaj nasłuchiwali.

Leżeli więc w swoim dole, mając nad sobą ochronny dach starego pnia bukowego, wysoki śnieg nie dopuszczał do nich lodowatego podmuchu, a splątane gałęzie krzaków niby gęsta krata chroniły ich przed wszelkim śledzącym okiem.

Szczekanie przybliżyło się, gniewne, sapiące, rozgorączkowane. Musiał to być mały pies.

Zbliżało się coraz bardziej. Teraz słyszeli już podwójne czerpanie oddechu, słyszeli poprzez kłótlive szczekanie cichy, bolesny warkot.

Bambi stał się niespokojny, ale starzec ułagodził go znowu:

— To nas nie dotyczy.

Leżeli cicho w swojej ciepłej izbie i wyglądali w świat.

Wtem coś zaszleściło bliżej w gałęziach, śnieg spadł z trąconych nagle konarów, śnieg wzniósł się z ziemi.

Teraz można też było rozpoznać, kto się zbliżał.

Poprzez śnieg i krzaki, gałęzie i korzenie skakał, pełzał i skradał się stary lis.

Tuż za nim nadbiegł pies. Był to istotnie mały pies na krótkich nogach.

Lis miał zmiażdżoną jedną przednią łapę, a tuż nad nią poszarpane futro. Zranioną nogę trzymał wysoko przed sobą, krew płynęła mu z ran, oddech świszczął, oczy były rozszerzone z przerażenia i wysiłku. Był zupełnie nieprzytomny z trwogi i gniewu, był zrozpaczony i wyczerpany.

I nagle odwrócił się. Był to niespodziewany ruch, który zaskoczył psa, tak że cofnął się o kilka kroków.

Lis przysiadł na tylnych nogach. Nie mógł iść dalej. Uniósłszy żałośnie postrzeloną przednią łapę, z rozwartym pyskiem, z drgającymi wargami parsknął w stronę psa.

Ale pies nie zamilkł ani na chwilę. Jego wysoki, ochrypły głos stał się teraz tylko pełniejszy i głębszy.

— Tu! — wołał. — Tu! Tu jest! Tu! Tu! Tu!

Nie złorzeczył teraz lisowi, nie mówił do niego w tej chwili zupełnie, lecz najwidoczniej przywoływał kogoś innego, kto był jeszcze bardzo oddalony.

Zarówno Bambi jak starzec wiedzieli, że pies przywoływał JEGO.

Lis wiedział to także.

Krew spływała teraz po nim, kapiała z jego piersi na śnieg i tworzyła na białej, lodowatej powłoce ogniste czerwone płamę, która parowała lekko.

Wreszcie lisa opadło osłabienie. Jego zmiażdżona łapa bezsilnie opuściła się w dół, ale przy zetknięciu z zimnym śniegiem przeniknął ją palący ból. Lis z wysiłkiem podniósł ją znowu i drżąc, trzymał ją w powietrzu.

— Puść mnie... — zaczął mówić. — Puść mnie...

Mówił cicho i błagalnie. Był zupełnie wyczerpany i zupełnie pokorny.

— Nie! Nie! Nie! — wrzasnął pies gniewnie.

— Proszę cię... — powiedział lis — nie mogę już biec dalej... koniec ze mną... Puść mnie... pozwól mi uciec... pozwól mi wrócić do domu... pozwól mi przynajmniej umrzeć w spokoju...

— Nie! Nie! Nie! — wył nadal pies.

Lis zaczął prosić jeszcze natarczywiej.

— Jesteśmy przecież krewniakami... — skarżył się — jesteśmy niemal braćmi... Puść mnie do domu... pozwól mi umrzeć wśród swoich... my... przecież... jesteśmy prawie braćmi... ty i ja...

— Nie! Nie! Nie! — szalał pies.

Wówczas lis wyprostował się i usiadł zupełnie sztywno. Jego piękny, spiczasty pyszek pochylił się aż do krwawiącej piersi, oczy uniosły się w górę i spojrzał psu prosto w twarz. Zupełnie zmienionym głosem, spokojnie, smutno i z rozgorzyczeniem mruknął:

— Nie wstydzisz się?... Zdrajco!

— Nie! Nie! Nie! — krzyczał pies.

Ale lis ciągnął:

— Zbiegu... odstępco!

Jego poszarpane ciało wyprężyło się w nienawiści i pogardzie.

— Pacholku! — syczał. — Nędzniku... tropisz nas tam, gdzie ON nie potrafiłby nas znaleźć, ścigas nas tam, gdzie ON nie zdołałby nas dogonić... Wydajesz nas na łup... nas, którzy jesteśmy twoimi krewnymi... mnie, który jestem niemal twoim bratem... i stoisz jednak przede mną i nie wstydzisz się?

Nagle rozległy się dokoła liczne głosy.

— Zdrajca! — wołały sroki z drzew.

— Pacholek! — zaskrzeczała kraska.

— Nędznik! — zasyczała łasica.

— Odstępca! — parsknął tchórz.

Ze wszystkich drzew i ze wszystkich krzaków rozlegały się syki i piski, i okrzyki, a z powietrza krakały wrony:

— Pacholek!

Wszyscy zbiegli się, obserwując spór z drzew albo z bezpiecznych kryjówek na ziemi. Oburzenie, które wybuchło z lisa, rozpętało i w nich wszystkich zadawnione, rozgoryczone oburzenie, a krew, rozlana na śniegu i dymiąca przed ich oczyma, wprawiała ich w szaleństwo i kazała im zapomnieć o lęku.

Pies rozejrzał się dokoła.

— Wy! — krzyknął. — Czego chcecie? Co wy wiecie? Co mówicie? Wszystko należy do NIEGO, jak ja do NIEGO należę! Ale ja... ja GO kocham, ja GO uwielbiam! Ja MU służę! Wy się buntujecie... nędznicy, przeciwko NIEMU? ON jest wszechmocny! ON jest ponad nami! Wszystko, co posiadacie, pochodzi od NIEGO! Wszystko, co tu rośnie i żyje, od NIEGO!

Pies drżał z zapалу.

— Zdrajca! — krzyknęła wiewiórka.

— Tak! — syknął lis. — Zdrajca! Nikt inny, tylko ty... ty jeden!...

Pies aż podrygiwał w świętym podnieceniu.

— Ja jeden?... Kłamco! Czy nie służy MU także wielu, wielu innych?... Koń... krowa... owca... kury... spośród was wszystkich, ze wszystkich waszych rodów wielu jest u NIEGO i uwielbiają GO... i służą MU!...

— Holota! — parsknął lis w bezgranicznej pogardzie.

Ale teraz pies nie mógł już dłużej wytrzymać i skoczył mu do gardła. Warcząc, plując, sapiąc, potoczyli się po śniegu, drgający, miotający się dziko kłębek, z którego leciały włosy, wznosił się śnieg i krew tryskała drobnymi kropelkami.

Ale lis nie mógł długo walczyć. Po kilku sekundach leżał już na grzbiecie, pokazał biały brzuch, zadygotał, rozciągnął się i umarł.

Pies wstrząsnął się jeszcze kilka razy, potem rzucił go na zdeптany śnieg, rozstawił szeroko nogi i zawołał donośnym, głębokim głosem:

— Tu! Tu! Tu jest!

Inni z przerażenia rozbiegli się na wszystkie strony.

— Okropność... — powiedział Bambi w swoim dole do starca.

— Najokropniejsze — odpowiedział starzec — jest to, że oni wszyscy wierzą w słowa psa. Wierzą w nie i spędzają całe życie w lęku, nienawidząc JEGO i siebie samych... i zabijając się dla NIEGO.

## ROZDZIAŁ 25

Mróz załamał się, pośrodku zimy powstała wyrwa. Ziemia piła wielkimi łykami topniejący śnieg, tak że wszędzie ukazały się już szerokie płyty nagiego gruntu. Kosy jeszcze nie śpiewały, ale kiedy podlatywały teraz z ziemi, gdzie szukały czerwi, albo kiedy przefruwały z drzewa na drzewo, rozlegał się ich przeciągły, radosny gwizd, który był już niemal jak śpiew.

Dzięcioł zaczynał się już od czasu do czasu śmiać, sroki i wrony stały się rozmowniejsze, sikory gawędziły ze sobą weselej, a bażanty, gdy zlatywały z drzew, na których spały, zatrzymywały się teraz na miejscu prawie jak za dobrych czasów, wstrząsając piórami

w porannym słońcu i wydając metaliczny okrzyk, powtarzający się raz po raz w krótkich odstępach.

Takiego właśnie ranka Bambi powędrował po lesie dalej niż zwykle. O pierwszym brzasku przybył nad skraj rowu. Po drugiej stronie, tam, gdzie mieszkał niegdyś, coś się poruszyło. Bambi stał ukryty w krzakach i spoglądał w to miejsce. Tak, ktoś z jego gatunku chodził tam powoli w tę i tamtą stronę, szukając wolnych od śniegu miejsc i pochylając się nad przebijającymi się przedwcześnie trawami.

Bambi chciał się właśnie odwrócić obojętnie i odejść, kiedy poznał Falinę. Pierwszym jego odruchem było wyskoczyć z ukrycia i zawołać ją. Ale stał w miejscu jak przykuty. Tak długo nie widział Faliny. Serce jego poczęło bić mocno.

Falina szła powoli, jakby była zmęczona lub smutna. Była teraz podobna do swojej matki, wyglądała jak ciotka Ena, a Bambi zauważył to z dziwnie dręczącym zdumieniem.

Falina podniosła głowę i skierowała wzrok na drugą stronę rowu, jakby wyczuwała jego obecność.

Bambi uczuł znowu pragnienie, aby wyjść z gąszczu, ale stał nadal obezwładniony niemocą, niezdolny się poruszyć.

Widział, że Falina posiwała i była stara.

„Wesoła, zuchwała, mała Falina — pomyślał. — Jaka ona była piękna i jaka żwawa!”

Cały okres młodości stanął przed nim nagle. Łąka, drogi, jakimi prowadziła go matka, wesołe zabawy z Gobem i Faliną, poczciwy konik polny i motyl, walka z Karusem i Ronnem, kiedy zdobył sobie Falinę. Uczuł się nagle znowu szczęśliwy, a jednak był przejęty.

Po drugiej stronie rowu Falina odeszła teraz z głową schyloną do ziemi, powoli, zmęczona i smutna. Bambi kochał ją w tej chwili z porywającą, czułą melancholią, chciał przeskoczyć przez rów, który tak dawno już oddzielał go od niej i od innych, chciał ją dogonić, zagadnąć ją i mówić z nią o młodości, o wszystkim, co było.

A przy tym stał ciągle w miejscu i przyglądał się jej, jak odchodziła między gołymi krzakami i znikła wreszcie.

Długo tak stał i spoglądał w tę stronę.

Huknął grzmot.

Bambi wzdrygnął się.

Było to tutaj, po tej stronie rowu. Niezbyt blisko, ale jednak tutaj, po tej, po jego stronie.

Znowu huknął grzmot, a po chwili jeszcze jeden.

Bambi cofnął się o kilka kroków w gęstwiny, przystanął tam i począł nasłuchiwać. Wszędzie cisza. Ostrożnie począł się skradać ku domowi.

Starzec już wrócił, ale nie położył się jeszcze, lecz stał obok zwałonego pnia buku, jakby czekał.

— Gdzie bawisz tak długo? — zapytał tak poważnie, że Bambi milczał.

— Czy słyszałeś przedtem? — ciągnął starzec po chwili.

— Tak — odpowiedział Bambi — trzy razy... ON jest w lesie.

— Owszem...

Stary skinął potakująco głową i powtórzył z dziwnym naciskiem:

— ON jest w lesie... musimy tam pójść...

— Dokąd? — wyrwało się Bambiemu.

— Tam — odpowiedział starzec, a głos jego był ociążały — tam, gdzie ON teraz jest.

Bambi przeraził się.

— Nie przerażaj się — mówił dalej starzec. — Chodź teraz ze mną i pozbadź się lęku. Jestem rad, że mogę cię tam zaprowadzić i pokazać ci to...

Zawahał się przez chwilę i dodał:

— ...zanim odejdę...

Bambi spojrział na starca stropiony i zauważył nagle, jak zapadły był jego wygląd. Głowę miał teraz zupełnie białą, twarz wychudłą, w jego pięknych oczach zgasł dawny blask, miały one teraz matowy, zielony ton i wyglądały jak złamane.

Bambi i starzec nie zaszli daleko, kiedy uderzył im naprzeciw pierwszy powiew owego ostrego zapachu, który potrafił tchnąć w serce tyle groźby i przerażenia.

Bambi zatrzymał się.

Ale starzec szedł dalej, prosto w kierunku tego zapachu.

Bambi z wahaniem skierował się za nim.

Podniecający zapach bił w nich coraz ostrzejszymi falami. Ale starzec szedł naprzód niepowstrzymanie.

W Bambim zbudziła się myśl o ucieczce, zadrgała w jego piersi, ogniem przemknęła mu przez głowę i członki i chciała porwać go ze sobą. Pohamował się siłą i szedł dalej tuż za starcem.

Wrogi zapach spotężniał teraz tak dalece, że nie czuło się już obok niego żadnej innej woni i niepodobna już było niemal oddychać.

— Tu! — powiedział starzec i ustąpił w bok.

Na zgniecionych liściach w zdeptanym śniegu leżał na ziemi ON, o dwa kroki od nich.

Stłumiony okrzyk przerażenia wyrwał się z piersi Bambiego. Nagłym skokiem rzucił się do upragnionej ucieczki. Był niemal nieprzytomny ze strachu.

— Stój! — usłyszał za sobą krzyk starca.

Obejrzał się i zobaczył, że starzec stał spokojnie tam, gdzie ON leżał na ziemi. Nieprzytomny ze zdumienia, pod przymusem posłuszeństwa, targany bezgraniczną ciekawością i drżącym oczekiwaniem, Bambi zbliżył się do niego.

— Chodź bliżej... bez obawy... — powiedział starzec.

Oto leżał ON, z bladą, nagą twarzą zwróconą ku górze. Jego kapelusz leżał nieco z boku, oddzielnie na śniegu, a Bambi, który nie wiedział, co to jest kapelusz, sądził, że straszliwa głowa została rozcięta na dwoje.

Obnażona szyja kłusownika przebita była raną, otwartą niby małe, czerwone usta. Krew powoli spływała z niej jeszcze, krew zakrzepła we włosach, pod nosem i leżała wielką kałużą na śniegu, który stopniał od jej gorąca.

— Oto stoimy tutaj — zaczął starzec cicho — stoimy zupełnie blisko NIEGO... a gdzie jest teraz niebezpieczeństwo?

Bambi spojrział na leżącego, którego postać, członki i skóra wydawały mu się zagadkowe i przeraźliwe. Patrzył w te złamane oczy, które bez spojrzenia wznosiły się ku niemu, i nie rozumiał nic.

— Bambi — ciągnął starzec — czy przypominasz sobie, co powiedział Gobo, czy przypominasz sobie, co powiedział pies, w co oni wszyscy wierzą... czy przypominasz sobie?

Bambi nie był zdolny odpowiedzieć.

— Widzisz teraz sam, Bambi — mówił dalej starzec — widzisz teraz sam, jak ON leży, niby któryś z nas! Słuchaj, Bambi, ON nie jest wszechmocny, jak oni powiadają. ON nie jest TYM, od którego pochodzi wszystko, co rośnie i żyje, ON nie jest ponad nami! ON jest obok nas i jest jak my sami, jak my zna ON trwożę, niedolę i cierpienie. Może być zwyciężony, podobnie jak my, a wtedy leży bezradnie na ziemi, podobnie jak my, tak jak widzisz GO teraz przed sobą.

Zapanowała cisza.

— Rozumiesz mnie, Bambi? — zapytał starzec.

Bambi odpowiedział szeptem:

— Sądzę...

Starzec rozkazał:

— Mów!

Bambi zapłonął w duszy i powiedział, drżąc:

— Ktoś inny jest ponad nami wszystkimi... ponad nami i ponad NIM.

— Więc mogę już odejść — powiedział starzec.

Odwrócił się i przez pewien czas szli razem.

Przed wysokim jesionem starzec zatrzymał się.

— Nie chodź za mną dalej, Bambi — zaczął spokojnym głosem. — Mój czas się skończył. Muszę sobie teraz wyszukać miejsce na koniec...

Bambi chciał mówić.

— Nie — przerwał mu starzec — nie... w godzinie, ku której idę teraz, każdy z nas jest sam. Bywaj zdrów, mój synu... kochałem cię bardzo.



Dzień letni rozżarzył się już w pierwszych godzinach porannych bez najmniejszego podmuchu wiatru, bez chłodu o świcie. Zdawało się, jakby słońce nadchodziło dzisiaj śpieszniej niż zwykle. Wzeszło szybko i buchnęło osłepiającymi płomieniami niby olbrzymia pożoga.

Rosa na łąkach i krzakach ulotniła się natychmiast. Ziemia wyschła zupełnie, a skiby jej kruszyły się. W lesie zapanowała przedwczesna cisza. Tylko tu i ówdzie słychać było śmiech dziecięciół, tylko gołębie gruchały z niezmordowaną, żarliwą czułością.

Bambi stał na ukrytej, małej polance, pozostawiającej trochę wolnego miejsca w gębokiej gęstwinie.

Nad głową jego tańczyła i śpiewała w słońcu chmara muszek.

Przemijanie

Z liści leszczyny obok Bambiego zabrzmiało ciche brzęczenie i wielki żuk wyfrunął powoli, przeleciał przez chmurę muszek, wyżej i wyżej, ku wierzchołkowi drzewa, gdzie chciał spać aż do wieczora. Pokrywy jego skrzydeł odcinały się ostro i zgrabnie, jego skrzydła tryskały siłą. Chmara much rozdzieliła się, kiedy żuk torował sobie drogę, i zamknęła się za nim z powrotem. Jego ciemne, brunatne ciało, spowite drżącym migotaniem poruszających się skrzydeł, raz jeszcze zaświeciło w słońcu, zanim znikło.

— Widziałyście go?... — pytały się nawzajem muchy.

— To starzec — śpiewały jedne.

A inne śpiewały:

— Wszyscy z jego rodu pomarli już. Ale on żyje jeszcze. On jeden.

Kilka maleńkich muszek zapytało:

— Jak długo może żyć?

Pozostałe zaśpiewały w odpowiedzi:

— Nie wiemy tego. Jego ród w ogóle żyje bardzo długo. Żyją prawie wiecznie... Widzą słońce trzydzieści razy, czterdzieści razy... nie wiemy tego. I nasze życie jest długie... ale my widzimy dzień tylko raz albo dwa razy.

— A starzec? — zapytały znowu najmniejsze muszki.

— On przeżył wszystkich ze swego rodu... jest prastary... prastary... widział i doświadczył na świecie więcej, niż można sobie wyobrazić.

Bambi poszedł dalej.

„Pieśń muszek — pomyślał — pieśń muszek...”

Delikatne, lęklive wołanie dobiegło do jego ucha.

Począł nasłuchiwać, zbliżył się, bardzo cicho, ciągle przez najgęstsze krzaki, ciągle bezszelestnie, jak to było od dawna w jego zwyczaju.

Znowu rozległo się wołanie, jeszcze bardziej natarchywe, jeszcze bardziej błagalne. Głosy jego własnego gatunku:

— Mamo!... Mamo!...

Bambi przedzierał się przez krzaki, kierując się w stronę tego wołania.

Stało tam dwoje maleństw w czerwonych sukienkach, braciszek i siostrzyczka, osamotnieni i zalęknieni.

— Mamo!... Mamo!...

Zanim się zdążyli zorientować, co się stało, Bambi stanął przed nimi.

Bez słowa wlepili w niego wzrok.

— Wasza matka nie ma teraz czasu — powiedział Bambi surowo.

Spojrzał malcowi w oczy.

— Czy nie potrafisz być sam?

Malec i jego siostrzyczka stali niemo.

Bambi odwrócił się, przedarł się przez najbliższe krzaki i zniknął, zanim jeszcze dwoje maleństw mogło się opamiętać.

Poszedł dalej.

„Ten malec mi się podoba... — pomyślał. — Może spotkam go znowu, gdy będzie większy...”

Poszedł dalej.

„Ta mała — pomyślał — ta mała także jest milutka... tak wyglądała Falina, kiedy była jeszcze dzieckiem”.

Poszedł dalej i zniknął w lesie.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/salten-bambi/>

Tekst opracowany na podstawie: Feliks Salten, Bambi. Opowieść leśna, Księgarnia Powszechna, Kraków 1946.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Dziękujemy Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie za udostępnienie egzemplarza do wykonania reprodukcji cyfrowej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Maria Świetlik, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6520-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.